

KATIA WOLSKA

*Gościnny zajazd w lasach biebrzańskich,
ma być azylem dla młodej warszawianki.
Krzyżują się tu niebezpieczne drogi zbrodni i namiętności.*

DARZBÓR

wśród lasów

PREMIERA

Wydawnictwo
ab
two

SERIA POD GRUSZĘ

Katia Wolska

DARZBÓR WŚRÓD LASÓW

S E R I A P O D G R U S Z Ę



Redakcja: Krystyna Gajda
Korekta: Monika Buraczyńska/Kropki Kreski
Projekt okładki: Roman Marek/Project
Zdjęcie na okładce: nd3000/ shutterstock, Nejrón Photo/ shutterstock

Copyright © Katia Wolska, 2017
© Copyright for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład i łamanie: TYPO

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4562-0

Wydanie pierwsze
Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo

Spis treści

Część I. Za bramą na bagna

Część II. Pod dachami miasta

Część III. Nad łąkami

Część I

Za bramą na bagna

Mrok gęstniał, nad moczarami unosiła się mgła. Szosa, wąska i pełna dziur, biegła wśród nieznanego lasu. Kontury potężnych drzew na poboczu wyraźnie wskazywały na jakiś dziki bór. Przedwiośnie, gałęzie o tej porze roku wciąż огоłcone z liści stwarzały upiorny nastrój, coś na kształt złowrogiej przestrzeni z baśni albo dramatów Szekspira. Ciemniało, znad bagien zaczęły unosić się dziwne opary, księżyc za to stał się już konkretnym rogalem i zawisł nad lasem.

„Gdzie ja, u cholery ciężkiej, jestem?” – zastanawiała się Lilka Gajewska, przecierając palcami oczy, a wycieraczkami szybę terenówki. Zadała to pytanie trochę sobie, a trochę śpiącemu obok na przednim siedzeniu psu. Odpowiedzi jednak się nie doczekała, jedynie sowa huknęła za oknem wolno sunącego auta. Jechała powoli, po wąskiej asfaltówce kategorii mniej niż czwarta. Zastanowiła się, czy stanąć, czy może zawrócić, bo tak na przykład skrócić – nie było gdzie. Droga zagłębiała się w lasy, teraz już nie dęby i wiązy, lecz wysokie sosny rozrzucone na pagórkach i piaszczystych stokach. Minęła je i zrozumiała, że znalazła się wśród terenów bagiennych, w ciemności majaczyły niższe krzewy, pnie drzew stały w ciemnej wodzie.

„Nastrojowo to tu jest! – szepnęła. – Ale trochę straszno. Zaraz wylecą z tych mgieł ze trzy czarownice. A jeśli nie one, to z pewnością stado nietoperzy”. Starła się rozbawić sama siebie. Należała do średnio odważnych kobiet, kochała dzikie chaszcze i naturę, ale niepokoilo ją, że nie wie, gdzie się znalazła. Nawigacja przestała działać przed kwadransem, iPhone oznajmiał brak zasięgu. „To tyle, jeśli chodzi o dobra cywilizacji – westchnęła do siebie. – Ciekawe, czy działałby tu laptop i mój aparat, czy może jestem w strefie, gdzie nie działa w ogóle nic, serce ledwo bije. Zatrzymać się czy nie?”.

Lilka co najmniej od dwóch godzin powinna znajdować się w Goniądzu, gdzie czekał na nią pokój zarezerwowany w przytulnym hotelu Narwina, porządny, z ciepłą kąpielą, smaczną kolacją regionalną i wygodnym łóżkiem.

Zapłaciła zaliczkę za siebie i psa, gospodyni przysięgła, że nie ma kotów i że będzie czekać z tutejszym specjałem, knedlami nadziewanymi słodkim twarogiem, a psiak Borsuk z pewnością otrzyma miskę i materacyk do spania. Niestety Borsuk co najwyżej mógł śnić o takich luksusach, a jego pani czuła narastający w żołądku... nie głód, ale strach. Borsuk olewał sytuację, lubił jeździć autem i był psem stoikiem o zdrowych nerwach, ufny więc w umiejętności pani spał spokojnie zwinięty w kłębek. Pani była osobą o psychice zdecydowanie bardziej nadszarpniętej stresem, wyobraźnię też miała bogatą i ta właśnie zaczynała pracować. Zagubić się na Podlasiu! To mogło zdarzyć się tylko jej! Goniąca ani widu, ani słyhu. W ogóle: widu nic, nie mogłaby nawet tego niczego sfotografować. Szosa stała się tak wąska, że Lilka z przerażeniem zaczęła przewidywać, co będzie, jeśli z naprzeciwka pojawi się samochód... Ale tylko jej reflektory przecinały światłami ciemność, cmy zabijały się chmurami o szybę, upragnione żółte okno jakiegokolwiek chałupy nie pojawiało się i nie pojawiało. Zrozumiała, że gdzieś na trasie popełniła błąd. Gdzie? Jechała od strony Suwałk, minęła Knyszyn, wiadukt, linię kolejową. Powinna była dojeżdżać do upragnionego zacisza przy Biebrzańskim Parku Narodowym, jedynym aż tak zielonym miejscu, jakie знаła w Polsce, z bagniskami i mnóstwem unikalnego ptactwa, które tylko czekało, by je od świtu obserwować i fotografować. Chwilowo nawet mowy o tym nie ma. „Boże, Boże, już nie wiem, jak się nazywam” – panikowała bardziej lękliwa i mistyczna część jej duszy. Racjonalna jednak odpowiedziała twardo: „Nazywasz się Lilka Gajewska, dokładnie Alicja Bernadetta Gajewska, lat trzydzieści sześć, rozwiedziona. Zawód wyuczony i wykonywany: fotografka – freelancerka. Pasja: ornitologia, a szczególnie ptactwo terenów nizinnych. Zameldowanie: Warszawa Powiśle, ulica Dobra, trzydzieści metrów mieszkania wynajętego po rozstaniu z mężem palantem, fanem pornografii i tirówek, nic dobrego... Mieszkanie znalezione od ręki, ale za koszarne dwa tysiące na miesiąc”.

Tysiące dały się zarobić, gdy nastawała era zamówień i prac zleconych: do sesji mody, większych kampanii reklamowych albo okładek luksusowych magazynów. Lilka Gajewska jako fotografka wyrobiła sobie w świecie modelingu dobre kontakty i niezłą opinię, umiała naprawdę niezłe czarować światłem, operować obiektywem aparatu, mogła więc dopowiedzieć o sobie jeszcze to: „Profesjonalna, ceniona fotografka z imponującym portfolio. Dobra w swoim fachu”. Nie narzekała na brak zamówień, ba, raczej na nadmiar.

Fotografia była jej pracą i pasją, ale przecież nie sesje z modelkami wystrojonymi w ludowe pasiaki do reklamowania margaryny albo w skąpe stroje kąpielowe do agitowania konsumentów na rzecz lodów. Nie zdjęcia pięknych aut, a nawet słodczy kokosowych na egzotycznych wyspach. Kochała ptaki. Kochała bagna i rozlewiska nad Biebrzą i Narwią. Jej marzeniem był przepiękny album fotograficzny, pokazujący światu, jak egzotyczne są tereny podlaskich bagien, wioski bocianie, sznury żurawi i dzikich gęsi. Pragnęła fotografować najdziwniejsze bataliony i perkozy, w locie i w gniazdach, nad łąkami, nad Narwią. Tu było prawdziwe ptasie zagłębie, raj ornitologa, tu właśnie wyrwała się z dusznej Warszawy, by zanurzyć się w czystej zieleni i wykonać tysiące zdjęć do albumu. Ale życie nie jest takie proste: do albumu nie mogła znaleźć wydawcy, a zieleń była właśnie czystą ciemnością. Zaszedł księżyc, więc ciemnością smolistą. Wydawało się jej, że jedzie już pół nocy, ale w rzeczywistości to nerwy wydłużały czas. Jechała zaledwie godzinę, a mimo że znalazła się na jednym z najmniej zaludnionych obszarów kraju, to jednak była to Polska i w końcu musiał pojawić się jakiś znak cywilizacji. O, trójkątny znak drogowy obiecujący zakręt błysnął po prawej stronie. Wreszcie, ale kto wie, co za zakrętem... Tak przynajmniej tłumaczyła tę sytuację realistyczna część jej natury, bo siedziały w niej dwie Lilki. Mocno stąpająca po ziemi Alicja Gajewska i mistyczka popadająca w lęki egzystencjalne, wiarę w magię – ta pewnie miała na imię Benia w wyniku idiotycznego pomysłu ojca, by na drugie dać jej imię jakiejś ciotki Bernadetty. Obie były Lilką, trochę małomówną, ale ogólnie lubianą osobą. Nagle Lilka krzyknęła, bo na drogę wysunął się ogromny zwierz. Zahamowała gwałtownie, Borsuk zleciał z siedzenia. Zwierz za szybą nie przejął się światłami reflektorów, dostojnie przemieszczał się z jednej strony szosy na drugą, ominął pogardliwie terenówkę Lilki i zniknął w głębiach boru. Zwierz okazał się łosiem, całkiem dużą sztuką, natomiast Borsuk nie był chyba psem myśliwskim, bo wcale go nie zauważył. Obrażony na to zbyt gwałtowne hamowanie, szczechnął krótko i poszedł sobie spać do tyłu auta. Lilka powolutku ruszyła w ciemność. Serce wciąż jeszcze biło jej mocno, czuła te uderzenia w skroniach, ale uspokajała się i dziękowała Bogu, że nie jechała szybciej, bo w starciu z łosiem mogli ucierpieć wszyscy: i auto, i pasażerowie, i łoś. „Szkoda, że nie mogłam go sfotografować – westchnęła. – Pierwszy mieszkaniec tych terenów, który mnie wita. Ale też nie odpowiedział mi na pytanie kluczowe: gdzie ja właściwie

jestem?”.

Szosa, szóska raczej, wyboista i dziurawa, umykała w kręgu światła, nagle zakręciła i po kilku metrach ukazał się oczom Lilki cudowny widok. Światła przestronnych okien ułożone w pionie mówiły, że budynek musiał mieć ze dwa piętra. Ułożone w poziomie – że musiał być dużą, rozłożystą konstrukcją, co najmniej hotelem na tym wygwizdowie.

„A nawet gdyby to była tylko samotna chata za wsią – pomyślała Lilka – muszą mnie ugościć, przenocować albo skierować na Goniądz. Muszą tu mieszkać jacyś normalni ludzie, na litość boską, mamy dwudziesty pierwszy wiek! Mogą być niewykształconymi rolnikami, pustelnikami na bezdrożu, byleby mieli łazienkę i nie okazali się wilkołakami”.

Dreszcz przeszedł jej po plecach, gdy ujrzała dom w całej okazałości i odmawiała w duszy dziękczynną modlitwę. Prawda przerosła jej marzenia: nie dom to był, lecz piękny zajazd, duży, drewniany budynek, przykład architektury tradycyjnego Podlasia, z wybrukowanym parkingiem, stylowym wrotami i jasnymi, ciepłymi światłami w oknach. Z ulgą zaparkowała, wypuściła psa i stanęła na porządnym podjeździe, pod napisem z drewna. Zajazd pośród niczego, pośród ciemności i mgieł, i bagien, nosił nazwę Darzbór. Przełękła się, czy aby otwarty, czy aby przyjmują tu gości z psami. „Muszą, muszą” – szepnęła i nacisnęła skrzypiące drzwi. Spora jadalnia z bufetem, z kominkiem, z potężnym porożem zdobiącym ściany wydała się jej najpiękniejszym miejscem na ziemi. Między licznymi stolikami, chociaż tylko dwa były zajęte, kręcił się kelner, a przy barze mężczyzna – na oko jej rówieśnik – wklepywał jakieś dane do laptopa. Wyglądał na właściciela przybytku, miał wszelkie cechy realnego faceta, nawet przystojnego: we włoskim trochę typie, brunet długowłosey, oczy ciemne, szczupłe palce, kitka związana na plecach, biała koszula, jakiś serdak regionalny. Janosik włosko-podlaski? Uśmiechnął się na jej widok, odsunął laptop i zwyczajnym, ludzkim, nawet melodyjnym głosem zapytał, czy potrzebuje noclegu.

– No raczej. Pytanie, powiedziałabym, retoryczne! A jakby pan dodał garść informacji... Gdzie ja jestem, u Boga Ojca?

– Ach nie, aż tak wysoko się nie cenimy – zażartował – a mnie daleko i do Boga, i do ojca. Igor Karczuk. Karczma Darzbór. Witam w najbardziej romantycznym i samotnym zajeździe na podlaskich bagnach. Jestem szefem tego przybytku.

– A ja jestem z psem – powiedziała z niepokojem – czyli z Borsukiem.

Igor Karczuk nie mrugnął okiem. Przyjął do wiadomości psa.

– Brakuje nam jeszcze łosia – mruknął.

– Mijałam! O mało nie zabrałam go na pakę. – Roześmiała się. – I naprawdę nie wiem, gdzie jestem. Lilka Gajewska z Warszawy, fotografka w poszukiwaniu łupów. Takie małe bezkrwawe łowy, uwieczniam ptaki i rozlewiska.

– To świetnie pani trafiła, tu są i ptaki, i rozlewiska. Całe mnóstwo ptaków i rozlewisk... Więcej niż pięknych turystek – dodał elegancko. – A jakim cudem z Warszawy od strony Knyszyna?

– Sprawy w Suwałkach. Zawodowe. Jechałam trasą na Osowiec i nagle znalazłam się na wąskiej asfaltówce, kompletnie opustoszałej, dziurawej w dodatku jak sito. Noc, mgły i tylko ja i... Borsuk. I nagle, nie wiadomo skąd ten oto zaczarowany Darzbór i jego szef. Jesteście prawdziwi?

Igor Karczuk roześmiał się i wyjaśnił:

– Całkiem. Moim zdaniem po prostu źle pani skręciła. Na skrzyżowaniu przy samym Goniądzu trzeba skręcić w prawo, nie w lewo. Jest pani kolejną ofiarą tak zwanej Carskiej Drogi i ujechała pani kawałek niejako w odwrotnym kierunku: z Goniądza do Warszawy. Ale niewielki, jakieś trzydzieści kilometrów.

– A ta pustka? Ani jednego domu?

– Tak tu jest. Dookoła połacie nadbiebrzańskich łąk i bagien, lasy, kilometry pustej szosy, mało domów. Najbliższe wsie znajdują się nad Narwią, w stronę Łomży. Ale... – Wzruszył ramionami. – Co kto lubi. Ja na przykład uciekłem tutaj z miasta. I proszę: urodziwa kobieta dotrze i tutaj.

Lilka popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Była szczupła, dość wysoka, ale nie uważała się za piękność. „Spokojny typ urody” – mówili przyjaciele. „Miła jesteś w dotyku” – mawiał były mąż. Gładko szesane w kucyk włosy koloru, jaki ma większość Polek – mysz plus kawa cappuccino. Oczy miała ładne, brązowe, dość smutne, ale bystro patrzące na świat spod wysokich, ciemnych brwi. Oczy wiecznie zdziwionej, rasowej fotografki, zawsze w džinsach i miękkich swetrach czy koszulach. Najchętniej, bo najważniejsza była dla niej wygoda i ciepło. Nawet na sesjach mody, w warszawskich studiach fotograficznych, gdzie stylistki przynosiły naręcza markowych ciuchów, rządziła niepodzielnie i niezmiennie w džinsach i miękkich adidasach. I teraz stała przy barze jak ta szara mysia, obdarzona dużymi oczami, i patrzyła sobie na tego faceta za ladą, bez wątplenia właściciela

pięknego zajazdu, jak również właściciela białych zębów, ujmującego uśmiechu, rzęs zbyt długich dla mężczyzny. Włosy wymykały się z kitki, lekko kręte, podmuchiwał co raz w kosmyk spadający na oko. „Skąd takie ciasteczko na tym odludziu – pomyślała. – Spodziewałabym się w takim lokalu raczej grubszej, biuściastej i gadatliwej kobieciny. Wszystko tu jest odwrotnie. Gdybym pocałowała go teraz, niechybnie zmieniłby się w żabę”.

– Z jakiego miasta pan prysnął?

– Zdziwię panią, tylko z Białegostoku. Długa historia, miłosna z dodatkiem kryminalnym, ale nie, nie jestem zbiegłym przestępcą...

– A jak nazywa się ta wieś?

– Nie ma tu wsi. Darzbór stoi po prostu przy Carskiej Drodze, nad bagnami, nad łąkami. Może sobie pani sprawdzić dokładnie naszą lokalizację w internecie, tu jest hasło do wi-fi. Tak, działa – dodał rozbawiony, widząc jej zdumioną minę – a w pokoju jest toaleta, nie trzeba biegać do sławojki. Co do pieska...

– Obiecuję, że nie nabrudzi i niczego nie zniszczy – odparła szybko. – To bardzo mądry piesek rasy mieszanej. Jak pan widzi, trochę z lisa, trochę z wilka, łagodny ogromnie. Z borsuka tylko imię.

– Ładnej maści – dodał uprzejmie Igor, a Borsuk łypnął na niego życzliwie, jednak nieco podejrzliwie. Jego szaro-brunatne, postrzępione futro, z łata na boku, trochę jak wycior do kurzu, rzadko zdobywało komplementy. Znał życie, Lilka wzięła go ze schroniska.

– Mało, że piękne, to nie kłaczy wcale – zastrzegła.

– Jeśli tak, to pies za darmo. A fasolka po bretońsku na kolację? Jedyne dwanaście złotych.

– Oj, tak! Poproszę. – Lilka Gajewska rzadko czuła się tak zadowolona i spokojna. Podreptała po rzeczy, aparat i laptop, a kelner przytargał jej walizkę. Borsuk zdążył oblecieć obejście, powąchał i obsikał krzaki, ominął wielkim łukiem psa bernardyna śpiącego za budynkami w głębi i wrócił do swojej pani. Pokój dostali na pięterku, mowy więc nie było o wyskoku przez okno. Ułożył się natychmiast na łóżku, stwierdził, że miękkie jak trzeba, i zasnął, zakrywając śmiesznie pysk zagiętą łapą. Pani tymczasem odzyskała energię, nie czuła już zmęczenia. Powinna zadzwonić do Goniądza, wyjaśnić swoją nieobecność. Powinna dać znak do domu, rodzice na Zaciszu niepokoją się na pewno. Kusił ją prysznic, internet, ale najpierw poddała się tej niesamowitej ciszy. Zgasiła światło, żaden dźwięk, żaden blask nie dobiegał

z dołu, księżyc skrył się całkiem za chmurami.

„Ciemność absolutna, aksamitna i smolista – szepnęła do siebie. – Cisza, jakiej nigdy nie uświadczysz w żadnym z miast”. Pograżyłyby się w tym doznaniu, ale Borsuk zaczął chrapać i poszczekiwał przez sen. Pewnie gonił łosia. „Co za dziwna przygoda – powiedziała głośno. – Czy jak jutro się obudzę, wszystko to będzie nadal, czy zniknie, jak omam wywołany przez pary z bagien?”.

*

Ranek pokazał, że nie tylko nic nie zniknęło, ale że pokój Lilki znajduje się od strony wschodniej. Słońce obudziło ją niemal o świcie, dopadła do okna i zastygła w zachwycie. Wszystko istniało naprawdę: nie tylko karczma i obejście, drewniane domki dla gości, szopy, las w oddali, ale też przepiękne rozlewisko, różowe i złote teraz od wschodu słońca. Cicho już nie było, przeciwnie: różnorodna wrzawa, świergoty i krzyki – ptactwo zaczynało gody. Lilka poczuła się szczęśliwa. Pomyślała, że w mieście o tej porze budzą ją tramwaje, że zrywa ją ze snu wspomnienie własnych porażek albo pośpiech. Wyszła na mały balkonik zawieszony nad ogrodem i poczuła, że jest rześko. Borsuk domagał się swoich praw. Wyciągnęła z walizy kurtkę, kalosze, sięgnęła po aparat. Cichutko zeszła z psem po schodach, za domostwo i na łąkę. Bernardyn spał snem kamiennym, pachniało wodą i trawą. Zaraz za furtką ścieżka wiodła do punktu widokowego, wyruszyli więc, a kiedy wracali, nieco zmarznięci i głodni, Lilka była właścicielką przepięknych ujęć rozlewiska i tylko tutaj spotykanych ptaków.

W obejściu już zaczął się ruch. Samochód dostawczy hałasował na parkingu, z kuchni dochodził szcęk naczyń, a z budynków gospodarczych niosły się dźwięki dojarek. Wyglądało, raczej pachniało na to, że obiekt zajmuje się także hodowlą krów. Zauważyła też trzy auta na podjeździe, jedno audi z warszawską rejestracją, dwa mniejsze, renówka i ford, z białostocką.

„Ciekawe, kto to, piesku. Jak myślisz? – szepnęła Lilka. – Będą ci sami co wczoraj: romantyczny Igor i kelner, czy też okaże się, że jednak gościmy u jakiegoś króla łąk? Albo w świecie filmu? Tak czy inaczej mam nadzieję, że dadzą nam śniadanie”.

Chciała przemknąć niezauważona, ale przy schodach przywitał ich Igor,

radośnie, z dumą, jakby to on sam stworzył rozlewiska. Gratulował spaceru i zdjęć, ale przestrzegł ją szczerze: pani Alicjo, proszę nie wypuszczać się sama na bagna... Proszę mi wierzyć, niejeden zablądził, to dziwne miejsce, dzikie, nie wszędzie jest zasięg. Bagno wciąga, nie ma śladu po człowieku. Wzruszyła ramionami, nieco pyszałkowato.

– Po pierwsze, Lilka, proszę mówić Lilka... Jak słyszę Alicjo, to nie wiem, do kogo to. A poza tym ... nie schodzę z wyznaczonych ścieżek, nie jestem głupia. Nawet mój pies nie schodzi ze szlaku.

Igor Karczuk kiwnął głową z aprobatą, ale dodał:

– Tym ścieżkom też nie wolno ufać. Płaczą się w głębi bagniska, zmieniają bieg i zapadają się, nie wiadomo czemu. Była dróżka, jest woda. Wszystko zależy od pogody. Tutejsi mówią, że bagno jest zazdrosne, nie chce łatwo pokazać swoich tajemnic. Najlepiej wziąć przewodnika z łódką i popływać sobie bezpiecznie. Mieliśmy tu już zaginięcia i utonięcia, a są legendy, że... Pani Lilko, niech pani mnie powstrzyma z tym gadaniem. Przecież głodni jesteście na pewno, a mam dla pieska smakołyki z kolacji. Kostkę nawet.

Lilce głupio było powiedzieć, że żywi Borsuka tylko psią karmą, sam pies nie kwapił się prostować, nie odmówił rarytasów i zniknął z kością w kącie pokoiku. Lilka przebrała się szybko i zbiegła na śniadanie. Jak miło było siedzieć w niszy przy oknie, patrzeć na budzący się wiosną ogród i czekać na pachnącą boczkiem jajecznicę. Ba, serwował ją sam szef: oto Igor we własnej osobie, znowu w koszuli białej jak śnieg, ale z pewnością nowej, przyniósł jej dymiącą patelnię i koszyk ciepłych jeszcze bułek.

– Rety! Cudowne są! – Lilka wtuliła twarz w pieczywo. – Jak to pachnie!

– Zaraz przyniosę kawę – powiedział Igor z uśmiechem zadowolenia – z mlekiem od naszej Mućki.

– Przysiądzie się pan na chwilę? – zapytała zdumiona własną śmiałością. – Chętnie posłucham, co tu ciekawego można zobaczyć. Zostałabym jeszcze dzień, dwa. Gdzie iść, może rowery macie?

– Dopiero wieczorem – odparł, wydawało się jej, że z żalem. – Zaraz zejda następni goście, a nas tu dużo nie ma... to znaczy pracowników. Bywam barmanem i głównym kucharzem, ale... Witaj, Tomaszu! – Zwrócił się do jasnowłosego mężczyzny, zgrabnego, lekko zbiegającego ze schodów. – Ten sportowy typ to ktoś, kto mnie godnie zastąpi! – Mrugnął do Lilki. Poczula, że się czerwieni. Co też mu przyszło do głowy, wołać tu do niej obcego faceta. Może chciał zjeść sobie z gazetą, a nie z samotną babką pod oknem...

– Pewnie pani teraz myśli – mówił szybko Igor – „co też mu przyszło do głowy”. Ale to nie jest obcy facet. Słowik tu idzie, Tomasz, nasz częsty gość. Pani lubi ptaki, on też, warszawka, znajdziecie wspólny język. Tomku, to pani Lilka, fotografuje przyrodę, ptactwo, w tym słowiki. Zagubiła się wczoraj na bagnach... i znalazła u mnie ratunek. – Tu zabawnie skłonił głowę, a rękę położył na sercu. – Zastąpisz mnie godnie, opowiadając damie o walorach okolicy. Mnie wzywają obowiązki.

– Czy mogę sfotografować Darzbór? – zapytała dama. – I ogród?

Zauważyła, że Igor się zawahał.

– Taaak, ale... ale nie wszystko można tu fotografować. Proszę nie przesadzać...

– Dziwne – zauważyła – przecież tu jest przepięknie. Powinien pan mieć foldery reklamowe, wypromować obiekt w całej Polsce. Chętnie przygotuję potrzebne zdjęcia...

– Namawiam go do tego od dwóch lat. – Tomasz roześmiał się, podając jej rękę. – Tomasz Słowicki, dla przyjaciół Słowik. Ale pani stygnie śniadanie. Mogę się przysiąść? – Skinęła głową.

– Chodź jeszcze, Tomaszu, po kawę dla siebie i dla pani – krzyknął zza baru Igor, ale już zajmował się posiłkiem dla pary młodych ludzi, którzy zasiedli w kącie sali, a ze schodów schodziła ostrożnie, bo na zbyt wysokich obcasach, następna mieszkanka, blondynka uczesana w kok, nieco obfita, ale seksowna, bardzo dokładnie umalowana i starannie ubrana. Lilka pomyślała, że pewnie do nich należą samochody na parkingu. Który do kogo? Ford pewnie do parki, może to młode małżeństwo w podróży poślubnej? Jej samej zupełnie nie ułożyło się z mężem, ale lubiła patrzeć na szczęśliwe pary. A renówka pasowała do pani blond, pachnącej perfumami, otulonej białą bluzą. Audi na bank należy do Tomasza – postanowiła Lilka, a on sam właśnie wyrósł przy stoliku z dwiema filiżankami kawy.

– Pan nie je? – zapytała. I pomyślała, że głupio pyta, bo co to ją obchodzi, czy on jada śniadania.

– Rano nie mam apetytu – odparł – ale wezmę drożdżówkę dla towarzystwa. Stasia w kuchni piecze znakomitości, zobaczy pani. Więc trafiła tu pani przypadkiem? Nocą? Więc pani fotografuje? Ale tylko naturę?

Wydawał się szczerze zaciekawiony, więc opowiadała. O tym, że musiała źle skręcić na krzyżówce, że Carska Droga wydawała się jej taka długa w ciemnościach, i coś wynurzył się z boru. Że w wielkim mieście fotografuje

modelki i sesje mody, ale kocha ptaki i marzy o prawdziwym, bogato ilustrowanym albumie ornitologicznym. Dziwiła się sobie, że tak łatwo się zwierza, widocznie Tomasz, mimo że popijał kawę i pogryzał drożdżówkę, umiał słuchać.

– Mam już nawet tytuł – rzekła, uśmiechając się. – *Ptaki Podlasia*. Mam też sporo materiałów, a w tym tygodniu plan, by zdobyć zdjęcia do rozdziału *Przedwiośnie*. Nie mam tylko wydawcy. Wszyscy, których chciałam zainteresować projektem, mówią, że to za drogie przedsięwzięcie i że nikt nie kupi *Ptaków Podlasia*. Bo niby po co?

– To ciekawe – wtrącił – bo ja akurat jestem wydawcą. Firma Retro... Mamy siedzibę na Mokotowie, może pani słyszała... Ale muszę potwierdzić, taki album to mnóstwo pieniędzy na produkcję. Papier, druk, to musi mieć jakość, będzie kosztować potem ponad sto złotych.

– Ale zdjęcia robię ja, za darmo – powiedziała z zapałem. Znajdę tanio redaktora, mam znajomości. Nakład nie musi być duży, może prezydent Białegostoku dałby jakieś fundusze w ramach promocji regionu.

Tomasz roześmiał się.

– Widzę, że rzeczywiście jest pani zdeterminowana. Pomyślę, może ubijemy interes. Może. Może trzeba by zmienić tytuł. *Ptaki Podlasia* to bardzo... proste. Mało sexy, żadnej w tym historii, obietnicy.

Lilka zaczerwieniła się i zapragnęła zapaść się pod ziemię. Ale gafa, mogła zaczekać z tym tytułem, przemyśleć. Nie spodobał mu się. Faktycznie nie był zbyt porywający. *Ptaki Podlasia*. Nudne, jak ona sama. Nie była obiecującą znajomością. Ona też nie była sexy. Zwinęła się w sobie, zaczęła jąkać.

– Tak, tak, rozumiem. Przepraszam, że tak od razu... Jeszcze się nie znamy, a ja już z projektem. Przepraszam, zresztą pójdę, bo mój pies, w pokoju...

– Ma pani psa? – zapytał z zainteresowaniem. – Ja też lubię psy. Jakiej rasy?

Znów się zawstydziła, i to dwa razy. Najpierw głupio się jej zrobiło wobec tego faceta, że nie ma pięknego setera albo modnego labradora, tylko kundla ze schroniska. Potem wobec Borsuka, że mogła tak pomyśleć.

– Borsuk jest mieszańcem – powiedziała szczerze – bardzo wymieszanym, ale bardzo kochanym. I muszę iść do niego, bo nie lubi być zamknięty, zacznie wyc.

Tomasz skłonił uprzejmie głowę, zresztą chyba nie słyszał ostatnich słów, bo podeszła do niego owa blondynka na obcasach i wyglądało na to, że teraz

wydawca porozmawia sobie z kimś bardziej interesującym. Lilka w pokoju padła na tapczan, bliska płaczu, a Borsuk wskoczył obok i zaczął gryźć jej kapeć. Zapragnęła już nigdy nie wychodzić na zewnątrz. Pragnęła nie istnieć. Jak mogła przez chwilę czuć taki błogi spokój! Pozwolić sobie na myśl, że jest kimś ciekawym, bo chce zrobić album. Ornitologiczny! Wszyscy dookoła byli interesującymi obiektami: piękne modelki w centrum uwagi ekip, jej koleżanki z gazet były ciekawe, nawet ptaki, ale nie ona. Tomasz był interesującym mężczyzną. Ileż mógł mieć lat? Wyglądał bardzo młodo, jak to się zdarza zadbanym blondynom, wysokim, niebieskookim słowiańskim typom o gęstej czuprynie, zwłaszcza gdy dbają o kondycję... O, on, opalony, w obcisłych spodniach, on był sexy. Jeśli chodzi o atrakcyjność Lilki, nawet jeśli kiedyś miała nadzieję, że nie jest odrażająca, to kolejni koledzy na studiach, kolejni partnerzy, a potem mąż, udowodnili jej jasno, że się myli. „Teraz, jak sądzę – powiedziała cicho – mogę podobać się tylko ojcu i tobie, Borsuk. Schudłam w dodatku i biust mi jeszcze zmalął. Te kawały o pryszczach zamiast piersi są o mnie, wiesz?”. Borsuk zaskomlał, ale przyczołgał się do niej i wtulił łeb w ramię. „A zresztą – dodała – nie popadajmy w depresję. I tak muszę jechać na swoje łowy. Wracamy do Goniądza, nie? I tak gdyby taki Tomasz się mną zainteresował, dajmy na to, zaproponował spotkanie, to bym pewnie uciekła. Bałabym się. Do tego doszło, że się boję faceta. Nie żebym nie była spragniona odrobiny zwyczajnego seksu, Borsuku, ale – dodała groźnie – widzisz, tak się ułożyło, że wolę to sobie zapewniać sama. A pan Tomasz, przystojniak z bagien, pewnie ma już na oku ponętą blondynę, a ma tam w co się zanurzyć”.

Lilka jako fotografka myślała obrazami, była też kobietą stęsknioną za zmysłowymi doznaniem, wygłodzoną erotycznie, więc wizja obfitej, podnieconej blondynki, jej dużych piersi, opiętych spódnicą szerokich bioder, wymalowanych ust wywołała znajome drżenie w dole brzucha. A może to wspomnienie postaci Tomasza, z tym jasnym wejrzeniem i płową czupryną? Miał zmysłowe usta, miał ładne pośladki. Pomyślała, że kiedy takie duże kobiece piersi pochylają się nad twarzą takiego mężczyzny i kołyszą się jak dwie różowe lampy, on z chęcią znajduje je ustami, całuje i ssie jak dziecko, sprawiając tym rozkosz właścicielce. To był podniecający obraz. Lilka знаła siebie i tę ciepłą falę na skórze, wiedziała, co powinna zrobić w takiej sytuacji. Zniknęła w łazience, zamknawszy psu drzwi przed nosem. Oparta o ścianę prysznicza pieściła się sama, doznawała przyjemności, masując piersi

oliwką. Dotykała ich zimnym strumieniem wody, by poczuły chłód. Sięgnęła po rozgrzewający balsami i posmarowała nim intymne miejsca, poczuła znane mrowienie. Włożyła w siebie palce, pocierając rytmicznie, szybko osiągnęła spełnienie. Napięcie zeszło. Żal, że doznała tego w samotności, pozostał.

Dawniej, kiedy jeszcze była dorastającą dziewczyną, potem na studiach, kiedy zdarzyło się jej zaspokoić swoje zmysły samej, miała ogromne wyrzuty sumienia. Parę przypadków, a za każdym razem czuła do siebie niesmak, uważała, że jest grzeszną rozpustnicą i przysięgała solennie, że nigdy więcej tego nie uczyni. Nigdy. Nie przyznałaby się do tego przed nikim, ani przed lekarzem, ani przed matką, ani księdzem, sądziła więc, że jest jedyną dziewczyną na świecie, która robi takie rzeczy. Zboczeńcem. Bała się, że kiedy przyjdzie jej kochać się z mężczyzną, to nie będzie odczuwać przyjemności. Dlatego pozwalała sobie na to bardzo rzadko, kiedy trapiły ją zmysłowe sny, i było to raczej poszukiwanie swoich czułych miejsc, ciekawość własnego ciała. Potem zaczęła czytać rozmaite wyzwolone magazyny i ze zdumieniem stwierdziła, że jednak nie jest jedyną osobą, która robi takie rzeczy. Co więcej, specjaliści od seksu nie krytykują kobiet, które pieścą się same. Co więcej, zalecają, uznając, że to dobre przygotowanie do klasycznego seksu z partnerem. Najpierw Lilka była zdumiona, potem przestała źle myśleć o sobie. Ale kiedy zdarzył się jej pierwszy raz, z kolegą w akademiku, nie było to doznanie pełne satysfakcji. Kolega zamknął drzwi pokoju od środka, pośpiesznie ściągnął z niej ubranie, sapał z przejęcia, ścisnął za mocno jej piersi, jękał jakieś ochy i achy. Wszystko trwało kilka minut, nie czuła nic oprócz bólu piersi. Nie sprawdziły się żadne wyobrażenia: ani o cierpieniach pierwszego razu, nie było żadnej krwi, nie mówiąc o jakiegokolwiek przyjemności. Chłopak popatrzył na nią z wyrzutem. Sądził, że go okłamała, mówiąc, że jest pierwszy. Ale – myślała później – to był pierwszy raz z kimś. A może to, że zaspokajała się sama, odebrało jej dziewictwo i tę rozkosz seksu, kiedy przyszło do spotkania z mężczyzną? Zaprzestała tego przyjemnego nawyku i czekała. Kolejne związki były żałosne. Albo miała pecha, albo za młodych partnerów. Najczęściej nie czuła żadnej przyjemności, biernie wyczekiwała, aż kolejny kochanek dozna zaspokojenia, i nauczyła się pokrzykiwać w odpowiednich momentach, najlepiej razem z nim. Niektórzy ją bawili, niektórym udawało się trochę ją podniecić, inni zawstydzali, ale spełnienia nie potrafił dać jej żaden. Pewien student, absolwent prawie, myślał o niej poważniej, ale ponieśli kompletne fiasko:

„Zobacz, Lilu, zobacz, jak on rośnie” – wyszeptał w intymnej chwili. Położył jej rękę na swoim penisie. „Aha!” – przytaknęła. Pościskała trochę jego dumę i już nie zdążył nawet się do niej odwrócić ani jej dotknąć. Kiedy próbował kolejny raz, miękki penis nie chciał się ruszyć, mimo wysiłków Lilki, jej pracowitej dłoni i szczerego zaangażowania. I nie było namiętnie, rozkosznie, tylko głupio, a facet zniknął na zawsze. Od tego momentu Lilka pomyślała, że to jej wina, nie jest atrakcyjną kochanką i nigdy nią nie będzie. Do masturbacji też nie wróciła, bo bała się, że przez te praktyki nie umie teraz kochać się z kimś. I popełnia same błędy. Uwierzyła, że może być inaczej, dopiero gdy poznała swojego męża, a to stało się, kiedy już zaczęła pracować. Mąż Lilki, Art, także był fotografem. Do tego jej rówieśnikiem i kochankiem znakomitym. Pracowali w jednej ekipie przy dużym projekcie reklamowym. Lilka cicha i sumienna, Art energiczny, wszędobylski, głośny, chętnie zaczął ją zarządzać. Cieszył się powodzeniem i nigdy by na nią nie zwrócił uwagi, gdyby nie to, że go wyraźnie odtrącała, a potem przyciągała. Zaciekawiał się. Starał się być blisko, raz objął ramieniem, raz pogłaskał po pośladkach. Zbliżał się stopniowo i intrygowała go jej reakcja: kiedyś stała przy oknie, podszedł od tyłu i położył jej ręce na piersiach, zeszywniała, ale nie odepchnęła go. Delikatnie ścisnął, nie reagowała. Popieścił trochę obie piersi, obrysował brodawki paznokciami, czuł podniecenie jej i swoje, ale wysunęła się i uciekła. Innym razem posunął się dalej: przy składaniu sprzętu, byli sami, pochyliła się nad aparatem, luźne spodnie osunęły się nieco na pośladkach, ukazując rąbek majtek. Włożył rękę w te majtki, dość głęboko. Znów zeszywniała, ale nie odepchnęła go, czekała, co więcej, rozsunęła nogi i pozwoliła się pieścić. Wtedy by ją miał, poddała się, było blisko, ale ktoś wszedł i przeszkodził. Zerwała się jak dziki ptak. Ciekawość i zakaz, ale niecałkowita odmowa pchały go ku niej. Pewnego dnia zaciągnął ją do magazynu ze starymi dekoracjami. Dojrzała, ale bała się, a to jeszcze bardziej go podnieciło. Pośród tekturowych pudeł, zakurzonych kostiumów doszło najpierw do pieszczot przez ubrania, bo nie chciała się rozebrać. Ale Art nie mógł wyjść stamtąd bez trofeum, jej skromność wznieciła w nim pożądanie, jakiego nie czuł od dawna.

– Dobrze – szepnął wtedy – ty, dziewico, ty nie rób nic, ja będę grzeczny, aż sama poprosisz. Głaskał ją i długo dotykał, ssał drobne piersi, skupił się tylko na niej. Sama się rozebrała, pozwoliła pieścić i lizać nagą skórę. Potem odszukała dłonią jego twardą męskość, wprowadziła w siebie i po raz

pierwszy zaznała orgazmu. Była szczęśliwa. Nie martwiła się brakiem zabezpieczeń. Pokochała tego człowieka i miała prawo sądzić, że on też. Chciała mieć z nim dziecko, trójkę dzieci, chciała się z nim kochać w dekoracjach, znowu i znowu, szeptała mu do ucha bezwstydne propozycje i pochwały, jakim jest dla niej kochankiem. To zresztą była prawda: jak nikt dotąd. Ogarnął ich oboje erotyczny szał. Ślub nastąpił szybko, bez rozgłosu. W dniu ślubu kochali się przed wyjściem do urzędu, masowali intymne miejsca pod ślubnymi strojami w taksówce, która wiozła ich do restauracji, a tam zostawili na pół godziny tych kilkoro swoich gości, by kochać się w restauracyjnej toalecie. To były romantyczne chwile i Lilka wspominała je nieraz, bez względu na to, co nastąpiło później. Bo oboje byli winni: pomylili fascynację seksualną z miłością. Art, wzięty artysta fotografik w rozjazdach, o wybujałym libido, nie był człowiekiem, który mógł związać się z jedną kobietą. Ona nie uniosła ciosu, kiedy zrozumiała, że znudził się nią, jest bywalcem agencji towarzyskich i portali dla dorosłych. Może gdyby miała dziecko. Ale mimo że kochali się bez żadnej antykoncepcji, codziennie i na różne sposoby, zwłaszcza w pierwszym roku małżeństwa – nigdy nie zaszła w ciążę. Może małżeństwo by przetrwało, gdyby przymknęła oko na jego kochanki na sesjach i przyłączyła się do fascynacji pornografią. Gdyby zgodziła się na jego ostatnie perwersyjne propozycje, kiedy szukał wciąż nowych doznań. Nie zdołała. Rozwód nastąpił równie szybko jak ślub. Wyszła z tego wszystkiego z poczuciem klęski, złamanym sercem, bo przecież go pokochała, i z jeszcze niższą samooceną. „Jesteś nudna – powiedział jej na koniec – i pewnie bezpłodna”.

Początkowo żyła w ascezie seksualnej, bo nawet masturbacja kojarzyła się jej z Artem. Lubił, jak to robiła, namawiał ją i chętnie obserwował, jak sama się pieściła, po czym włączał się w te pieszczoty. Czemu nie, to było nawet podniecające, godziła się, do chwili, kiedy chciał ją fotografować. Od momentu, kiedy włączył kamerę w ich miłosne doznania, zaczął się koniec ich małżeństwa. Krach nastąpił, gdy przyznał się do korzystania z tirówek. Ale po roku niechęci do seksu i lizania ran wróciła do swoich samodzielnych praktyk, bo jak czytała w rozsądnych poradnikach, noszenie skondensowanego napięcia seksualnego nie jest zdrowe. Dlatego dokonywała rozładowania szybko, najczęściej rano, w łazience, trochę tak jakby myła zęby i wklepywała krem w policzki. Potem – już bez poczucia winy – wskakiwała w dzinsy i ruszała do swoich obowiązków, w towarzystwie psa Borsuka. Tak było i tym razem.

Wyszła z łazienki ożywiona i postanowiła wybrać się jednak jakąś zawiłą ścieżką na bagna, bo musiały tu być przecież niezwykle okazy ptaków i przyrody. Owszem, trochę się bała bagien, zwłaszcza po wczorajszym zagubieniu się w nocy, ale jeszcze bardziej ją pociągały. Dlatego kiedy zbiegła po schodach, a Igor i Tomasz przy barze przywitali ją radośnie i zadali niemal jednocześnie swoje pytania, powiedziała dwa razy „tak”. Igor pytał, czy zostanie tutaj ze dwa dni, a Tomasz, czy wybierze się z nim na spacer po okolicy.

*

– Ta okolica jest zdecydowanie niedoceniona! Wydaję również przewodniki turystyczne i proszę mi wierzyć, mało kto wie, jak ciekawe to tereny. Może to i dobrze, nie chciałbym tu tłumów jak na trasie na Morskie Oko. Ma pani przed sobą wiernego i gorącego miłośnika bagien! Z jednym zażaleniem. – Westchnął, jakby wspomniał coś przykrego. Zerknęła na niego, ale o nic nie zapytała.

Przemierzali pieszo szlak prowadzący do wieży widokowej. Zapuscili się dość daleko od parkingu, bo Tomasz, który znał każdą skibę tutejszej ziemi, a przynajmniej tak twierdził, zaproponował taki właśnie plan. Parking auta przy wjeździe do parku narodowego, w połowie drogi na Goniądz. Piesza wędrówka w głąb boru, posiłek pod strzechami. Akurat dobra trasa na pierwszy wypad. Pogoda bardzo im sprzyjała, bo wiosenne słońce świeciło ładnie, w lesie było ciepło, lekka zieleń zaczynała pokrywać gałęzie. Pies biegał szczęśliwy, badając krzaki, bo chociaż psom do parków narodowych nie wolno, Tomasz uspokoił Lilkę: znał tu wszystkich strażników i leśników. Szli teraz jak starzy znajomi pod ogromnymi sosnami, prowadził ich suchy, piaszczysty trakt, nic nie zdradzało faktu, że zaraz za drzewami, od strony zachodniej odcina ich od świata nieprzebyte, groźne trzęsawisko. Od wschodu i północy puszcza. Wrócić można było tylko drogą, którą przybyli, ale nie mieli chęci na powrót.

Lilka patrzyła ciekawie na Tomasza. Zamiłowanie do bagien, okej, ale właściwie co kazało takiemu człowiekowi spędzać tu czas? Ile razy można przyjeżdżać do głuszy, jak miłować rozlewiska, kiedy do zobaczenia jest cały świat? Na końcu szlaku nie było nawet schroniska, bufetu, żeby coś zjeść.

Zasiedli w drewnianej zagrodzie. Lilka wyjęła pakunek przygotowany przez Igora.

– Suchy prowiant z Darzboru – rzekła ze śmiechem. – Kanapki i pomidory, robimy piknik? O, pan Igor wrzucił nam też dwie puszki piwa. Przecież publicznie nie wolno.

– Tu rzadko kto przejmuje się tym, że czegoś nie wolno. Kto panią tu złapie? Łoś?

Wzruszyła ramionami, otworzyła puszkę.

– Dziwne miejsce – szepnęła. Przytaknął i przyjrzał się jej uważniej. Miała bardzo zgrabne ramiona, spadziste i zaskakująco pełne przy tak szczupłej figurze. Wydawała się osobą nieśmiałą, nie lubił lękliwych kobiet, ale ta miała w sobie pewien urok.

– Jak pani się czuje tak daleko od świata? Trochę tu dziko, strasznie, co?

– A jednak bezpiecznie. Wiem, że dookoła bagna i bór, a jednak...

– A gdybym tak okazał się groźnym mordercą kobiet?

Nie miała cienia wątpliwości, nie był przestępcą, a w dodatku trochę ją kokietował. Roześmiała się i z oddalenia zrobiła mu piękną fotografię. Model przedni! Tak nie wyglądają mordercy. Tomasz stał oparty o rosłe drzewo, miał w sobie jakąś siłę i sportową swobodę, bluza safari skojarzyła się jej z *Pożegnaniem z Afryką*, Tomasz z Redfordem.

„Szkoda – pomyślała – że ja tak mało mam z Meryl Streep”. Włosy w ciemnych pasmach spadały jej na oczy, nie odgarniała ich, ale usiadła po turecku na trawie i zajadała kanapkę. Uśmiechała się do swojego towarzysza podróży, ciekawa, o co chodzi z tym jedynym zażaleniem, ale nie pytała. On też popatrzył na nią inaczej, zapragnął nagle poprawić jej tę niesforną grzywkę, żeby odsłonić spojrzenie, spotkać wzrok tej dziwnej, wcale niebrzydkiej fotografki.

– Nie jest pani gadatliwą kobietą – zauważył.

– Nie.

– Nie opowiada pani o sobie?

– Bo nie ma o czym. Rozwódka po przejściach. Wolę słuchać, niech pan mi opowie o sobie, jeśli to nie wścibstwo – zastrzegła szybko i lękliwie.

Tomasz usiadł obok, też otworzył sobie piwo.

– Pewnie myśli pani: co taki gość robi na bagnach? Że wraca tutaj, gdzie ani knajpy, ani towarzystwa? Miłość miłością, ale ile razy można? Powiem pani. Otóż powodów jest kilka: kocham te strony, bo stąd pochodzę. Spisuję

opowieści Podlasia, bo oprócz tego, że jestem wydawcą, jestem pisarzem. Dodajmy, skromnym i nieznanym, bo gdybym był sławny, słyszałaby pani o mnie. Słowicki to nie Słowacki, ha!

Zarumieniła się po uszy. Jak mogła być taką ignorantką! Przecież słyszała! Słowicki, nagroda za najlepsze opowiadanie opiewające małą ojczyznę, rok czy dwa temu. To on? Pisarzy i poetów inaczej sobie wyobrażała, raczej jako pokręconych, bladych chudzielców, a nie dojrzałych, przystojnych, dowcipnych blondynów o wesołych oczach.

– Nie szkodzi. – Tomasz zauważył jej zmieszanie. – Jeszcze daleko mi do pierwszych stron gazet. Jestem tu trochę jakby w pracy, zbieram materiały. Chcę teraz upamiętnić dzieje Carskiej Drogi i twierdzy w Osowcu, tu umieszczę akcję swojej nowej książki. Na bagnach. Nie wyobraża sobie pani, ile wiąże się z nimi ciekawych historii. To są miejsca po trosze... magiczne. Ja stąd pochodzę, ale proszę uważać, bo jedna z magicznych mocy polega na tym, że bagna potrafią ze sobą związać. Jak raz ktoś tu zawita...

– Już się zakochałam – szepnęła. – Pan stąd pochodzi? Z Goniądza?

– Urodziłem się w małej miejscowości pod Łomżą. Nazywa się Piątnica i znana jest z wyrobów mleczarskich, niezbyt poetyckie, co? – Mrugnął okiem. – Potem studiowałem w Białymstoku i w Warszawie. Tam mieszkam, ale wracam tutaj. Wydaje się pani, że to koniec świata, ale tak nie jest. Można powiedzieć: centrum bagienne – w każdą stronę ledwie pięćdziesiąt kilometrów do całkiem sporego miasta. Do Warszawy dwieście – też nie halo. W naszych czasach?

– A to zażalenie?

Milczał chwilę, jakby zastanawiał się, czy powinien jej powiedzieć. Cisza narastała w przestrzeni, a w Lilce wstyd, że zapytała o prywatne sprawy. Pomyśli, że jest wścibską babą. Czemu nie mogła się powstrzymać?

– Jeśli pan nie chce mówić...

– Nie, nie, to nie tajemnica. Każdy mieszkaniec okolicznych wiosek o tym słyszał. Nie chciałem tylko mącić tej sielanki. – Jakby na potwierdzenie jego słów ptak zaśpiewał prześlicznymi trelami, a słońce wyszło spośród gałęzi na polanę.

– Pani Lilko, to smutna historia. Ale cóż, nie ja jeden przeżyłem tragedię. Trzy lata temu zaginął tu mój brat. Poszedł rankiem na bagna i nie wrócił. Szukaliśmy. Matka szalała z rozpacz. Zaginiony to czasem gorzej niż trup, tak myślałem. Ale potem odwrotnie. Bo jak zaginiony, to zawsze może się znaleźć.

Wyjechał, uciekł, prawda? Niestety, wypłuły go bagna... Znaleźliśmy zwłoki. Raczej to, co zostało. Koniec poszukiwań. Poszła wieść: Janek Słowicki utopił się w bagnach. Uwierzyłaby pani? Znał te tereny jak ja. Trzydzieści dwa lata, mężczyzna jak łoś, tak sam się topi na bagnach? – Zamilkł, a ona zrozumiała, że Tomasz nie może tego przeboleć, że samodzielnie szuka odpowiedzi na pytanie: co się naprawdę stało z jego bratem. Obsesja?

– Ale czy to w ogóle możliwe? Utonąć tutaj? Wody nawet nie widać.

– Tak. Bagno jest okrutne, jeśli źle stąpnie pani na trzęsawisku albo łódź się przewróci i odpłynie. Błoto wciąga centymetr po centymetrze, jeśli nie ma się czego uchwycić – koniec. Straszny koniec... Ale mój brat pewnie by się jakoś wydobył. Wynik sekcji nieco rozjaśnił sprawę. Wrzucono go w bagno martwego.

Dreszcz przeszedł jej po plecach.

– No i mówiłem, że będzie smutno. – Westchnął i podał jej rękę. – Zostawmy to, chodźmy dalej. Pokażę pani tak wielkie mrowisko, że nie znajdzie pani drugiego takiego w całej Europie.

Ochoczo wstała. Oparła się na nim na chwilę, by poprawić but. Miał mocne ręce, mięśnie wypracowane, pewnie na siłowni.

– Lubię panią za to, że pani nie dopytuje i nie protestuje – powiedział ze śmiechem. – Rzadkość. Taka kobieta to rzadkość.

Uśmiechnęła się zadowolona. O, miała setki pytań, ale teraz tym bardziej schowa je dla siebie. I tak Tomasz powie jej tylko to, co zechce. On lubił mówić, gadał i gadał o drodze, którą szli, dokąd prowadzi, o ukrytej w zagajniku łodzi, którą warto popływać, a najlepiej zamówić sobie rejs wśród tataraków, i że dwa dni to naprawdę za mało na nadbiebrzańskie bagna. A jeszcze twierdza Osowiec i bunkry na całej linii Wizny, pełne nietoperzy. Jest co fotografować. Lilce nie trzeba było tego mówić. Słuchała i fotografowała: mrowisko, wiewiórki, Borsuka wężącego trop, aż Tomasz zdecydował, że czas wracać. Przestał gadać, szli więc sobie w milczeniu. Rozglądała się, niewiele mówiła, pokręcił głową z niedowierzaniem. Tajemnicza, niespotykana dziewczyna. Lilka natomiast była pewna, że wydała się mu nudna.

*

Była zmęczona po tej podróży. Borsuk chyba troszeczkę też, bo zasnął mocno i poruszał łapami, jakby polował na zająca. Lilka pozwoliła mu śnić, rozkoszowała się prysznicem i miękkim szlafrokiem, ale głód przypomniał jej, że zamiast obiadu spożyła tylko kanapki i piwo. Z kuchni dochodził zapach obiadokolacji. Wskoczyła w dżinsy, włożyła miękki, ciemny golf, lubiła go, bo mogła zasłonić nim pół twarzy, a za długie rękawy pozwalały ukryć dłonie aż po knykcie. Spodziewała się szwedzkiego stołu, pomyślała, że schowa się pod oknem z jakimś talerzem, ciekawa była, czy Tomasz też będzie na posiłku. Owszem, był szwedzki stół i pachnąca w kotle bulionowa polewka, ale nie było Tomasza. Poczula lekkie rozczarowanie, lecz ogień trzaskał w kominku, a kielbaski i boczek skwierczały na wielkim ruszcie, wszelkie uczucia zagłuszył apetyt. Mowy nie było, żeby się ukryć.

Igor Karczuk, już w mniej służbowej odsłonie, chociaż nadal w białej koszuli, nadal z kucykiem ciemnych, spiralnych włosów, królował z chochlą zamiast berła przy ogromnym stole, nakrytym na dziesięć osób, w samym centrum sali.

– Hop, hop, tutaj – zakrzyknął na jej widok. – Bywaj! Tak tu wołamy. Proszę do wspólnego stołu! Za mało nas, żeby jeść po kątach. Trzeba się integrować. A poza tym obiecałem pani, że wieczorem pogadamy. Pewnie głodna?

Kiwnęła głową, że tak. Nagle zakręcił nią i zanim się obejrzała, już siedziała za stołem, a przed nią wylądowała filiżanka gorącego rosółu z kluskami, a Igor nakładał na talerz ogromne kartacze.

– Zanim spróbuje pani dań według własnej woli, koniecznie specjalność lokalu. Kartacze z grzybowym wsadem, polane sosem myśliwskim. Grzybów wprawdzie jeszcze nie ma, ale ostatni sezon był bogaty, mam farsz w słojach, mam mrożone czerwonogłowe. Je pani mięso?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jadała, chociaż niekoniecznie, mogła żyć bez kotletów, ale nie była pewna, co chciałby usłyszeć ten dziwny gospodarz Darzboru. Może akurat jest obrońcą zwierząt i uważa amatorów mięsa za morderców? Chociaż nie, to nie pasowałoby do regionu, tu raczej spodziewałaby się myśliwych i dziczyzny. Zanim się zdecydowała, sam sobie odpowiedział:

– Tak. Nie. Nie wiem! – zażartował. – W każdym razie kartacze są z grzybami, ale rosół na kości. Tu jada się mięso, o jarskie danie trudniej, lecz wszystko możliwe, dlatego spytałem. Proszę pałaszować, zaraz zejda się inni,

Tomasza już słyszę przy samochodzie, o, idzie też pani Barbara.

Rzeczywiście, w drzwiach sali pojawiła się apetyczna blondynka, zapach zwabił także młodą parę, samotnego gościa z pierwszego piętra, a przed Darzbór zajechały dwa następne samochody.

– A mówią, że jeszcze nie ma sezonu – rzekł zadowolony Igor. Do karczmy weszła grupa wycieczkowiczów, każdy czegoś chciał, zapanował chaos. Igor zawołał dziewczynę do barku i kelnera, sam rozlewał rosół z kotła i przewracał mięso na ruszcie. Lilka mogła teraz przyglądać się ludziom i krzątaniu. Nagle znalazł się obok niej Tomasz. Także zajadał kartacze, a że obok usiadła Barbara, poznał je ze sobą.

– Pani Barbara mieszka w Białymstoku. Przyjeżdża tu do nas regularnie – powiedział z uśmiechem. – Słyszysz, Igor, jak się panoszę: „u nas” powiadam. Igor pogroził mu pogrzebaczem. Byli najwyraźniej bardzo zaprzyjaźnieni.

– My z kolei aż z Łodzi! – Młoda para dosiadła się do nich w pośpiechu, z obawy, że nowi zajmą im miejsca. – Grażyna i Antek Haliccy. Jesteśmy zachwyceni! Jak dobrze, że wybraliśmy się tutaj, na Biebrzę, a nie gdzieś w oklepane góry. Za granicą niebezpiecznie, mówimy: Biebrza, Narew, znajomi nam odradzali, że nie ma tu infrastruktury, a tu proszę, taka kuchnia i wcale niedrogo...

Przekrzykiwali się jedno przez drugie. Dobrze ich rozszyfrowała: byli w podróży poślubnej, szczęśliwi, wciąż podkreślali swoją bliskość: ona trzymała go za rękę, głaskała po ramieniu, a on ją silnie przygarniał. Opowiadali o sobie chętnie, kończyli studia rolnicze, teraz udało im się wyrwać, bo na piątym roku tylko seminarium, może postarają się o dziecko. Grażyna Halicka zarumieniła się lekko. Pani Barbara uśmiechała się z wyższością i systematycznie pochłaniała posiłek. Zgrabnie kroić kartacze na małe kawałeczki i sumiennie przeżuwać, popijając rosół. „Jak dostojna żmudna krowa” – pomyślała Lilka. Jakiś siwy samotnik zajął odosobnione miejsce pod oknem, znany wyraźnie Tomaszowi, bo się przywitali. Igor podał wódkę, Tomasz sprawnie rozlał wszystkim i wychylił pierwszy kielich, Basia chlupnęła zadziwiająco szybko i do dna, młoda para sumitowała się nieco, bo kto wie, może ona już... A on jutro za kierownicę. To może ona poprowadzi forda. A więc Lilka dobrze im przypisała auto. Zanim się dogadali, Tomasz z Barbarą pili trzeci toast, Igor dolewał i zachęcał Lilkę. Nie lubiła wódki, ale wypięła. Mocny trunek szczypał w gardle, poczuła łzy w oczach. Z podziwem patrzyła na Barbarę, która dostała wypieków na policzkach i plam na dekolcie,

nabrała też jeszcze więcej odwagi i wyraźnie flirtowała z Tomaszem. Przysuwała się do niego, śmiała głośno, łapiąc za kołnierzyk koszuli, bluzka opięta na biuście niemal pękała pod guzikami. Tomasz wtórował jej w dowcipach. Parka dogadała się wreszcie, pili oboje i zaglądali sobie w oczy, całowali się od czasu do czasu, a nowi goście odciągnęli Igora, dopytując o nocleg. Lilka znów była sama. Barbara szeptała Tomaszowi do ucha kawał. Chyba sprośny, biust jej falował, uszy poczerwieniały. W sali unosił się zapach wódki, kiszzonego ogórka, sosów i duchoty. Tomasz zauważył osamotnienie Lilki.

– Co by to było, gdyby tak teraz nieznana siła odcięła nas całkowicie od świata? – zażartował. – Jakaś nawałnica, lawina błotna albo wichura? Uwięzieni na bagnach, jakbyśmy dali radę?

Barbara zaśmiała się niskim gardłowym głosem. Czuła już wódkę we krwi i niestraszne jej były katastroficzne scenariusze. Może nawet byłaby za. Oparła łokcie na stole, podparła brodę i zajrzała w oczy Tomaszowi.

– A choćbyśmy zostali sami na całej ziemi, to i co? – zamruczała kokieteryjnie. – Jest nas tu kilka babek i chłopów, zadbalibyśmy, żeby ludzkość nie zginęła, co Tomku? – O! Oni już nad tym pracują. – Chwiejącym się palcem pokazała parę młodych małżonków. Antek gładził pośladki żony, Barbara objęła Tomasza za szyję – Może i my pójdziemy nad tym pracować. Ten siwy, samotny? Nie wiem. – Czknęła. – Może iść z nami. Igor? Nie, Igor z nikim nie pójdzie. A ona? – oskarżycielsko skierowała upierścieniony paluch w Lilkę. – Kto z nią zechce przedłużać byt ludzkości?

Zanim sama Lilka odpowiedziała jej smutno, że nikt, Tomasz wyzwolił się z objęć Basi.

– A ja to wszystko opiszę i zyskam sławę na wieki – oznajmił. – Co mam zrobić z nimi? – zapytał konspiracyjnie, wskazując na grupę przybyszów.

– Zginą w lawinie błota. – Barbara skasowała ich lekceważąco. – Zostaną nam po nich bagaże i komórki bez zasięgu...

– A co po nas zostanie? – zapytał Igor. Usiadł obok Lilki, wydało się jej nawet, że kieruje to pytanie do niej. – Czego byście żałowali, gdyby tak faktycznie świat zniknął i zostalibyśmy tylko my na bagnach?

Młoda para obruszyła się, wizja przestała się im podobać. Nie, nie, tam gdzieś daleko w mieście czekało na nich mieszkanie, znajomi, rodzinka, dzieci, które się urodzą, i awanse w pracy. Oni sami w conocnych zmaganiach małżeńskich, na niedzielnych mszach i zakupach w supermarketach. Nie

godzili się na bagienne katastrofę. Basia chichotała. Czy miała czego żałować? Wprawdzie jej notarialna praktyka dobrze prosperowała w Białymstoku, przy ulicy Lipowej, ale syn z pierwszego małżeństwa trwonił dochody z mamy kancelarii na uroki życia. Sama Barbara, rezydująca w bloku na nowym osiedlu, mniej go interesowała. Mąż numer dwa zniknął, a klienci byli wkurzający i nudni... Nie było jednak źle, trzymała się świetnie, brakowało jej tylko partnera do życia i do łóżka, bo czas biegł bezlitośnie. Zaakceptowałyby i kolesia z bagien.

– Mogłabym tu zostać – oznajmiła – ale nie sama.

Lilka zastanowiła się nad sobą. Doszła do smutnej konstatacji, że skoro ma ze sobą psa, to może sobie ta lawina przychodzić. Nikt tam za nią nie będzie płakał w szumnej Warszawie, a tutaj, pośród ptaków i ciszy z łąk, jej byłoby lepiej niż wśród sztucznych póz i świateł lamp na sesjach. Jedynie rodzice by jej szukali, ale poza nimi to kto? Były mąż? Na pewno nie. Koleżanki z redakcji? Miała na FB dwustu znajomych, ale poczuła się nagle bardzo samotna. A tutaj? Też pozostawał jej pies. Igor wprawdzie trochę ją adorował, opowiadał o sobie, częstował jakimiś smakołykami i komplementami, ale czuła w nim coś dziwnego. Najpierw sądziła, że chce ją poderwać, zwłaszcza kiedy zaczął karmić ją jak dziecko, podając widelczykiem prosto do ust śliwki w occie, a w pewnej chwili objął ramieniem i z sentymentem zaśpiewał: „Hej, hej dziewczyno!!!”. Ale ku jej uldze nie posunął się dalej i kiedy wymknęła się z jego objęć, zaszyła w swoim pokoiku, nikt już jej nie niepokoił. Wychodząc, widziała, jak Barbara przystępuje do ataku na Tomasza. Ciekawe – pomyślała – czy złowi go na tę noc? Znowu poczuła ukłucie. Nie potrafiłaby tak, może szkoda.

A Tomasz obiecywał jej jutro wycieczkę do ciekawego miejsca. Jeśli dotrzyma słowa, to może znowu zagai o ten album? Chyba że seksowna Barbara zagarnie go dla siebie...

Noc za oknem znowu była smolista. Lilka pomyślała, że w mieście nigdy nie jest tak ciemno, jakoś tak nierealnie. Dobrze, że dobiegały ją dźwięki imprezy z sali, bo w ciszy znowu zaczęłaby wątpić, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Zasnęła bardzo mocno, widocznie podziałało tutejsze powietrze. Pod lekką kołdrą nie docierał do niej chłód, nie trapiły jej żadne koszmary, dopiero o świcie wyrwał ją ze snu godowy krzyk ptaków i zimny nos chrapiącego Borsuka.

Lilka zeszła cicho na dół i zrozumiała, że wszyscy jeszcze śpią. Zrobiła

sobie kawę, wypuściła psa, który pobiegł do krów, gdzie już kręcili się jacyś ludzie. Piła kawę w progu karczmy, czekając na niego. Dwóch mężczyzn rozmawiało obok stajni. Wydało się jej, że to kelner kłóci się z jakimś obcym człowiekiem. Nowy gość? Nie, raczej stara niechęć. Omal go nie uderzył. Znikli, a na podwórku pojawił się Tomasz. Chciała podejść, pomachać na powitanie, ale nie zauważył jej i też znikł za budynkami. Za to pies wrócił zziębnięty, zadowolony, cichutko wspięli się po schodach do swojego pokoju. Lilka patrzyła i patrzyła przez okno, na jasnozielone morze świeżej trawy, na mgły nad nią. Ten świt był inny: srebrnoszary, ciepły, ale perłowy, bez słońca. „Mgły przybierają postaci tańczących wodnic” – czytała kiedyś takie legendy. Ale może spośród tych mgieł wynurzy się jeszcze całkiem ładny dzień. Zasiadła do laptopa, zaczęła zrzucać zdjęcia na dysk. Były piękne, naprawdę piękne. Nie o to chodziło, że uchwyciła ten świat, że na ekranie tańczyły soczyste barwy, tu bataliony w locie, tu przyłapaną na gałęzi rozśpiewaną wodniczka. Było w tych zdjęciach coś więcej: cień sztuki, tu lekki ruch, a tam perspektywa. Lilka wiedziała o tym, z zapalem zabrała się za czyszczenie i kolorystykę. Mgły unosiły się nad łąkami, budził się Darzbór, a ona, pochłonięta fotografiami, zauroczona ujęciem białoskrzydłej rybitwy, zapomniała o całym świecie.

– Na śniadanie, na śniadanie! – Usłyszała gong od uderzenia w patelnię i głos Igora. Kiedy zeszła, wczorajsi biesiadnicy jak najlepsi przyjaciele witali się porozumiewawczymi spojrzeniami i leniwie pojadali poranny posiłek. Ciekawe – pomyślała Lilka – że ludzie tak mają. Sądzą, iż wspólna impreza czyni ich bardziej znajomymi, a nawet przyjaciółmi. A to tylko jeden zakrapiany wieczór. Szkoda, że nie wypadało jej sfotografować teraz tej zacienionej sali, stołu i osób zadowolonych z minionej nocy. Para Halickich czule ocierała się o siebie, wysyłając wyraźne sygnały, że zgodnie z zapowiedzią pracowali nocą nad potomstwem i że nie ustaną w staraniach. Barbary jeszcze nie było, Tomasz wszedł z podwórza, a z nim powiew chłodnego, pachnącego powietrza. Lilka nie wiadomo czemu odczuła ulgę, przecież nie miała żadnego prawa, żeby się wtrącać, z kim śpi taki Tomasz – wydawca, pisarz, piewca Podlasia. A jednak usiadł obok niej, smarował chleb ruchem, który wydał się jej wdzięczny i zgrabny. Na stół wjechała jajecznicą na boczku, Igor zachęcał, Lilka jadła ze smakiem. Tomasz przypomniał jej o wycieczce, konspiracyjnym tonem szepnął: „Spotkajmy się o dziewiątej, za domem, przy ruczaju, tam porwę panią w podróż nieznaną”.

Kiwnęła głową na znak zgody. „Nie pożałuje pani swojej decyzji” – dodał. Przyjemność popsuła jej Barbara – schodziła ze schodów, porozumiewawczo uśmiechała się do Tomasza, uniosła nawet rękę w geście powitania, a on uprzejmie wstał i przysunął jej krzesło. Zajął się już tylko nią, podawał cukier i kawę, rozmawiali żywo o prawie autorskim, ale Lilka nie miała odczucia, że zachowują się tak, jakby spędzili ze sobą noc. Tomasz był bardzo uprzejmy, ale tylko uprzejmy. Barbara kokieteryjna i wesoła, ale bez tego charakterystycznego triumfu nasyconej, dobrze wypieszczonej kobiety. Dwoje ludzi po upojnej nocy? Nie, zdecydowanie nie, raczej znajomi, których łączy biznes. Pokrzepiona tą myślą, dopiła mleko i poszła przygotować się do wycieczki. Znalazła się w umówionym miejscu ubrana jak na wyprawę w busz: w chustce na włosach, w dobrych butach, z plecaczkiem i sprzętem fotograficznym na ramieniu. Oczywiście, piętnaście minut przed czasem. Pies zdążył się zdrzemnąć, zanim radośnie przywitał nadchodzącego Tomasza.

*

Najpierw jechali żwirówką przez las. Potem mały odcinek asfaltem. Rozjechane żmije przeraziły Lilkę. Tomasz wyjaśnił jej, że zwabione ciepłem wychodzą na jezdnię, a kierowcy nie są w stanie ich zauważyć. Bała się żmij.

– A wilków? – zapytał. – Wie pani, że leśnicy odbudowują teraz stada wilków? Bezmyślny odstrzał spowodował, że zanikają, a za to panoszą się sarny i jelenie. – Uśmiechnął się. – Wiem, wiem, kobiety takie jak pani wolą sarenki, ale w ekosystemie musi być równowaga. Wilk potrzebny.

Nagle auto skręciło w lewo w wieś. Minęli kilka domów, gajówkę i wiejska droga przemieniła się w piaszczysty trakt.

– Nasze safari – powiedział Tomasz i dodał gazu, aż samochód zarzuciło na piachu. Miała wrażenie, że trochę się przed nią popisuje brawurową jazdą. Dzisiaj miał obcisłe džinsy i bawełniany T-shirt. Lilka musiała użyć całej siły woli, żeby nie zerkać na wypukłość przy rozporoku. Ciągnęło jej wzrok ku temu zgrabnemu wzniesieniu, a gdyby to zauważył, zapadłaby się w te piachy. Uciekła się do swojego profesjonalizmu i chwyciła za aparat. Jechali teraz wolniutko, zagłębiali się w całkowicie bezładne tereny, próbowała złapać obiektywem mechowisko. Minęli ku jej zdziwieniu starą nitkę kolei, pojedynczy wąski tor, i dotarli do starego płotu, za którym stała drewniana

chałupa. Zupełnie samotna, w otoczeniu wiązów, z desek i bali, z małymi okienkami i brązowym dachem.

– Czyżby tu była chatka Baby-Jagi? – zapytała oczarowana. – Gdzie komin z czekolady, gdzie kocur na płocie?

– Chciałbym – odparł Tomasz ze śmiechem – ale nie. Przywiozłem cię, moja pani, do owianego legendą Domu Dróżnika. Tak tutaj mówią: Dom Dróżnika, gdyż przed stu laty mieszkał tu dróżnik z rodziną.

– Na takim odludziu? – rzekła Lilka zaskoczona. – Toż tutaj kolei nie ma, po co dróżnik? Czyżby ten przejazd?

– No właśnie ten. Teraz jest marny, martwy prawie, ale przed pierwszą wojną był ważny, zresztą istniały plany rozbudowy. Linia Białystok – Grodno – Brześć. Do pilnowania przejazdu i materiałów potrzebnych na budowę bunkrów zatrudniano dróżników.

– Jak oni żyli? – szepnęła. – Zupełnie sami? Nie popadali w depresję?

Borsuk obwąchiwał płot, ale nie śmiał go obsikać. Pobiegnął do zagajnika.

– Ano żyli i nie popadali. – Tomasz otworzył furtkę i zaprosił ją do środka. – Kiedy taki człowiek dostał zatrudnienie jako dróżnik, wcale nie narzekał. Był pracownikiem kolei, miał stały dochód. Pilnował terenu, a oprócz tego prowadził sobie gospodarstwo. Krówka, świnka i ogródek. Nie potrzebowali sklepów ani kina...

– Ale jak zimą? Bez prądu? Bez sąsiadów?

Tomasz roześmiał się.

– Nie było wtedy elektryczności w całej okolicy. Konia miał, by w razie czego jechać do wsi, ale dla byle czego nie męczył zwierzęcia. Po lekarza, powiedzmy, może. W ziemi spiżarnia, a ciepło zimą? Zaraz zobaczymy piec naprawdę godny Baby-Jagi.

– A woda stąd? – Lilka z zachwytem popatrzyła na studnię z żurawiem. – Przepiękny, starodawny żuraw – zawołała i chwyciła aparat, ale Tomasz przesłonił ręką obiektyw.

– Proszę nie fotografować! – powiedział poważnie. – Ludzie tutejsi mówią, że nie wolno fotografować ani malować Domu Dróżnika. Duch Bagien się obrazi, jak mówią tutejsi. Nic stąd nie może być zabrane do świata, nawet widok tego miejsca. Rozegrała się tu kiedyś tragedia i kto dom utrwała, zabiera do siebie jej część. Nie chce się pani chyba narazić na nieszczęście, prawda?

– Zabobony – mruknęła niechętnie, ale opuściła aparat. – Opowie mi pan tę

historię?

– Tak, zresztą w środku dostaniemy doskonałą kawę ze spirytusem albo czaj z miodem. Jest tu mały bar, otwarty w sezonie. Dom Dróżnika to jedna z atrakcji. Nawet kilka pokoi noclegowych mają tutaj, a prowadzi biznes małżeństwo z Białegostoku. Białoruskie klimaty, widocznie przeznaczenie tego miejsca.

Weszli do sali, która pewnie była niegdyś kuchnią, ktoś rzeczywiście wyłonił się z zaplecza.

– Powitać, panie Marku – zakrzyknął do chłopaka Tomasz. – A to syn właścicieli, Marek. Co to, pan nie na zajęciach? Zagonili studenta do roboty?

– Ano potrzeba pomóc. – Chłopak uśmiechnął się grzecznie. – Szkoła nie zajac... mama chora trocha, ojciec po towar, a ja za ładę. Ale nie ma wiele ludzi.

– Widzi pan, a ja gościa przywiozłem. Pani Alicja z Warszawy, fotografka.

– Tylko tutaj nie wolno – zastrzegł chłopak.

– Uprzedziłem – uspokoił go Tomasz. – Pani fotografuje głównie przyrodę. Pójdziemy trochę w las, gniazda ptasie i krzewy zobaczyć.

– Łoo! – Marek roześmiał się. – To jak na ptasie gniazda, to trza samym świtem w olsy. Ptak po południu lata wysoko. Ale za łęgami rośnie wierzba lapońska, jak pani lubi dziwy przyrody.

– Może i świtem przyjedziemy, ale to innym razem – odrzekł Tomasz. – Teraz wstępny rekonesans, prawda?

Przytaknęła. Poszli ścieżką w łęgi, chociaż Lilka to odwracała się ku chacie, to znów zerknęła na swojego towarzysza. Tomasz także spoglądał na nią. Sam się dziwił, że przez ten las idzie obok niego całkiem interesująca kobieta z miasta, ciemne oczy, ładne usta, trochę smutne. W końcu wziął ją za rękę, nie protestowała. Opowiadał o gatunkach ptaków, torfowisk, a nawet pajaków. Nie wiedziała, że istnieje aż dziewiętnaście gatunków pijawek! Pytał, czy zna kształt bekasika, czy nie boi się puchacza. Pokazywał bobki, które miały świadczyć o obecności dzików, śmiał się, że mało to romantyczny spacer. Dla pasjonatów puszczy nie ma skarbu nad kupę jelenia, mówił, kiedy nad nimi uniósł się szum skrzydeł i ptasi krzyk. Oto klucz żurawi. Wracają z ciepłych krajów, do domu. Stanęli w zachwycie. Fotografowała, to wysoki lot ptactwa, to mchy blisko ziemi.

– Nie widziałem tak małomównej kobiety – rzekł Tomasz – ale chyba rozumiem. Potrafi pani jak jakiś fakir zaczarować węża, omamić łosia, by

pozowali do zdjęć. Do tego „potrzeba być cicho”, jak rzekłby Marek. Proszę zobaczyć, jaki dąb.

Lilka dotknęła ręką kory drzewa, oparła się ufnie plecami i przytknęła głowę do chropowatego pnia. Tomasz stanął obok i dłońmi obwiodł jej twarz. Zamknęła oczy. Pochylił się cicho, pocałował ją delikatnie, tylko górną wargę. Lilka znieruchomiała, ale kiedy ją objął, zrozumiał, że ma przyzwolenie na pocałunki. Pocałował ją więc mocniej. Czuł, że te usta, ładnie wykrojone, pełne, trochę blade, dawno nie zaznały pieśzcoty drugich ust. Odsunął się na chwilę, nadal miała zamknięte oczy, odgarnął z nich włosy. Była niższa od niego, pochylił się nad nią znowu, rozchyliła usta w oczekiwaniu. Poddał ich oboje rozkoszy całowania. Muskał jej wargi lekko i ogarniał swoimi ustami, naciskał mocniej, wnikał do środka i szukał języka. Skojarzył mu się smak cydru. Lilka uległa czarowi tej chwili, objęła go za szyję, sama oddawała pocałunki, łapała oddech i pieściła językiem gładkie zęby Tomasza. Świat wirował wokół,omal nie upadła, ale Tomasz trzymał ją mocno, opierał o drzewo i całował. Tylko całował. Jego dłonie nie pobiegły w dół, by ją pieścić, chociaż wysunęła biodra i pozwoliłaby na to. Czekwała może, żeby zszedł niżej tymi gorącymi, mokrymi pocałunkami, ale on skupił się na ustach, smakując do syta, zmieniając siłę i częstotliwość dotknięć. Przemknęło jej przez myśl, że może powinna go zachęcić i sama powędrować ręką do tego rozporoka, który przyciągał rano jej wzrok, ale nie miała odwagi. Zresztą nie czuła chęci na nic poza tym, by włożyć palce między gęste, jasne włosy mężczyzny, dotykać lekko uszu i skroni i poddać się temu genialnemu całowaniu. Starczyło teraz niemal za cały akt seksualny, i nawet go przypominało, bo w pewnej chwili Tomasz pocałował ją głęboko, poczuła dreszcz, westchnął i zakończył lekkim przypieczętowaniem ustami jej obrzmiałych ust. Osunął się, i wtedy dopiero otworzyła oczy, przestraszona, czy tak długi pocałunek podobał się tak samo jemu jak jej. Ale chyba tak, bo Tomasz uśmiechał się wesoło i podał jej manierkę z wodą.

– Dawno nikt pani nie całował – powiedział – a szkoda. Usta smakują egzotycznie. Nie gniewa się pani?

Zaprzeczyła gestem. Jeśli czegoś żałowała, to tego, że nie posunął się dalej. Nikt nigdy jej tak nie całował, nie to, że dawno. Nigdy. Pospieszne pocałunki, by przejść do rzeczy, tylko takie znała. I nadal mówił do niej pani. Tomasz roześmiał się.

– Ma pani rację, nie należy nadużywać ust do gadania, gdy stworzone

zostały do całowania. Te na pewno. Chodźmy, pies znudził się nami i chce wody.

Lilka nadal nic nie mówiła. Pies istotnie spał odwrócony od nich, wzór psiej dyskrecji. Zebrała swoje rzeczy, gwizdnęła tylko na Borsuka i ufnie włożyła Tomaszowi rękę pod ramię. Uszli kawałek, gdy zatrzymał się gwałtownie, obrócił ją ku sobie. Miała nadzieję, że znowu ją pocałuje, uniosła brodę i przymknęła powieki, ale musnął ją tylko w czoło i powiedział:

– Ciekawa z pani osoba, Lilko. Zamyka się pani w sobie, odgradza od świata. A jednak dopilnuję, żeby następnym razem otworzyła pani oczy.

W Domu Dróżnika młody Marek zaserwował im prawdziwe pielmieni. Lilka zajadała się nimi ze smakiem, ale kiedy poprosiła o przepis, chłopak odmówił.

– Tajemnicza receptura mamy – oznajmił. – Ja nawet nie umiem zrobić. Myślę, że cała sprawa w farszu. Ona dodaje coś, co dodawała babcia, a babcia była z Pomygacz za Białymstokiem, tam znają dawne przepisy. Szeptucha mieszkała obok, babcia się przyjaźniła. Więc może i czary jakieś znała...

– No to nie zdziwię się wcale, jak pani będzie miała jakieś wizje po drodze – zażartował Tomasz. – Proszę tyle nie jeść tych pielmieni, pewnie są w nich chińskie grzybki...

– Raczej tutejsze surojadki, one podobno dają przyjemne sny – rzucił Marek. – Tylko obgotować trzy razy trza, bo inaczej brzuch boli.

Lilka bezwstydnie zjadła wszystkie pierożki, wychyliła swoją kawę zakrapianą spirytusem i zapytała o ilustracje na ścianie. Wisiały tu ryciny pierwszych pociągów, lokomotywa wjeżdżająca na stację, zabytkowy dworzec w Białymstoku na wyblakłej fotografii.

– Ooo – mówił tutejszym zaśpiewem Marek – te obrazki to były jeszcze przed wojną. My ich nie zdejmowali, po co, a goście ciekawi, jakie wagony niegdyś były. Na Grodno się wtedy jechało, i to szybciej niż dziś. Pani zobaczy album.

W albumie stare fotografie zatrzymały w czasie chwilę z gwarnego dworca: podróżne damy z walizkami, parasolkami, wagon, zdjęcie wykonano na peronie. Lilka z zawodową ciekawością dotykała papieru i zastanawiała się nad techniką fotografa. Jakże się ustawiał w tamtych czasach, bez rybiego oka, że ogarnął tak panoramicznie ruch na peronie, tragarzy z wózkami, chłopca biegnącego bokiem, a nawet babkę sprzedającą publiczki? Na zdjęciu tętniło

życie z początku wieku dwudziestego, chociaż w sepii, wyblakłe, minione, to niemal słychać było gwar peronu, gwizd pociągu i pokrzykiwanie konduktora. Na innym kobieta w pelerynie i kapeluszu, najwyraźniej oczekująca na pociąg, oparta o walizkę, trzymała w ręku smycz. U jej nóg piesek – zatrzymany w kadrze, gdy staje słupka, pełen nadziei na pochwałę. – Jaki podobny do Borsuka. – Lilka wskazała palcem. – On też tak potrafi, może pan nam zrobić podobne zdjęcie. Dziwne, prawda? Tyle lat, a zmieniły się tylko kostiumy.

– Ciekawe, dokąd podróżowali – Tomasz zastanawiał się przez chwilę. – Nie wiadomo. Szkoda, że nikt tego nie opisał. To pewnie jakaś Rosjanka powracająca do domu.

– Czy to pierwsi właściciele? – zapytała Lilka, wskazując na portret rodziny, bardzo stary. Wąsaty mężczyzna w mundurze kolejarza stał obok siedzącej sztywno kobiety, przed nimi przyklękła dziewczynka w jasnej sukience, podkolanówkach, z kokardą we włosach. Matka miała surową minę, biały kołnierzyk, ale odkrytą głowę, przedziałek pośrodku i gładki kok. – Czy to ci ludzie, z którymi wiąże się dramatyczna historia?

– A nie – odpowiedział jej Tomasz. – To rodzina, która mieszkała tu przed wojną, już następna. Po tamtych nie zostało ani zdjęcie, ani rysunek, wszystko zniszczono.

– Dlaczego? – zapytała zdumiona Lilka. – Przecież szkoda takich dokumentów.

– Ktoś chciał zniszczyć wszystkie ślady. Ale o tym opowiem pani w samochodzie – odparł Tomasz. – No, moi pasażerowie, idźcie już do auta, ja tylko zapłacę Markowi.

Lilka wyszła przed Dom Dróżnika. Nagle została sama z tym baśniowym budynkiem ze zdobionym gankiem i małymi okienkami. Oparła się o samochód Tomasza i westchnęła z żalu, że nie wolno robić zdjęć, a byłoby znakomite ujęcie do folderu reklamowego albo nawet tylko na pamiątkę. Przecież kiedy pojedą, zostawią to za zakrętami i lasami, wszystko zniknie. Skąd będzie miała pewność, że tu była i że Dom Dróżnika istnieje naprawdę?

Rozejrzała się. Nadal była sama, widocznie pan Tomasz jeszcze rozmawiał z Markiem. Borsuk już umościł się w samochodzie, zresztą on nigdy nie zdradziłby tajemnic swojej pani.

„O Jezu – pomyślała szybko – przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek. Jakie znowu nieszczęścia od zdjęć!”. Szybko zbliżyła aparat do oka, ustawiła obiektyw, wykonała kilka ujęć, całości i detali. Zerknęła jeszcze w wizjer:

Dom Dróżnika widniał uchwycony doskonale, utrwalony na wieki w jej zbiorach. „Mam to – szepnęła do siebie zachwycona. – Przepiękne zdjęcia”.

Akurat zdążyła schować sprzęt do plecaka, a plecak do bagażnika, kiedy z Domu Dróżnika wyszli obaj mężczyźni.

*

Miała wrażenie, że jej kierowca jest spięty, jakby coś go zdenerwowało. W milczeniu wracali piaszczystym traktem, ostrożnie przebili się koło grzędzawiska. Kiedy wyjechali z boru na asfaltówkę Carskiej Drogi, Tomasz nieco się odprężył.

– No i jak tam, cicha dziewczyno? – zapytał. – Chcesz usłyszeć tę starą krwawą historię, zwaną tu tragedią Domu Dróżnika?

Cicha dziewczyna, zadowolona, że przeszedł na ty, skinęła głową, że tak. Tomasz zaczął opowieść.

– Pierwszy domek dla rodziny dróżnika zbudowano tutaj za czasów carskich, jeszcze w końcu dziewiętnastego wieku, kiedy powstawała wspomniana linia kolejowa Białystok – Brześć – Grodno. Domki dróżników były niezbędne dla zawiadywania małą stacją, odbierania telegramów. Zwano je koszarkami. Były to budynki jednorodzinne, często oddalone od wiosek, doskonale dla samotnika, ale najczęściej taki dróżnik miał rodzinę. Ten, o którym opowiadam, przybył z Rosji, nikt nie pamięta oczywiście jego imienia, pewnie już wówczas nie pamiętano, bo wszyscy mówili o nim Ruski Dróżnik. Przywiózł ze sobą żonę i córkę. O żonie nie wiadomo nic, o córce wieść niesie, że była bardzo piękna. Wierzę w to, bo znam Rosjanki, są albo nijakie, albo urodziwe, ale jak już któraś jest piękna, to tak, że dech zapiera. Taka była Natasza, młoda dziewczyna wychowana w tej puszczy, prawie bez kontaktu z ludźmi, bo nawet do kościoła Ruski Dróżnik nie jeździł, jako że był prawosławny. Z braku cerkwi sam się z rodziną modlił do ikony, a święta obchodzili z opóźnieniem. Dróżnik jednak zawarł niejaką znajomość z tutejszymi ludźmi, pociągi tej relacji jeździły dużo rzadziej niż obecnie... Wróc, źle mówię. Teraz ta linia nie jest używana wcale, więc powiem inaczej: rzadko jeździły, raz na tydzień w dzień, na drugi tydzień w nocy... z punktualnością nieznaną dzisiejszym kolejom. Miał czas pójść do karczmy, nawet do Moniek podjechać. Widać rozumiał, że asymilacja musi nastąpić,

a w tym celu warto byłoby wydać za mąż Nataszę za tutejszego. Wybrał jej nawet narzeczonego, bogatego chłopca z pobliskiej wsi, bo dziewczyna, taka ładna i córka urzędnika, to był wcale łakomy kąsek. Chłop zaczął przyjeżdżać w konkury. Niestety chyba nie przypadł Nataszy do gustu, może za stary był, bo pewnego dnia znikła. Niczego z domu nie zabrała, tylko tobolek z posiłkiem, swoje drobiazgi i uciekła. Znała dobrze ścieżki bagienne, a czy sama związała, czy z kimś? Dwie są wersje: pierwsza, że sama, ale poznała po drodze oficera z koszar w Osowcu, a ten zawrócił jej w głowie. Druga, że wcześniej się spiknęli, kiedy oficerowie na inspekcje kolei przyjeżdżali, panna nie dała po sobie poznać, ale zakochała się i czmychnęła z kochankiem, od rodziców i narzeczonego. W każdym razie znikła. Przeszukano bagna, na ile to możliwe, nikogo nie znaleziono, ale rodzice dziewczyny woleli tragedię od hańby, ogłosili, że utonęła. Nieprawda. Znała dobrze tutejsze tereny, za to nie znała świata wielkich miast, dużych skupisk ludności, słowem miejsc, do których zabrał ją kochanek. Nie utonęła w grzęzawiskach, ale w cywilizowanym świecie. Coś poszło nie tak. Czy on nie chciał się żenić, czy miłość minęła, a może zginął, bo to już pierwsza wojna zakręciła światem... W każdym razie, pewnego dnia, gdy zima na dobre ustąpiła wiosnie, tak jak dziś, w dzień piękny i słoneczny, siedzieli starzy na przyzbie, gdy podjechał przed dom powozik, z niego wysiadła elegancka damulka, odesłała woźnicę, a sama z walizką stanęła przed progiem rodzinnego domu. Ujrzeli rodzice, że była brzemienna. Poznali ją od razu, Natasza wydorosłała, zaokrągliła się, ale uroda pozostała. Jak przebiegło powitanie? Nie wiadomo, w każdym razie przyjęli ją pod swój dach i powiła tu dziecko, nazwane zwyczajowo bękartem. O dziwo, Natasza wróciła cicho do swoich obowiązków, pomagała matce, wychowywała córeczkę i nie odzywała się do nikogo, czasem tylko tęsknie patrzyła przez okno albo wychodziła daleko w bagniska i dumiała nie wiadomo o czym. Należało pewnie zostawić ją w spokoju, ale nawet jeśli los chciałby czynić, jak należy, ludzie lubią postąpić inaczej. Odwiedził ich dawny narzeczoney Nataszy. Usłyszał, że powróciła, i przybył zapytać, czy nadal gotowa wyjść za niego, bo on jej nie zapomniał i zapomnieć nie chce, a urazy nie będzie chował. Mało tego, bękarta przygarnie. Na pytanie matki, czy nie obawia się ludzkich plotek i drwin, chłop wzruszył ramionami. Był to rostry człowiek, bogaty, nie przejmował się ludźmi, a cknęło mu się bez kobiety. Natasza zaś podobała mu się ogromnie i wiele dałby, by mieć ją w swojej alkwie. Mała córka miała już trzy latka, lada moment wyrośnie i będą jeszcze

jedne kobiece ręce w gospodarstwie. Starzy bardzo chętnie patrzyli na ten plan. Natasza poprosiła o czas do namysłu, ale odprowadziła konkurenta za olsy. Kto wie, może pocałował ją równie gorąco jak ja dziś ciebie, bo w końcu zgodę dała, a nawet przeszła na katolicyzm. Ślub się odbył, żona przeniosła się do męża. Żyli podobno zgodnie, może nawet w końcu pokochała Natasza męża, bo był krzepki i szanował i ją, i jej córkę. I co pani powie? Gdzie tragedia?

– Może powrócił dawny kochanek? A z nim namiętność i niechęć do męża? Może znów uciekła.

– Nie, nie tak było. Natasza umarła tu, w domu swojej matki, przy przedwczesnym porodzie. Powiła martwe bliźnięta. Mąż jej szalał z rozpacz, obwinał rodziców. Nie chciał już wychowywać dziecka Nataszy, więc wnuczka, dziesięcioletnia, przeniosła się do dziadków. Ale zła seria się zaczęła. Gdy panienka dorosła, chłop sprawę przemyślał i przybył po dziewczynę jak po własność. Też była ładna, podobna do matki, znów chciał się żenić. Ona nie, miała podobno ukochanego wśród wojskowych z twierdzy. Dziadek rozłożył ręce, ojczym wypomniał wychowywanie. Został podobno na noc, niektórzy mówili, że ją zniewolił, ale następne dni nie przyniosły rozwiązania, lecz makabrę. Chłop nie wracał i nie wracał, przyszli po niego parobcy. I znaleziono chatę pełną trupów. Podobno jednemu zbiełały włosy, kiedy zobaczył ich wszystkich pomordowanych: Ruskiego Dróżnika, jego żonę, chłopca, pociętych nożem, z poderżniętymi gardłami i bez palców u lewej ręki. Wszystkich z wyjątkiem dziewczyny, ta zniknęła. Zabrał ją według bajań Duch Bagien i on zemścił się za jej krzywdę.

– Zaginęła. – Lila z lękiem popatrzyła na przestrzeń. – Pewnie nigdy się nie odnalazła.

– Nie wiem. Znaleziono martwą młodą kobietę, za Biebrzą. Zakładano, że to ona. Może sama zabiła ich z zemsty za swoją krzywdę, uciekła, ale utopiła się na bagnach? Albo widziała mordercę, dogonił ją, zabił? Chyba że pomyłono ją z kimś innym. Duch Bagien często sięga po młode turystki... A serio, znalezione ciało było już w takim stanie, że nikt nie był pewien. Poznano ją po medaliku. Tajemnicza historia, duch, nie duch, jedno pewne: przeklęty to domek i wisi nad nim cień tragedii. Gdyby tak chociaż morderca został ukarany, może wtedy zło by odeszło. Długo nikt nie chciał tu zamieszkać. W międzywojniu, już po tragedii, stręczono tu konie, rodzina, którą widziałaś na zdjęciu, kupiła domek, nie wierząc w przepowiednie, ale

inny to był dróżnik, inne czasy, i to już inna historia.

– Skąd znasz ją tak dobrze? Znałeś kogoś, wierzysz w klątwy?

Roześmiał się.

– Nie, ale wierzę w pecha miejsca. Może jakieś słowiańskie siły, Duch Bagien i panny rządzące bagnem nie chciały tu ludzi? Może nie chcą nadal, bo nie znam w Polsce drugiego tak pustego miejsca. Brat mój, zanim zaginał, uparł się i zamieszkał tutaj. A kiedy go znaleziono, miał ucięte palce lewej ręki. Kara za zdradę. Powiedz mi, czemu, jakim cudem? Historia powtarza się po pięćdziesięciu latach? Kto dziś zna symbolikę starych mafii? Dobrze, że właśnie dojechaliśmy do Darzboru, prawda?

Dreszcze przebiegały jej przez plecy, pobladła, nie chciała słuchać takich historii. Tomasz zauważył, że drży, potarł energicznie jej ramiona, łopatki, szyję. Dreszcz zmienił nieco formę. Popatrzył poważnie w jej oczy i zapytał:

– Lilko, czy masz coś przeciwko temu, by przemknąć się do pokoju, a my z Borsukiem przyniesiemy kolację do łóżka? Moglibyśmy zjeść ją razem w tym łóżku, tylko może już bez Borsuka?

Mimo woli roześmiała się. Zrozumiała doskonale, o co pyta. Strach i pełna grozy atmosfera minęła, zmierzchało. Uścisnęła rękę Tomasza, powiedziała tylko „tak” i wyskoczyła z auta. Igor witał ją na schodach z otwartymi ramionami i chochlą, groził palcem, jakby podejrzewał romans. Bezwstydnie i radośnie uściskała go, nie zaprzeczając. Obróciła się, wchodząc w drzwi karczmy, ale Tomasz rozmawiał z tym samym człowiekiem, z którym widziała go rano, znów jakby gniewnie, jakby się na coś nie zgadzał lub może nie otrzymał czegoś, na co czekał. „Może go potem zapytam, o co chodzi – pomyślała – albo nie, po co. To nie moja sprawa”.

Pospiesznie pobiegła do pokoju ogarnąć bałagan, rozrzuconą po fotelach bieliznę, kosmetyki i papiery, gdyż nie należała do pedantek. Jeszcze prysznic, depilacja, bo nie miała do czynienia z mężczyzną od dwóch lat! Jeszcze zmienić bieliznę, nakarmić Borsuka, by im nie przeszkadzał, przenieść mu spanie do korytarzyka, jakieś kieliszki, pewnie przyniesie wino do kolacji.

„Daj Boże – pomyślała, czując, że szczęka zębami – bo jak się nie upiję, to nie dam rady”. – Uzmysłowała sobie, że zajazd, w którym miała po miesiącach abstynencji znowu zaznać miłości z mężczyzną, atrakcyjnym mężczyzną, na którego miała ochotę, a on na nią, zwie się właśnie Darzbór. I co? A akt nieposłuszeństwa, jakiego dokonała, fotografując Dom Dróżnika, nie przyniósł jej wcale pecha, tylko dodał niezwykłej odwagi, bo oto w oczekiwaniu na

Tomasza wśliznęła się do łóżka całkiem nago. Słyszała, jak idzie po schodach, radzi sobie z drzwiami i tacą, zamyka pokój od środka i zbliża się do Lilki, okrytej lekką kołdrą po sam nos. Patrzyła z tym błyskiem i tęsknotą w oczach, jak stawia tacę przy łóżku, nalewa wino do kieliszków, jak zdejmuje ubranie bez najmniejszego zażenowania, obnażając muskularne, mocne ciało. Nie potrzebowała wina, potrzebowała jego zachwytu, podziwu dla jej odwagi, kiedy odchylił kołdrę i zobaczył, że czeka na niego naga i podniecona. A kiedy bez słowa całkiem ściągnął z niej kołdrę i zrzucił ją na ziemię, kiedy pochylił się nad nią, dotknął brzucha, Lilka podniosła ramiona, rozsunęła nogi i pociągnęła go na siebie, zamknąwszy oczy.

Rano obudziła się pierwsza, mimo poczucia szczęścia było jej duszno w objęciach Tomasza. Trzymał ją zachłannie. Kiedy chciała się wydobyć, zaprotestował przez sen i przycisnął mocno do siebie. Udało się jej jedynie odwrócić i leżała wtulona w niego plecami, czuła równy oddech na włosach, ciężar na plecach, na pośladkach. Leżała cichutko i wspominała minioną noc. Rozkoszną minioną noc. Nie chodziło o wyrafinowaną miłość, bo tę próbował kiedyś pokazać jej mąż. Nie chodziło o to, że Tomasz całował ją znowu długo, spokojnie, pieścił i czekał, aż będzie pragnąć go każdym centymetrem ciała. Nie o to nawet, że widząc jego erekcję, zrozumiała, jak bardzo tęskniła za mężczyzną, za penisem, który wnika w nią w chwili podniecenia, żywy, mocny, pulsujący. Kiedy tak się stało, wszedł w nią, jęknęła cichutko z rozkoszy i trochę z bólu. Ale najlepsze było właśnie to: Tomasz poruszał się w niej harmonijnie i jej biodra zaczęły odpowiadać taką samą harmonią, po chwili oboje poruszali się tym samym rytmem, jakby ich ciała znały się dobrze i rozumiały. Kochali się tak długo, dostosowywali do siebie, niemal nie chciała orgazmu. Nadszedł sam, ciepłą falą, twarz Tomasza znalazła się nad jej twarzą i Lilka otworzyła oczy. Teraz uśmiechnęła się na wspomnienie jego triumfu i jego rozkoszy. Uśmiechnął się i opadł obok. Dopiero po chwili poczuli wilczy głód, karmili się nawzajem i pili wino. Jedzenie wystygło, ale i tak smakowało im wybornie. Nie mówili wiele, poznawali swoje ciała, a Tomasz całował i chwalił jej piersi, i mówił, że lubi tylko takie: małe, zgrabne, mieszczące się w jego dłoniach. Powiedział: Lila, nikt ci nie mówił, że drobne, jędrne piersi są wrażliwsze? Przypomniała to sobie z poczuciem ulgi, pogłaskała biust. Lila. Ludzie, którzy zaznali takiej bliskości, naturalnie mówią sobie po imieniu, może nawet on mógłby mówić do niej Alicjo. Było bardzo wcześnie, zaledwie świtało, ale nie mogła spać. Ręka Tomasza zsunęła

się właśnie na jej wzniesioną pierś, a na pośladkach poczuła łaskotanie włosami jego podbrzusza. Poruszyła lekko biodrami. Nakierowała pośladki niżej, odnalazła nimi męskość i znów poruszyła się delikatnie. To było zaproszenie. Oddech Tomasza przycichł, wyczuła oczekiwanie, zaczęła się lekko poruszać i z satysfakcją poczuła jego szybką reakcję. Ręce mężczyzny ucisnęły piersi, pośladki kobiety ocierały się o biodra i sztywniejącą męskość. Tomasz, wciąż masując piersi Lilki, zgrabnie obrócił ją na brzuch, uniosła biodra, ukląkł za nią. Rytm ciał, kiedy wchodził w nią w tej pozycji, okazał się tak samo harmonijny, równy i zespalaający ich w jedno, jak w miłości klasycznej, tylko orgazm nadszedł szybciej. Tomasz pocałował ją w łopatkę, westchnął. Nie chciał nadchodzącego dnia, bo wiedział, że muszą się rozjechać. Ona nie zastanawiała się nad tym, bo po raz pierwszy w życiu nie myślała o niczym, była jednym, mocnym okrzykiem rozkoszy.

Dzień jednak nadszedł. Pies domagał się swoich praw, Lilka ubrała się niechętnie, wyrzała za okno. Padał deszcz, zaciągnął szarością cały krajobraz, smugi układały się w dziwne kształty, jakby postacie. Wypuściła Borsuka, przyrządziła dwie kawy w opustoszałej kuchni. Tomasz nie spał już, kiedy wróciła, prawie ubrany siedział na brzegu łóżka i zawiązywał buty. Uśmiechnął się do niej.

– Taka cisza na dole – powiedziała Lilka. – Przyniosłam nam kawę, ale... nawet nie wiem, czy słodzisz.

– Nie słodzę. – Tomasz pomyślał, że to chyba idiotyczny dialog dwojga kochanków po upojnej nocy. Ale to było do niej podobne, nie wyznania i nie obietnice, ale kawa i dylemat cukru. Posadził ją sobie na kolanach.

– Piękna noc, Lilko – rzekł spokojnie – ty jesteś piękna i to może być piękny początek. Jak widzisz, tylko kawy nie słodzę. Za dużo gadam? – roześmiał się.
– Ale teraz muszę wyjechać. Mam kilka pilnych spraw, w Białymstoku i w Warszawie. Tak więc, piękna pani, po pięknej nocy musimy się rozstać, ale spotkamy się jeszcze, prawda?

Skinęła głową, nie musiała mówić, ciemne oczy wyrażały wszystko: i podziękowanie za przeżycia nocy, i smutek rozstania, i coś, co Tomasz mógłby odczytać jako uczucie, ale w tej chwili nie chciał.

– Oto i cała Lilka! – dodał wesoło – nie zapyta, dlaczego i dokąd jadę, czy czeka na mnie żona i drobny geszeft. Za to cię cenię. – Pocałował ją w rękę. – Powiem ci sam: nie mam żony i dawno nie spotkałem takiej kobiety jak ty. Chciałbym się umówić z tobą na jutro, pojutrze, ale nie mogę. Nie mogę nawet

umówić się z tobą w Warszawie. – Teraz dostrzegł rozczarowanie w oczach Lilki. – Nie. Kończę trudną sprawę, w którą nikogo nie mogę wciągnąć, a już na pewno nie ciebie.

Lilka rzeczywiście nie zdołała ukryć rozczarowania. Była pewna, że to nie był urok jednej nocy. Planowała, że spotkają się po powrocie do Warszawy, sądziła, że wymienią adresy, numery komórek. Nieśmiało zakwitła w niej myśl o wspólnym wydaniu albumu, może przekona Tomasza do tego projektu albo on podpowie jej, do kogo się udać, musiał mieć szalone znajomości! Teraz nie wspomniaby o tym za nic, mógłby pomyśleć, że przespała się z nim dla albumu. Wzdrygnęła się na samą myśl, wstała i podała mu filiżankę z kawą. Obserwował jej twarz, jakby czytał myśli. Zatrzymał w dłoni jej rękę.

– Posłuchaj – powiedział. – Zrobimy tak: pojedziemy do swoich spraw, ale wrócimy i spotkamy się tutaj. Jako miłośniczka ptaków docenisz, co powiem: odnajdziemy się w Darzborze w czasie wylęgu piskląt. Kupiłem ci tutejszą bransoletkę z łosiem, pamiątka znad Biebrzy, tandetna, popatrz na minę tego łosia i nie śmiej się... Zdziwiony światem łoś. Proszę bardzo, daj rękę, zaobrączkuję cię, tak właśnie zakłada się obrączki ptakom. Spotkaliśmy się w czas godów, a za trzy miesiące umocnimy znajomość. To mi się podoba jako pisarzowi. Jak tobie?

– Tak – szepnęła, podała mu rękę, upiła łyk kawy. Deszcz padał jeszcze intensywniej, Borsuk drapał w drzwi. Tomasz zapiął cienką bransoletkę na przegubie Lilki dłoni i poszedł wpuścić psa. Pomyślała, że mimo wszystko może uznać to za rodzaj zaręczyn.

– A teraz chodź tu z laptopem i pokaż mi zdjęcia – powiedział. – Wiem, że marzysz o tym. Wiem też, czemu nie wspominasz o albumie, i trochę jestem urażony. Nie masz mnie chyba za podstarzałego lowelasa, co łapie panienki na obietnice wydawnicze?

Lilka skoczyła do laptopa jak sarna. Bardzo rada, że nie zdążyła zgrać wczorajszych zdjęć z zakazanym Domem Dróżnika, ale i tak miała co pokazać, a on umiał docenić talent. Patrzył oczarowany, jak nagle się ożywiła i zaczęła więcej mówić: o perspektywie, naturalnym świetle, o tym, o ile wdzięczniejszymi obiektami są ptaki niż modelki, chociaż tamte niby rozumieją, o czym mowa... że czasem ma wrażenie, jakby niektóre samiczki ptasie czuły, że są fotografowane i puszyły się do obiektywu... a Borsuk to na pewno. Zadziwiające, na ilu zdjęciach pojawiał się Borsuk, w pozycji do aportu, na grzbiecie, do góry łapami, śpiący jak bury anioł. I prawie tak samo

często Tomasz: przy aucie, na ścieżce, przy drzewach.

– A Darzbór? – zapytał. – Masz już fotkę? To ładny budynek.

– Jeszcze nie. Sfotografuję go dzisiaj – szepnęła bardziej do siebie niż do niego. – Gdybym tego nie zrobiła, nie byłabym pewna, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę.

– Wiesz co, dziwna Lilko? Czuję zapach śniadania i jestem tego pewien. Chodź, podaj dłoń, ani myślę ukrywać, gdzie dziś spałem.

Schodzili po schodach, trzymając się za ręce. Lilka zastanawiała się, jak przyjmie tę przemianę towarzystwo: czy Igor Karczuk zacznie stroić żarty? Barbara pewnie będzie rzucać zazdrosne docinki w rodzaju: no, no, cicha woda. Młoda małżonka będzie zgorszona... Ale nikt nie zwracał na nich specjalnej uwagi: zaganiany Igor nie miał na nic czasu, młodej pary nie było, a Barbara siedziała pod oknem z jakimś mężczyzną i najwyraźniej tylko dla niego miała oczy i czas. Owszem, siwy samotnik wbił w nich surowy wzrok, a kelnerka o imieniu Edyta, jak zasłyszała Lilka, zerkała na nią z niezdrową ciekawością, ale niewiele ją to obchodziło. Czowała się cudownie, obolała po miłości, wypełniona i wypieszczona. Wiedziała, że ma zamglone czy i opuchnięte usta, ale było jej dobrze. Dotykała od czasu do czasu srebrnego łośia na rękę i niepokoiło ją lekko podejrzenie, że zakochała się jak młoda dziewczyna, że pragnie go jak wyzwolona kobieta, a obiekt uczuć i pożądania znika, bo zaraz po śniadaniu wyjeżdża.

– Nie szukaj mnie w Warszawie – rzekł, całując ją na pożegnanie na parkingu. – Spotykamy się tutaj, dokładnie za trzy miesiące.

Kiedy zniknął za bramą, pobiegła po aparat, by mimo deszczu zrobić milion fotografii Darzboru. Musiała mieć dowód, że to domostwo za szosami, za lasami naprawdę istnieje. Chciała patrzeć na te zdjęcia, kiedy wyjedzie i straci wiarę w prawdziwość tego, co zaszło w dziwnym zajeździe. Sama dziwiła się zdarzeniom. Dwa dni temu dojechała tu nocą, przypadkiem, zgubiła drogę, ale znalazła coś innego. Nigdy nie spodziewałaby się, że na bezludnych bagnach spotka miłość. Cokolwiek miałyby się teraz stać, ten dom był tu naprawdę, miniona noc nie była snem, a bransoletka miała zawieszkę łośia z durnowatą, zdziwioną, ale poczciwą miną. – Niech pani nie robi zdjęć w deszczu – zawołał z ganku Igor. – Słońce wyjdzie z mgły dokładnie za dwie i pół godziny, wtedy!

– Wtedy też zrobię – odpowiedziała. – Mam kurtkę i kaptur. – Obróciła się dookoła.

– A ja mam znakomitego grzańca, niechże pani wraca z tego deszczu.

Roześmiana zrzuciła w holu mokrą kurtkę i przysiadła się do Igora przy ladzie. Grzane wino rzeczywiście było pyszne, pachniało goździkami i cytryną. Lilka dostała rumieńców, wilgotne włosy skręciły się jej na policzkach. Igor popatrzył na nią ze zdziwieniem. Kiedy przyjechała, nie wydała mu się piękna, raczej blada i wymięta, a teraz... oczy jej błyszczały, usta poczerwieniały od wina, śmiała się przyjemnie... Czyżby czary Darzboru? Czary rzeczywiście w niej działały, ale inne. Życiodajna siła miłosnego spełnienia, za którym tęskniła już tak długo, może zawsze.

– Pięknie pani wygląda. – Skomplementował ją. – Darzbór pani służy. Proszę jeszcze u nas zostać.

– Do jutra, panie Igorze – odpowiedziała z nutą smutku. – Jutro niedziela, muszę wracać. Mam w przyszłym tygodniu trzy sesje zdjęciowe do luksusowych kobiecych pism: dwie okładki, jedną modę. Praca.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Praca. Za nic nie dałby się zakuć w miejskie okowy pracy. Kochał puste łąki i torfowisko, był wprawdzie niepoprawnym wizjonerem, uciekł od miasta, bo sądził, że tutaj łatwiej mu będzie poradzić sobie z samym sobą i z tajemnicą, jaką nosił. Jeszcze raz na nią popatrzył, zachwycała go uroda tej kobiety, wiedział jednak, że nigdy nie będzie go pociągała. Może i dobrze.

– Tomasz kazał mi się panią opiekować – oznajmił – dlatego zaproponuję drugie śniadanko, co? Naleśniki z serem na słodko?

– Kazał panu mnie upaść jak wieprzka? – Roześmiała się, ale ta informacja sprawiła jej przyjemność. Jakby należała do Tomasza. Chciała do niego należeć. – Jestem za chuda, wiem.

– Wcale nie – zaprzeczył – ale oprócz jadła i napoju niewiele mogę zaoferować. Nawet pogody, jak widać, nie ma.

– Proszę mi opowiedzieć o tym miejscu – poprosiła – o ludziach, wioskach. Tomasz na przykład mówił o tragedii w Domu Dróżnika.

– Niepotrzebnie panią wystraszył. Ja tej opowieści nie lubię. Każdej rodzinie mogło się coś zdarzyć na bezludziu, samotny dom to łatwy łup. Stary dróżnik nie był bez winy. Zajmował się stręczeniem koni, to się doigrał... wtedy też działały mafie, tylko inny towar. Nie przekazał datku komu trzeba, zdradził policji, to przyszli, zaciukali, obcięli palce jak zdrajcy. Ale ludzie zaraz dodali, że Duch z Bagien, zemsta za miłość... Tomasz jest pisarzem, proszę pamiętać!

– O! – Zdziwiła się. – To nie ma i nie było Ducha z Bagien? Nie chodziło o romans, tylko o konie?

– Romans może i był, ale konie też kradli. Kradzione stręczyli właśnie w Domku Dróżnika, klient zostawiał u niego pieniądze dla mafii. Stary może miał dość życia tutaj, chciał przechytrzyć, zgarnąć kasę i do Ameryki. Parę lat temu żył tu jeszcze staruszek prawie stuletni, opowiadał mi...

– Ale czemu nie wolno fotografować? Miał się Duch obrazić?

– Tutejsze strony wciąż trochę dzikie – odparł Igor – ludzie nie lubią zdjęć. Pokutuje strach, że ze zdjęciem zabiera im się trochę istnienia. Legendy, zabobony, gdzie tego nie ma... Wyjaśniają sobie ludziska, czego nie rozumieją albo z czym nie mogą się pogodzić, a było tu trochę tragedii, było. Wszystko to niepewne poza jednym: konie! Pani Lilko, konie, to jest to!

Popatrzyła zdziwiona i rozbawiona. Igor znów poddawał się swoim wizjom. Machał rękami, pokazując jej wysnzione obrazy przyszłości.

– Tu są wymarzone tereny dla koni! Chcę pobudować stajnie, wybieg, zakupić kilka klaczy, rozplodowca, ech! Była pani w Pentowie? Albo w Kiermusach? Oni się rozbudowali, czemu nie ja?

– I tak ma pan piękny obiekt.

– Mam, nie mam, zawsze może być lepiej! Rozmawiałem z Barbarą, ona zna się na kredytach, doradza nam od początku.

– O, a kiedy zbudowano Darzbór?

Igor wskazał na wyrzeźbioną w drewnie datę nad drzwiami: 2002.

– Przedtem stała tu sobie drewniana chałupa, pierwszy właściciel odziedziczył ją po śmierci dziadka, gdzieś tak na przełomie wieków, naszego i dwudziestego. Nie tak dawno... Czasy były rozwojowe, dobrze mu się wiodło. Chciał zainwestować i wpadł na pomysł knajpy i zaczął budowę. Podobno znajomi pukali się w głowę, zajazd przy Carskiej Drodze, toż to ani Bałtyk, ani góry. Ale on się uparł. No i szczęścia mu to nie przyniosło.

– Gdzie jest teraz?

– Nie żyje.

– I pan co? Odziedziczył czy jak?

Igor westchnął. Stara sprawa zbyt często powracała, niepotrzebnie zaczął o niej mówić tej kobiecie z aparatem. Pewnie dlatego, że spojrzenie miała takie poważne, a zarazem zawsze zaciekawione. Tyle lat minęło, ponad dziesięć, tyle zdarzeń. Wspomnienia bolały.

– I tak, i nie. To skomplikowana sprawa, pani Lilko. Powiem pani lepiej

o ludziach. Taka pani Barbara na przykład, ma u nas miejsce gratis, za obsługę prawną. I jest co pół roku, na początek sezonu i na koniec.

– Tomasz także?

– Tomasz to jeszcze inny przypadek. – Igor roześmiał się. – Bywa jeszcze częściej i z innych powodów.

– Myślałam, że tym powodem jest pani Basia – szepnęła Lilka.

– A, tym się pani martwi? Nie, nie. Nigdy. Ona prowadzi jego interesy, jest notariuszem i prawnikiem finansowym, dobra fucha, zapewniam. Proszę popatrzeć.

Barbara i jej towarzysz wstawali od stolika, mężczyzna obejmował ją w pasie, najwyraźniej tych dwoje ludzi łączyło coś innego niż sprawy zawodowe.

– Hm. – Lilka zadowolona upiła jeszcze łyk wina. – A przy pierwszej kolacji myślałam, że...

– Że Barbara kokietuje Toma? E tam, trochę wódki, stare wspomnienia. Barbara to już taka kobieta, lubi kokietować. – Igor pochylił się do ucha Lilki. – Spotyka się regularnie z tym gościem. Od trzech lat. Miłość weekendowa, facet ma żonę i dzieci, gdzieś w Ełku. Spotykają się u nas w Darzborze, spędzają kilka nocy i huzia w swoje strony.

Lilka zastanowiła się, czy powinna się gorszyć. Sama przecież spędziła noc z Tomaszem, a teraz huzia w swoje strony, jak powiada ten Igor. A co ona wie dokładnie o Tomku? Nie odważyła się jednak zapytać wprost.

– Dawno zna pan Tomasza?

Igor był inteligentnym mężczyzną, poza tym znał się na ludziach. Uśmiechnął się do niej.

– Znam Tomka od bardzo dawna. To skryty człek, ale uczciwy. Nie ma żony. Nie ma nikogo. Odkąd brat...

– Tak, wspominał mi.

– Właśnie. To jedno tylko pani powiem, że jeśli powiedział pani o bracie i ... nie nocował u siebie, to potraktował wszystko poważnie. Można mu zaufać.

Omal nie rzuciła się mu na szyję. Temu wariackiemu wizjonerowi, zaszytemu mimo dość młodego wieku na podlaskim pustkowiu. Ile mógł mieć lat, trzydzieści parę? Może romansuje z tą kelnereczką Edytą? Raczej nie. Edyta właśnie naląła kufel pianistego piwa nowemu gościowi, gładko przyczesanemu biznesmenowi w markowej kurtce, i ku niemu skierowała

kokieteryjne spojrzenia. Igor przebywał myślami gdzie indziej: budował kort tenisowy za Darzbozem, szereg hotelików w kształcie chłopskich chałup, ale oczywiście z wszelkimi dogodnościami, kto wie, może nawet odkryty basen na lato, a zimą? Zimą nie ma lepszych terenów na biegówki! Włosy niezwiązane tym razem w kitkę zasłoniły mu twarz, ale gdy je odgarnął szczupłymi, nerwowymi palcami, Lilka ujrzała oczy pełne zapału, ciemne, zapatrzone w swoje zamki na lodzie. Lubiła szalonych wizjonerów. Położyła rękę na białej koszuli Igora, poprawiła mu kołnierzyk.

– Zrobię panu ekstra folder i będę promować w calutkiej Warszawie. – Uśmiechnęła się. Igor wrócił z marzeń na ziemię i pokazał jasne, rozświetlone okno.

– No to można zacząć, pani Lilko – powiedział. – Proszę zobaczyć, jakie piękne słońce. Mówiłem, że wylezie z mgły. O dwanaście minut się pomyliłem!

*

– Ostatnie łowy – powiedziała Lilka Gajewska do swego psa Borsuka. – Idę fotografować, a ty, psie, zostaniesz z panem Igorem przy ladzie, bo straszysz ptaki i łosie.

Igor zgodził się na towarzystwo psa, bo polubili się od pierwszego wejrzenia, Borsuk zgodził się zostać, bo wprawdzie spaceru uwielbiał, ale pachnące, tłuste, mięsne kaski spadające z rusztu Igora uwielbiał jeszcze bardziej. Rozkaz „zostań” rozumiał doskonale, został więc posłusznie i nagroda nadeszła natychmiast w postaci kawałka schabu. Igor przygotowywał pieczeń w śliwkach węgierkach i metaksie. Edytka popatrzyła karcąco, ale Igor wzruszył ramionami.

– Zewnętrzny plaster mięsa, zeschnięty, zawsze trzeba odciąć – powiedział, a Edytka pokręciła głową z politowaniem.

Lilka tymczasem zapuszczała się w leśne otoczenie Darzboru. Nauczyła się już, że to łągi, umiała odróżnić twardą ścieżkę od niebezpiecznej trawy, podmokłej grzęzawiskiem. Z radością dojrzała baze i kolby tataraku, i zwiastujące wiosnę, gotowe do rozkwitu kaczeńce.

Sowa błotna zrobiła jej przyjemność, nie ruszając się z gałęzi, widocznie spała lub wzięła Lilkę za kłepę łosia. Lilka szła i szła, Darzbór dawno zniknął

za jej plecami, łozy zaczęły zmieniać się w krzewy, a twardy szlak niknął w błotach. Postanowiła zawrócić, ale ścieżka wydała się jej inna. Chłód zaniepokojenia ogarnął Lilkę, pożałowała teraz, że nie wzięła psa. „Spokojnie, spokojnie – pocieszała samą siebie w myślach – jedną drogą przyszedłam, rozwidła się tylko raz, tą samą wrócę. Wyszłam od domu w kierunku bagien, szłam pół godziny, nie dłużej. Więc idąc pół godziny z powrotem, będę przy Darzborze”. Niestety po półgodzinie teren dookoła był taki sam – drzewa i trawy, a domostwa ani widu, ani słyhu. „Nie mogę być daleko – myślała Lilka, usiłując powstrzymać panikę. Musiałam zejść w bok, ale kręcę się przecież blisko”. Popatrzyła na komórkę, ale ta odpowiedziała zwyczajem komórek w takich wypadkach: brak zasięgu. „Czyli najważniejsze znaleźć zasięg – pomyślała. – Byle kreseczka i dzwonię do Darzboru. Igor weźmie Borsuka i znajdą mnie, dzień jeszcze wczesny. Nocą byłoby gorzej”. Przypomniała sobie wilki.

Opanowała dławienie w gardle i ruszyła ścieżyną. Omal nie krzyknęła, widząc kilka metrów dalej polanę i drewniany budynek. „Stary jak mumia – szepnęła, ale jednak domek. Z werandą. Jak jest brama, jest droga dojazdowa, musi gdzieś prowadzić. Jak będzie woda, będą ludzie, będzie zasięg”.

Dom wyglądał na opustoszały, cisza dzwoniła w uszach, jedynie dźwięki lasu otaczały zewsząd przestraszoną Lilkę. Ale sam widok budynku ją pokrzepił, sfotografowała go, otoczenie, bramę i ... głupio się jej zrobiło, bo uchwyciła samochód i ludzi. Już miała do nich pobiec z radością i prośbą o ratunek, kiedy powstrzymał ją strach. Była to grupa dziwnych mężczyzn, jeden z nich miał broń, a wysokiemu chudzielcowi wyraźnie coś groziło. Schowała się na werandzie, zatrzymała oddech. Chudzielca poznała, był to kelner z Darzboru. Dwóch mężczyzn trzymało go za ręce wykręcone na plecy, a trzeci uderzył go pięścią w brzuch.

– Masz czy nie masz? – syknął. Kelner zaprzeczył ruchem głowy. Oberwał w szczękę.

– Nie moja wina, Husar! – odparł podniesionym głosem. – Nie oddali mi w Łomży!

– Drugi raz nie sprzedawaj na krechę – wycodził mężczyzna nazwany Husarem i uderzył kelnera z drugiej strony. Masz czas do jutra. Po mszy. – Zaśmiał się ironicznie. – Po mszy, przy kościele w Goniądzu. Inaczej matka rodzona nie poza facjaty.

Popchnęli go na dziedziniec, chłopak upadł na plecy i ocierał krew z nosa.

Trójka mężczyzn wsiadła do auta, wykręcili i z piskiem opon wyjechali wąską drogą od bramy.

Lilka zastanawiała się, co zrobić. Już wiedziała, którędy wyjść, ale może powinna się ujawnić i pomóc chłopakowi? Razem z nim wrócić, ten doskonale znał drogę do Darzboru. A może przykucnąć za werandą, niech sobie pójdzie, lepiej nie wplątać się w żadne tutejsze porachunki. Co za miejsce! Kiedyś przemycali tędy kradzione konie, a teraz co: samochody? ikony? To dlatego, że blisko granica z Białorusią... Postanowiła schować się na werandzie. Kelner otrzepał się z kurzu, rozprostował i wszedł do domku. Widocznie znał tę chatę i miał klucz. Zniknął w głębi budynku, pewnie poszedł obmyć twarz i doprowadzić się do porządku. Lilka skorzystała z tej chwili i cofnęła się w las. Chciała obejść dom dookoła, dotrzeć do drogi, bo jeśli przejechało nią auto tych dziwnych gangsterów, to i ona przejdzie i dotrze do jakiejś szosy. Postanowiła iść choćby sto kilometrów, byle z nimi nie gadać. Udało się jej o tyle, że znalazła trakt, zaczęła nim rażno podążać, czuła się coraz pewniej, gdy nagle w zatoczce ujrzała znajomy samochód. Przy drewnianym zakątku dla turystów, na pieńkach siedzieli trzej napastnicy i opowiadali coś odwróconemu tyłem do niej mężczyźnie, pokrzykiwali i machali rękami. Zamilkli nagle, bo ją zauważyli. „Niech to szlag” – rzucił jeden z nich na jej widok. Nie było odwrotu, Lilka uśmiechnęła się szeroko i pomachała do nich.

– No i dzięki Bogu, że panów spotykam! – zawołała, modląc się, by głos jej nie zdradzał ze strachu. – Zgubiłam się trochę. Panowie tutejsi czy też turyści? Powiedzcie, dokąd ja dojdę tym traktem?

Mężczyzna siedzący tyłem odwrócił się gwałtownie. Poznała siwego samotnika spod okna w Darzborze. Ukłonił się jej, zanim zdążył zmienić wyraz twarzy, dojrzała niechęć, wręcz mord w oczach. Udała jednak radość.

– O, to pan! – Zatrzymała się w bezpiecznej odległości. – Pan przecież też z Darzboru, sąsiadujemy przy posiłkach. Czy dojdę tym traktem do zajazdu?

– Tak, oczywiście – powiedział powoli – ale to daleko, z pięć kilometrów. Podwieziemy panią, prawda, chłopcy?

– A skąd, nie trzeba – zaprotestowała – wystarczy mi pewność, że to tędy. Pracuję. – Pokazała aparat. – Za nic nie chcę panom przeszkadzać.

Znikła, zanim zdążyli odpowiedzieć, zawróciła na pięcie i zostawiła ich zdumionych. Szła początkowo powoli, ale kiedy zniknęła z ich pola widzenia, ruszyła biegiem. „Pięć kilometrów, to nic takiego – szepnęła. – Przebiegałam biegiem na dziesięć kilometrów, może zresztą nie będą mnie gonić. Niby czemu,

szałam sobie i tyle. To może lepiej nadal iść?”.

Zwolniła kroku i weszła w las, ale trzymała się linii traktu. Dobrze zrobiła, bo po kilkunastu minutach usłyszała samochód. Jechali powoli, muzyka dudniła przez otwarte okna i psuła leśną ciszę. Gdyby ujrzeli ją biegnącą, byłoby to bardzo podejrzane. A tak nie ujrzeli jej wcale, bo zagłębiła się w ścianie lasu, schowała za ogromną leszczyną, a kiedy znikli z horyzontu, podjęła swój marsz. Doszła do Darzboru po półtorej godziny, zmęczona, wystraszona, głodna. „Jutro po mszy” – dźwięczało jej w głowie. „Powiedzieć Igorowi? Gdyby Tomasz tu był, to tak. Zresztą po co ich w to wplątywać?”. Postanowiła nic nikomu nie mówić, a jutro rano, przed wszelkimi mszami wyjechać do Warszawy. Borsuk skoczył na jej powitanie, jakby nie widział jej rok. Jazgotał z wyrzutem, przecież obiecała, że zawsze będzie go ze sobą zabierać, również dla własnego dobra...

– Lilka Gajewska i jej pies zbierają się do powrotu – oznajmiła sobie i psu, po czym zabrała się za pakowanie rzeczy i porządkowanie zdjęć. Jeszcze raz obejrzała fotografie Domu Dróżnika. „No i proszę, pomyślała, ktoś przesądny mógłby rzec, że jednak nie powinnam była tego robić. Zakazane foty i nazajutrz stajesz się, człowieku, świadkiem dziwnych porachunków. Dobrze, że tak to wyglądało, jakbym nic nie widziała, bo jeszcze sama dostałabym w łeb. Przypadek, po prostu przypadek”.

Przyjrzała się zdjęciu, zdziwił ją cień w oknie. Przybliżyła zoomem detal. W szybie małego okna Domu Dróżnika wyraźnie rysował się profil kobiety. Postać nie do rozpoznania, aureola kręconych włosów, ostry nos, kobieta, młoda, jakby obserwowała Lilkę zza framugi. „Nie było tam żadnej kobiety, Chryste”. Lilka potarła skronie. „Z pewnością nie było. Był chłopak, Marek, zdaje się, Tomasz i ja. Z albumu wyszła, czy co? Może jednak była, na przykład dziewczyna Marka, tylko ukryła się przed nami. W każdym razie ktoś wie, że sfotografowałam chatę. Trudno”. Lilka wzruszyła ramionami. „Co z tego? Do więzienia mnie nie wsadzą”. Jedyne na myśl, że Tomasz gniewałby się może, poczuła ucisk w dole brzucha. Prosił, żeby tego nie robiła, Lilka raczej słuchała próśb.

„Sama nie wiem, co mnie podkusiło – pomyślała, ale nie skasowała zdjęć. Z zadowoleniem zrzucała na dysk różne fotografie. – Teraz Tomasz nigdy się nie dowie”. Za to jakie piękne ujęcia budynków i ogrodu! Darzbór też uchwyciła cudnie, wyglądał jak pełen dostojeństwa, stary dwór. Miała udokumentowaną dziwną chałupę w lesie, werandę i nawet auto intruzów. Oni

sami nie załapali się na żadną fotkę, ale na jednej uchwyciła wchodzącego na plac przed chatą kelnera z Darzboru. Więc to nie był ponury sen. Jakim cudem połapała ich wszystkich, w gruncie rzeczy wbrew sobie, przecież łowiła swoim czułym aparatem ptaki? A tu, proszę, niepożądani ludzie pchali się jej w obiektyw. Na jednym ze zdjęć znowu miała przypadkowych bohaterów. Kelnereczka Edyta oparta o ścianę szopy na drewno rozmawiała z jakimś mężczyzną. „No, no. – Lilka pokręciła głową. – Ile jeszcze tajemnic przyjdzie mi tu udokumentować przed wyjazdem. A to chyba jakaś randka. – Przybliżyła postaci, uchwycone przypadkiem. Głównym bohaterem miała być szopa – myślała – obiekt architektoniczny niespotykany w stolicy. A tu, proszę, *tête-à-tête*. Ale fakt faktem i to namacalne: o ścianę szopy opiera się dziewczyna, roześmiana, kokieteryjna, jakby wypięta lekko do przodu, jakby zaprzeczająca, ale niezbyt usilnie. Mężczyzna stoi bokiem, wyciąga do niej rękę. Daje jej coś? Zbliżenie na dłoń. Papierosy. To tylko paczka papierosów, częstuje ją po prostu, może namawia na spotkanie. Czyżby była to scena kuszenia, mały sponsoring na Podlasiu? Dziewczyna ponętna, biust duży, nóżka oparta o ścianę, nie wygląda na niechętną. Kim jest facet? – Zoom na głowę, jeszcze i... O! O!”. Lilka szybko zamknęła obraz. Znała tego mężczyznę, zaskoczył ją dzisiaj drugi raz. „Co mnie to obchodzi, co mnie obchodzi, powtórzyła szybko. To sprawa Edytki, z kim pali papierosy za szopą”. A jednak czuła niesmak i niepokój, kiedy schodziła na kolację. Mężczyzna, który kusił kelnerkę na jej fotografii, miał bujną siwą czuprynę, był w jadalni, siedział samotny na swoim miejscu pod oknem. Miał ją zaskoczyć po raz trzeci, bo kiedy zajęła miejsce w kącie sali, zerwał się, energicznie podszedł do Lilki, wyciągnął rękę i dosyć mocnym, młodym głosem powiedział:

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Witold Jamroz. Los spotkał nas dzisiaj, więc powinniśmy się poznać, czyż nie?

– Lilka Gajewska – odpowiedziała niepewnie. Witold Jamroz skinął na Igora, by przeniesiono mu posiłek do stolika Lilki. Igor podszedł do nich zadyszany, postawił szklanki i przepraszającym gestem wyjaśnił:

– Urwanie głowy, proszę państwa, kelner Stasiak wziął nagle wolne, Edyta nie chciała go zastąpić, bo umówiła się w mieście. Sobota, wieczór, kto utrzyma w pracy młodą dziewczynę... No i sam zostałem na placu boju, a tu nowi goście, przepraszam.

– Sami się obsłużymy – powiedział Witold. Nalał Lilce herbaty, przyniósł pieczywo i gorące kielbaski z kociołka. Ledwie przełykała posiłek, nie chciała

jednak pokazać zdenerwowania. Jamroz dopytywał, skąd jest, gdzie pracuje, co fotografuje, czemu akurat przyrodę. On też przyjechał z Warszawy, na kilka dni, ma na Podlasiu interesy.

– A czym pan się zajmuje? – spytała z prawdziwą ciekawością. Co powie: jestem gangsterem, handlarzem dzieł sztuki czy przemytnikiem nielegalnych towarów? Siwy samotnik nie mrugnął okiem.

– Firma Rzepak, przedstawicielstwo handlowe. – Uśmiechnął się i wyciągnął wizytówki. – Jestem szefem pionu sprzedającego nasze tłuszcze w różnych punktach gastronomii w całej wschodniej Polsce. Centrala w stolicy... A ja, cóż, smutny pan, kontroluję właśnie pion podlaski... innymi słowy też jestem w pracy. Rozczarowałem panią?

– Nie, nie, ale rzeczywiście, kojarzyłam pana raczej z branżą, ja wiem... artystyczną. Pomyślałam sobie reżyser, może malarz...

Witold Jamroz odchylił głowę i śmiał się głośno. Nie był taki stary, wieku dodawała mu ta lwia, siwa fala włosów do ramion, Lilka zauważyła jednak, że miał mocną szyję, wyćwiczone ramiona i raczej był wysportowanym pięćdziesięcioletkiem niż samotnym, chudym dziaduniem.

– Więc jednak rozczarowanie! – powiedział. – Niestety, to świat zupełnie mi nieznan. Ale pani też zaskakuje. Spokojna zdaje się osóbką, a kręci się po lesie i fotografuje. Nie boi się pani?

– Ale czego, wilków? – Lilka zdołała przybrać najniewinniejszy, najbardziej zdziwiony wyraz twarzy. – Czy uważa pan, że tutaj mam się czegokolwiek obawiać? Tu jest jak w bajce.

Odchylił się, bujał się na krześle i badał ją wzrokiem. Pochłaniała kiełbasę i spokojnym gestem smarowała sobie chleb masłem. Chyba faktycznie nic nie widziała. Niemniej chętnie przejrzałyby te zdjęcia. Sama babka też wyglądała ciekawie, zarumieniona, z zarysem nagich piersi pod golfem. Zauważył, że nie nosiła biustonosza. Lilka dostrzegła jego wzrok i zmieszła się. Rzeczywiście, zapakowała już wszystko, szybko zbiegała na dół, a przy swoich rozmiarach biustu często zapominała o czymś takim jak stanik, nigdy nie czuła z tego powodu zażenowania. Aż do teraz, kiedy wzrok tego faceta opierał się bezczelnie i niedyskretnie na kształtnym zarysie golfu. Otarła usta chusteczką, odstawiła talerz.

– Dziękuję – powiedziała – ja już będę... spać idę...

Witold Jamroz pochylił się ku niej i przytrzymał jej rękę.

– Chwileczkę – powiedział – a co by pani powiedziała, gdybym dotrzymał

pani towarzystwa? Zamówię zaraz wódkę i pójdziemy razem.

– Jak to? – wyjąkała Lilka, zaskoczona. – Jak to, co pan?

– Och, nie bawmy się w ceregiele – odpowiedział Jamroz. Nagle przestał być grzeczny. – Nie jestem głupi. Każdy widział, z kim wychodziłaś wczoraj. Fotografka, dobre. Ze Słowickim tu nie przyjechałaś, więc o co chodzi? Wczoraj on, dzisiaj ja. Czemu nie?

Lilka wstała gwałtownie, pociemniało jej w oczach. Omal nie wywróciła stolika, gniew kipiał w niej jak wulkan, ale od lat uczyła się tłumić takie emocje.

– Pan się myli – odparła spokojnym głosem. – Wziął mnie pan za kogo innego. I nie przeszliśmy na ty.

Zostawiła go uśmiechającego się nadal, z kpiącym spojrzeniem, i podeszła do Igora.

– Chcę zapłacić – powiedziała. Ręce jej się mocno trzęsły, a po policzku popłynęła łza. – Chcę zapłacić. Rano wyjeżdżam i... boję się tego człowieka.

Igor popatrzył bystro na jej twarz. Kątem oka widział jej rozmowę z siwym gościem, czuł, że powinien się wtrącić, ale naprawdę miał mnóstwo zajęć. Płaciła kartą, ciągle roztrzęsiona. Igor zapytał cicho:

– Obraził panią? Proszę się nie przejmować, tacy ludzie też są. Tomasz by go pobił, ja... ja nie umiem. I ktoś musi nalewać te drinki – zażartował.

Lilka otarła łzy rękawem golfu, mokre oczy uśmiechnęły się do Igora. Zauważyła od pierwszej chwili, że nie był rycerzem z gatunku macho, raczej nadawał się do serenady pod balkonem. Chłopak we włoskim stylu.

– Dziękuję za chęci – chlipnęła – wstrętny typ i tyle.

Wstrętny typ jak gdyby nigdy nic zamówił sobie tę wódkę i spokojnie pałaszował swój posiłek, wpatrując się w ekran telewizora zawieszonoego nad barem. Lilka cicho przemknęła do pokoju. Bała się. Naprawdę się bała, wiedziała, że tej nocy nie zaśnie. Dobrze pozamykała drzwi, skuliła się na tapczanie, przytuliła Borsuka. Nasłuchiwała, czy nie skrzypią schody, czy nie porusza się klamka, słyszała, jak cichną dźwięki na dole, widziała, jak za oknem zapada smolista ciemność. „Zepsuł mi wspomnienie tego pobytu, drań – myślała – chciał mnie wybadać. Ale też, że zauważył wczoraj wyjście z Tomaszem... Wszyscy zauważyli. Czy wszyscy pomyśleli tak, jak ten cały Jamroz? Że tak mogłabym jednej nocy z tym, drugiej z tamtym? Igor na pewno tak nie sądził”. Nagle przyszło jej do głowy, żeby nie czekać świtu, tylko jechać teraz, nocą. Przemknąć się schodami do auta, w ciemnościach tu trafiła,

w ciemnościach stąd wyjedzie. Zlikwiduje kontakt ze swojej strony internetowej, zmieni numer telefonu. Jeśli wyjedzie teraz, nikt nie zauważy jej zniknięcia, Igor zrozumie. Ale kiedy stąpnęła, drewniana podłoga zaskrzypiała pod jej stopą. Lilka szybko cofnęła nogę. Wyobraziła sobie, że w tej ciemności idzie do samochodu, usiłuje namacać klamkę, że ktoś podchodzi z tyłu, dusi ją i zabiera laptop. Nie, nie. Lepiej poczekać do pierwszych przebłysków świtu...

Nie zmrużyła oka przez całą noc, nikt jednak jej nie nękał, nie pukał w drzwi. Kiedy niebo zrózowiało nad torfowiskiem, cichutko wzięła bagaże i przebudziła psa. Nie zamykała pokoju, nie zamykała Darzboru. Wiedziała, że tu wróci. Zatrzymała się na chwilę w bramie i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie budynku. Przypomniała sobie pocałunki Tomasza. „Nie dam sobie zabrać tego wspomnienia” – szepnęła. Sowa z krzykiem zerwała się z gałęzi. Lilka wyjechała cichutko, powoli, w obawie, by na wąskiej drodze przez lasy nie wyskoczyła jej sarna. Od Zambrowa jechała uważnie po dwupasmówce, ze świadomością, że jest bardzo zmęczona po nieprzespanej nocy. Z niekłamaną radością wjechała na ślimak przed Zielonką, minęła miasto, rondo, z ulgą przeczytała napis „Warszawa”. „Jesteśmy, piesku – odetchnęła – stolica wita. Mam sesję dopiero we wtorek i nie zostawiłam tam żadnych śladów. Chyba możemy się uspokoić i dokładnie wszystko przemyśleć”.

Nie przyszło jej do głowy, że kiedy ruszała z parkingu przed Darzbozem, spały być może całutkie bagna, ale jedna para oczu śledziła ją zza firanki okna. Witold Jamroz doskonale widział, że wyjeżdżała. Domyślał się, że się przestraszyła. Przesadzała. Żałował nieco, że nie zgodziła się na wspólną noc, stracił tym samym nadzieję na spenetrowanie jej laptopa, ale nie zamierzał jej napastować. Gajewska, fotografka, jakaś wariatka. Czy coś widziała? Na wszelki wypadek zapisał numer rejestracyjny samochodu.

Część II

Pod dachami miasta

Obudzili ją śmieciarze. Szczęk kubłów, pisk śmieciary, męskie pokrzykiwania i śmiechy. Potem w oddali zaszumiał tramwaj. Szósta rano. Miasto. Uprzytomniła sobie, że jest już wtorek, że wczoraj wróciła do Warszawy, do małego mieszkania na Powiślu, do miejskiego życia, które dziś miało się rozpocząć od kawy i wyprowadzenia Borsuka na trawniki za blokami, a potem jakimś śniadaniem, jakimś ubraniem i kilkoma ćwiczeniami, by zadbać o kręgosłup i wywołać w sobie energię do pracy. O jedenastej musiała stawić się w fotograficznym Studiu Koko na dalekim Mokotowie.

Wspomniała Darzbór i przebudzenie, które zgotowały jej dzikie gęsi. Wspomniała zapach od łąk, ścianę lasu. Zapach miasta był inny, dochodził zza okna: woń mokrego po deszczu chodnika i śmieci, ściany także tu były, ale szarych budynków. Wspomniała dotyk i zapach Tomasza nad ranem, jego przyspieszony oddech... no i tu nie było żadnych środków zastępczych. Odkąd przeżyła noc z Tomaszem w Darzborze, zaprzestała wszelkich zmysłowych praktyk sama ze sobą czy też ze wspomnieniami. Nie wiedziała dlaczego. Może chciała poczekać na spotkanie? Tak czy inaczej, odgoniła kuszące myśli, wyskoczyła z łóżka, z poczuciem winy godnym lepszej sprawy zignorowała porozrzucane po ziemi ubrania, ruszyła do kuchni. Na szczęście Borsuk nie był psem upierdliwym i często drzemał sobie jeszcze, gdy piła kawę przed porannym spacerem. Bałagan miała rzeczywiście konkursowy, ale usprawiedliwiało ją zmęczenie po nieprzespanej nocy i porannej podróży. Nie wróciła do domu z błogą radością, nie tęskniła za tym mieszkaniem, które zresztą nie było jej. Wynajęte od nieznanych ludzi, którzy na szczęście tolerowali psa, umeblowane według ich gustu, było z pewnością tylko przejściowym, obcym terytorium. Mieszkanie rodziców w małym podwarszawskim mieście też nie było już domem. Swoją dom wyobrażała sobie jako dom: budynek osobny od innych, z ogrodem, z solidną bramą i z poczuciem bezpieczeństwa. Mimo incydentu z Jamrozem dom w jej wyobraźni przybrał kształt Darzboru. Lilka Gajewska podczas swojej podróży

na Podlasiu zakochała się podwójnie: w Tomaszu Słowickim i w zajęzdzie ukrytym w krainie bagien.

Teraz jednak musiała wrócić do miejskiego życia, zebrać się w sobie i zarobić na czynsz, kawę i psią karmę, reszta była mniej istotna. Na szczęście dzisiejsza sesja zdjęciowa należała do tych przyjemniejszych. Zerknęła do mejli, miała tam opis i scenariusz przysłany przez producentkę sesji – Igę. Duże przedsięwzięcie dużej agencji reklamowej, która przygotowywała bardzo dużą kampanię promocyjną dla – dużego, bardzo dużego – koncernu farmakologicznego. Iga powiedziałaaby: „megaakcja, megapomysł, no i megakasa”. Nie było na co marudzić, zdjęcia w dobrym studiu, scenariusz na szczęście niegłupi, znała też główną gwiazdę akcji: aktorkę Milę Marco, jedną z najsympatyczniejszych gwiazd, niezmanierowanych i dobrze współpracujących, a to nie zdarzało się często. Mila była bardzo rozpoznawalna, znana i lubiana, a przy tym śliczna i życzliwa. Przyjęła sobie pseudonim artystyczny Marco, bo kochała Italię i szczyła się włoskim typem urody, natomiast urodziła się w zapyziałym miasteczku na południu Polski jako Milena Bulwa, musiała zatem sama zarządzić rzeczywistością. W jej wyobraźni, nie bez pomocy pomyslowej agentki, zrodziła się ciemnooka Mila Marco, co brzmiało dobrze. Agentka namawiała Milę, by zmienić w CV miejsce urodzenia na Rzym albo chociaż jakieś małe Montano we Włoszech, ale tu Mila wykazała się niespodziewanym uporem: pozostała Mileną z Gliszewic i tyle. Przez następnych kilka lat, filmów i seriali udowodniła, że ma coś do powiedzenia w tym świecie bez względu na miejsce urodzenia i Gliszewice mogą się nią chwalić. Zgadzała się na udział w sesjach reklamowych, bo koncerny płaciły znakomicie, a to dawało jej możliwości, by grać potem w teatrach. Ten świat żywego kontaktu z widownią, kurtynę i kulisy kochała najbardziej, po serii reklam podpisywała więc kontrakt teatralny, mniej lukratywny, ale przyjemny. Oczywiście niezbyt długo pozostawała w teatralnym cieniu, po paru miesiącach należało przypomnieć się tak zwanej szerokiej publiczności: widzom małych i dużych ekranów, fan bowiem jest istotą bardzo niestałą i łatwo zapomina o swoich idolach. Trzeba jednak przyznać Mili Marco, że nie brała nigdy udziału w reklamowaniu sprzętów AGD, maści na hemoroidy ani farmaceutyków na kobiece dolegliwości intymne. Luksusowe auta, biżuteria czy kosmetyki – proszę bardzo. Ściery do podłóg, odrdzewiacze czy żel na suchą pochwę – nigdy. Tym razem zgodziła się na udział w kampanii reklamującej serię farmaceutyków regenerujących

samopoczucie, wygląd, koloryt skóry i kondycję włosów. Zapraszano do kuracji dojrzałe matki z dorosłymi córkami. Mila była oczywiście córką. „Będzie zadowolona” – uśmiechnęła się znad kawy Lilka.

W drugiej sekwencji ujęć miała jej towarzyszyć Anna Kanocka, starsza aktorka, od kilku lat w roli matek, babć i ciotek z Ameryki. Już nieco obfita, chociaż dobrze zakonserwowana, miała wieczny żal do otoczenia o to, że czas płynie, a pięć minut jej szczytowej sławy trwało tylko pięć minut i minęło dawno temu. Anna Kanocka zatrzymała się w tym pięknym okresie. Nie pogardzała jednak kampaniami reklamowymi, nawet jeśli miała matkować Mili Marco, której nie znosiła tylko za to, że inni szczerze ją lubili i że jej pięć minut właśnie trwało. Lilka uśmiechnęła się nad scenariuszem – obie panie, początkowo szare, smutne i prawie brzydkie. Cudowny napar wypijany z prześlicznej filiżanki na czczo zamienia je ze zgorzkniałej córki oraz smutnej matki w tryskające energią kobiety o gładkiej skórze i mocnych włosach. Na spotach mama podaje napar córce, a córka z czułym uśmiechem podaje matce taką samą filiżankę. Na szczęście Lilkę obchodziły tylko zdjęcia na bilbordy. „Wydobyć podobieństwo, o rety!”. O Annie Kanockiej mówiono w środowisku, że jest trudna, gwiazdorzy i oczekuje hołdów, ale może zawsze roześmiana Mila jakoś sobie z nią poradzi. Lilka przeleciała wzrokiem skład ekipy: bardzo lubiła fryzjera Woja, zdeklarowanego geja, przyjaźniła się z nim od lat i znała wszystkich jego partnerów, włącznie z obecnym, znanym projektantem mody. Makijażystka Ewa, okej, troje stylistów, no cóż: jeden stos ubrań dla pani Mili, drugi dla pani Anny.

„Rety, ale sztab ludzi! Nieźle przedsięwzięcie – myślała Lilka. – Przed południem zdjęcia w Studiu Koko, fajnie, to przestronne i wygodne studio, po południu jeszcze na bulwarach nad Wisłą. Megaakcja. No właśnie, w takiej sesji zwykle brało udział dwóch fotografików, czemu producentka Igunia nie napisała jej, kto drugi?”

Nie bacząc na wczesną porę, chwyciła za telefon. W dniu sesji producentka i stylistki były na nogach od świtu, zwoziły do studia naręcza ubrań i organizowały catering.

– Iguniu, tak, to ja i już nie śpię. – Popijała słowa kawą. – Tak, będę, będę, nic się nie dzieje, tylko ty mi powiedz, kto drugi robi foty? Bo się boję.

No tak. Słusznie. Drugim fotografem miał być były mąż Lilki, Artur – Art Roszewski.

– Prosiłam cię, żebyś nigdy mi tego nie robiła! – krzyknęła w słuchawkę,

ale wiedziała już, że po sprawie. Iga miała milion usprawiedliwień: taki sezon, blisko świąt, wszyscy zajęci, on mógł, to tylko praca i weź nie pieprz, Lila, masz uprzedzenia. Lilka odłożyła telefon i gwizdnęła na psa. „Dzień się zaczął pełen niespodzianek” – mruknęła. Art jako drugi fotograf. To oznaczało, że będzie musiała z nim współpracować, potem czyścić i wybierać zdjęcia, a przede wszystkim widywać go cały tydzień. Pokrzepiła się myślą, że gdzieś w tej plątaninie ulic, na którymś z pięter budynków miasta jest też Tomasz. Ciekawe, wstał już i też popija kawę czy śpi jeszcze? Czy sam? „Nie szukaj mnie w Warszawie” – przypomniała sobie. „Za trzy miesiące w Darzborze”. O, żadna siła nie zatrzyma jej tutaj za trzy miesiące. A w Darzborze, w taki poranek jak dziś, będą się kochać i Lilka nie wypuści go z łóżka do obiadu. Obmyśli do tego czasu rozmaite atrakcje, jakich mąż jej nie znalazłby na żadnym dorosłym portalu. Na tę myśl uśmiechnęła się bezwstydnie, zbiegając po schodach na klatce, a bardzo pobożna sąsiadka w lot rozszyfrowała ten uśmiech i popatrzyła na nią z odrazą. Tak uśmiechać się może tylko napalona zdzira. Lilka uśmiechnęła się do baby jeszcze raz.

*

– Witajcie! – zawołała, wchodząc do Studia Koko. Jej były mąż już się tu panoszył, rozstawiał swój sprzęt, podniósł rękę w geście powitania. Nie odpowiedziała, pominęła go wzrokiem, za to serdecznie i wylewnie uściskała się z Wojem, jak zwykle wypielegnowanym i odzianym w markowe ciuchy. Woj Wu, naprawdę Wojtek Wojnicki, był znakomitym fryzjerem, oprócz tego, że uczestniczył w najlepszych sesjach, prowadził własne studio fryzur i urody Punkt Wu, panie znane z mediów zapisywały się do niego w kolejkę z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Kochały jego pomysły, pewną rękę i odważne cięcie włosów. To, że był gejem, tylko dodawało mu uroku, wiadomo bowiem, że „gej najlepszym przyjacielem kobiety”, co rozpropagował nie kto inny, jak dzisiejsza bohaterka Mila Marco. Ona na przykład zawsze stawiała taki warunek: w jej sesjach fryzury robi Woj Wu i tylko on. Odkąd Woj połączył się w parę z projektantem mody Ksawerym, i do urody dołączyli salon mody, ich Punkt Wu stał się najmodniejszym w stolicy salonem branży. Woj był jasnowłosym trzydziestolatkiem o urodzie wiecznego chłopca, oczy miał tak intensywnie niebieskie, że Lilka

podejrzewała go o koloryzujące szkła kontaktowe, a brwi tak jasne, że chyba używał wody utlenionej. Teraz ubrany roboczo w znakomitą, błękitną jak oczy, bawełnianą koszulę Tobosco i spodnie Bossa z opuszczonym krokiem, witał serdecznie Lilkę. Kochała go platoniczną miłością przyjaciółki, chociaż zawsze dokuczał jej, krytykując fryzury, a raczej ich brak. Sam miał piękny, wysoki czub włosów, opadający modnie na prawą część twarzy, a boki głowy podgolone niemal do skóry.

– Witaj, Liliano. – Uściskał ją raz jeszcze i odsunął od siebie na odległość ramion. – Kiedy pojawisz się w moim salonie? Może nareszcie coś z tym zrobimy. – Z udawanym obrzydzeniem pociągnął ją za kosmyk. Spięła szybko włosy w bezkształtny koczek na samym czubku głowy, jak zwykle do roboty.

– W naszym związku to ty jesteś ten piękniejszy – zażartowała. – Zawsze żałuję, że wolisz facetów. Co za strata dla babskiego rodu! Ja zamieszkałabym z tobą natychmiast – dodała głośniejsz.

– A ja tylko pod warunkiem, że dałabyś mi to obciąć. Jest źle, Lilka, bardzo źle! W ładnym, figlarnym bobie naprawdę byłoby ci do twarzy! Skubniemy brwi, Ksawer dobierze ci ciuchy, przyjdź.

– Daj spokój, Woj. – Wzruszyła ramionami. – Kto wie, może za trzy miesiące... A jak wam się układa?

Woj westchnął i wzniosł ręce ku sufitowi.

– Jak to dwóm gejom w warszawce... Początkowo było bardzo bosko, teraz trochę mniej, ale nadal prawie bosko. Ale uwaga, uwaga, idzie tu twój były.

– Iga chce, żebym zaczął z Anną Kanocką, a ty z Milą. Na początek portrety osobne, to dla ciebie, okej? – zapytał służbowo.

– Dobrze – odpowiedziała Lilka – i tak wolę Milę. Ty poćwiczysz swój żigolacki urok na tej starej, zimnej rybie.

– Chwila, chwila. – Nagle znalazła się przy nich Iga. – Tu się pracuje, moi państwo, bez takich przysrywek, poproszę.

– Nie chciałam z nim pracować – zaczęła Lilka, ale właśnie szum i błyski fleszy przed studiem zasygnalizowały, że przyjechała Mila. Od rana pod Studiem Koko czekało na nią kilku smętnych paparazzich.

– Jest pierwszą gwiazdą, szykuj się Woj – zakrzyknęła producentka – od razu czeszemy, super-Mila! Za to ta wiedźma Kanocka pewnie się spóźni i spieprzy nam timing.

Do sali weszła Mila Marco i wszyscy się uśmiechnęli. Mila była prawdziwą gwiazdą, miała talent i klasę, dbała o dobre samopoczucie ludzi,

z którymi pracowała, pamiętała imiona i zwykle po godzinie pracy organizowała szampana.

– Mój ulubiony zespół – zakrzyknęła jak zawsze. – Iga, Ewa, Lilka i Woj, cudnie! Od czego zaczynamy?

– Od mycia głowy, oczywiście. – Woj i Iga znaleźli się przy aktorce, prowadzili ją przed ogromne lustro obstawione już fiolkami, szczotkami, mnóstwem kolorowych kosmetyków. Woj ze współczuciem oglądał zniszczone słońcem końcówki ciemnych loków Mili, Iga pytała, co podać: kawę zaparzaną, zieloną herbatę, może czystą wodę, lekko chłodzoną, nigdy nie gazowaną? Do jej obowiązków należało wiedzieć, jakie są ulubione napoje i potrawy gościa, muzyka, a co jeszcze ważniejsze: czego gwiazda nie znosi. Na przykład grzebieni. Przy Mili Marco należało unikać grzebieni z rączką, bała się ich i mogła nawet wyjść z sesji, jeśli napatoczył się jej na oczy grzebień. Zatem królowały same szczotki. Obok Mili kręciła się jej agentka, brzydka jak noc Graża, oznajmiając ekipie, że pani Mila ma mniej czasu niż zakładano, bo wieczorem jeszcze zobowiązała się do honorowego rozdawania nagród na Grand Gali... Cztery godziny musi nam starczyć, na wszystko. Iga zbladła.

– Ojej! – Makijażystka złapała się za głowę. – To makijaż ma być od razu na wieczór, estradowy?

– I fryzura, przypuszczam? – Woj się nie martwił, miał pomysł na te bogate włosy. – Upniemy samą górę w podtapirowany, rzymski kok, dół puścimy luźno na plecy w lokach, no nie? – Mila z wdziękiem potakiwała, ale już zerkała na zegarek i ziewnęła. Miała za sobą nieprzespaną noc i sińce pod oczami, więc Ewa będzie musiała zgrabnie to ukryć pod makijażem.

– A tamtej jeszcze nie ma! – jęknęła Iga. – Jak ja lubię takie informacje w ostatniej chwili. To zaczynamy, zaczynamy! Muzyka, lekki jazzik, Woj, Majka, do dzieła. Dzwonię do agentki Kanockiej!

Zaczął się ruch, jak zwykle przy sesji. Lilka spokojnie rozstawiała kanarkowe tło i sprawdzała światło. Art przyniósł jej wodę, ale odmówiła. Niczego od niego nie chciała.

– Ty jednak masz schizę – warknął i poszedł do swoich aparatów, a Lilka westchnęła. To już nie był jej świat. Kiedyś lubiła tę atmosferę studia i sesji, stroje i peruki, grę świateł na tłach, nawet łupankę muzyki, ale teraz? Męczyło ją tworzenie sztucznych scenerii. Potrzebowała tataraków, szuwarów i szelestu ptasich skrzydeł. Potrzebowała luster, ale nie tych na ścianie, lecz rozlewisk

wody. Tła łąki, nie tego jaskrawego kartonu. Potrzebowała towarzystwa Tomasza, nie swojego byłego męża, który wprawdzie przestał się do niej odzywać, ale był zbyt blisko, by czuła się komfortowo.

– Kanockiej wciąż nie ma, a jej agentka nie odbiera. – Podeszła do niej zrozpaczona Iga. – Co robimy?

– Specjalnie się spóźnia, dla wrażenia – uspokoiła ją Lilka. – Zaraz będzie, przecież wiesz. Wejdzie, jak zawsze, w ostatniej jeszcze dopuszczalnej chwili.

– Ta chwila już jest! – wrzasnęła Iga.

– Ano i Kanocka też. – Lilka pokazała na drzwi. W białym płaszczu od Diora, w popielatym kapeluszu i takichże, kosmicznie drogich kozakach z frędzlami, triumfalnie wkraczała do studia Anna Kanocka i jej świta. Iga biegła już do niej zdejmować płaszcz, wszyscy zresztą rzucali się z gromkimi powitaniem, oczywiście wszyscy prócz Mili Marco, która usadzona przed lustrem poddawała się zabiegom Woja i Ewy i udawała, że spod ich szczotek i pędzelków nie może nawet skinąć ręką do Anny. Woj i Ewa, wierni swojej bogini, także zbyt skupieni byli na pracy, by odwracać się w stronę spóźnionej aktorki. Anna Kanocka miała Michała: osobistego fryzjera i makijażystę w jednej osobie, zawsze jej towarzyszył na sesjach i na planie filmowym, a złośliwi mówili, że lubiła go mieć także w garderobie i sypialni.

– Zaczynamy, zaczynamy – wołała Iga. – Pani Milo, wygląda pani zjawiskowo, ten zielony cień, super.

Lilka zaczęła pracę. Wołała fotografować aktorki niż modelki, bo, obyte z kamerą i reżyserem, znały doskonale sztukę pozowania, znały swoje ciało i posłusznie poddawały się rozkazom. A teraz broda wyżej, uśmiech, pani Milo, uśmiech do mnie, o tak, i piruet, lewy profil, prawy profil, ślicznie. Oczy zamknąć, a teraz znowu na mnie, na mnie, i mina zbuntowanej wojowniczką, poproszę. I jeszcze, zdziwienie, uśmiech, tak!

– Mamy to! – zawołała Lilka do Igi po czterdziestu minutach. – Pierwszy set na bank. – „Mamy to” – słyszała głos Arta. Ulubiony na sesji okrzyk fotografa, sygnał, że z niezliczonych ujęć i setów na pewno da się coś wybrać na billboard. Lilka miała w ciągu dnia powtórzyć to zawołanie kilkanaście razy, a przy zdjęciach wspólnych obu aktorek – niestety razem z Artem. Dlatego wołała unikać pracy z byłym mężem, wspólna sesja niosła wspomnienia dawnych uniesień i w pracy, i w łóżku, a potem bolesnego rozczarowania.

Nadeszła wreszcie ostatnia stylizacja, obie aktorki objęte w siostrzanym uścisku, obie w sukniach w mocnym kolorze indygo. Ubranie ich we

wschodnie szaty nie przeszło łatwo, bo Anna dowodziła, że ten kolor został wybrany pod Milę, mimo że zjada jej karnację. Miła, która doskonale wiedziała, że tak właśnie jest, protestowała i narzekała, że szaty nie ukazują jej zgrabnej figury. Sesja się przeciągała.

– Nie zdążymy bulwarów – westchnęła Iga. – No nic, dobrze, że już koniec na dziś. Mam dość ich obu.

– A ja muszę znowu dzwonić do sąsiadki, żeby wyprowadziła Borsuka – westchnęła Lilka.

Aktorki wyglądały teraz jak najbliższe sobie istoty, w czułym przytuleniu policzków. Iga pobiegła do nich z gratulacjami i podziękowaniami, chociaż akurat najchętniej podusiłaby je teraz jak mięso w garnku.

– Ale kicz i fałsz, co? – szepnął nagle Art prosto w ucho Lilki. – O rety. Anna kipi nienawiścią, Miła triumfuje.

– To coś o nas, kochanie, no nie? – odpowiedziała złośliwie Lilka, ale nie słyszał, bo pobiegł robić ostatnie ujęcia w zachodzącym słońcu.

*

Sąsiadka Lilki zgodziła się wyprowadzić Borsuka, a nawet zaprosiła go do siebie na serdelki. Lilka ugryzła się w język i nie przypominała jej, że Borsuk powinien jeść tylko specjalistyczną karmę. W czasie sesji nieraz korzystała z sąsiadki, błogosławiąc fakt, że starsza pani jest miłośniczką psów i imponuje jej, że Lilka obraca się w wielkim świecie.

– Skoro tak – zakrzyknął Woj – i nie płaczą nam psy ani dzieci, chodźcie na chłańsko. Obok nas otworzyli piękny pub o nazwie Winodajnia. Ksawery dołączy niebawem.

– U mnie dziecko płacze – przypominała im stylistka Maja – i obiecałam oddać część ciuchów jeszcze dziś. Simple nie wybacza spóźnień. Bywajcie.

Na placu boju została Lilka, Woj i Ewa. Taksówki odjeżdżały spod studia, jedna odwiozła Annę i jej młodego kochanka za Wisłę, druga Milę Marco na Grand Galę nagród za najlepszy spot reklamowy. Ewa pakowała swoje palety z cieniami i lustra, Lilka swój sprzęt. I po nie przyjechała zamówiona taksówka.

– Dajcie się namówić – kusił Woj – pogadamy przy szotach. Knajpa ma wystrój irlandzki.

Zgodziły się w końcu. Knajpka w centrum rzeczywiście była bardzo przyjemna, chociaż mała. Woj zamówił wszystkim wino i opowiadał z przejęciem o swoich dokonaniach. Lilka wcale się nie dziwiła, Woj przeszedł długą drogę. Z pomocnika fryzjera z przedmieść, chłopaka „przynieś, podaj” na sesjach, przeobraził się we wziętego artystę fryzur, właściciela studia, żądał teraz bajorńskich honorariów, i co ważniejsze, dostawał je. Czasem Lilka zastanawiała się, na ile w tej karierze zagrał talent, na ile znajomości w środowisku gejów. Oj, zresztą zapłacił za tę namiętność, bo kiedy odkrył w sobie pociąg do mężczyzn i utwierdził się w nim, dokonał coming outu, nie ukrywał swojej orientacji. W końcu wiedzieli o tym wszyscy, także rodzina w niewielkim miasteczku. Woj, znany tam jako zwykły Wojtek, rzadko bywał w domu, lecz kiedy raz przybył, kilku chłopców z osiedla, silnych chłopców o tradycyjnych poglądach, usiłowało wybić mu z głowy zboczone pomysły. Wybili mu tylko dwa zęby, a kiedy Woj dowiedział się, że była to akcja na prośbę ojca, od tamtej pory nigdy nie postawił nogi w rodzinnym domu. Ani kiedy cierpiał biedę, ani kiedy wykaraskał się z biedy i został bogatym człowiekiem sukcesu. Wchłonał go świat modelingu, Warszawa mediów i sceny, tu mógł tworzyć, mógł jawnie mieszkać z partnerem Ksawerym i w chwilach smutku jarać trawę. Teraz, przy stoliku w Winodajni perorował z przejęciem, bo przygotowywali z Ksawerym pokaz mody, jakiego jeszcze w Polsce nie było.

– Dziewczyny! – Rozpływał się już nad samą wizją. – Prawdziwy wybieg, najlepsze lux modelki, a jaki budżet! Funduje to największe pismo modowe, kapitał zagraniczny ma się rozumieć. I kto jest dyrektorem kreatywnym, kto?

– Oczywiście ja. – Ksawery wyrósł nad nimi nagle, jak wielki grzyb po deszczu. Rudy rydz, bo był mężczyzną o rudych włosach i brodzie, szczupłym, wysokim, zawsze uśmiechniętym niby Mona Lisa. Do wystroju irlandzkiego pasował idealnie. Teraz przysiadł się do nich i objął czule Woja. – Jak tam sesja z gwiazdami? Co tam wciskacie ludziom tym razem? Żelki na wzdęcia?

– Daj spokój, Ksawery. – Woj nie dał się wytrącić z tematu Wielkiego Pokazu. – Usiłuję nam zwerbować ekipę. Lilka fotografuje, Ewa pomaluje panienki, co?

Ewa skinęła głową. W przeciwieństwie do chłopców, nie wiodło się jej za dobrze, brała wszelkie zlecenia i zносиła marudzenie modeli, modelek, gwiazd i stylistów z istic anielską cierpliwością. Jedynie Lilka wiedziała, że Ewa pomaga sobie zbyt często, sięgając po antydepresanty i dopalacze. Martwiła

się o nią, ale Ewa była dość zamknięta w sobie.

– Tylko musicie dobrze zapłacić – powiedziała, popijając wino jak sok – bo ja mam ciągły deficyt i długi.

– Ewa, no to jedź ze mną na sesję na Borneo! – powiedział poważnie Woj. – Robią lato dla francuskiego magazynu, mam tam kontakty, chcesz? Kapitalna kasa.

– Oszaleję od tej gonitwy za egzotyką – westchnął komicznie Ksawery. – Już im nie starczą Kanary, Egipt niebezpieczny...

Lilka pomyślała, że zna miejsce, gdzie można by urządzić egzotyczną sesję, zarazem swojską, a niespotykaną. Zobaczyła oczami wyobraźni modelki na łąkach, jak łabędzie, łódki wśród nenufarów, parolotnie nad kilometrami bagien i torfowiska.

– Lilka, Lilka wracaj. – Woj machał jej ręką przed oczami. – Gdzie ty odleciałaś? Podobno jesteś święta i nic nie bierzesz?

– Nie, nie biorę i nie będę brać – zastrzegła się Lilka. „Co znaczy święta? Art naopowiadał im, że sucha w łóżku? Bydlak. Nie, nie powie im o Podlasiu, jeszcze by podchwycili pomysł i zjechali tam hałaśliwą bandą z kamerami”.

– Słuchajcie – zapytała nagle – czy ktoś z was słyszał albo robił coś dla wydawnictwa Retro?

Zamilkli i szperali w pamięci, ale Retro nic im nie mówiło.

– To chyba książki podróżnicze i biografie – przypomniała sobie Ewa. – Tam była jakaś afera z właścicielem.

– A, zaginał czy jakoś tak – przytaknął Ksawery – ale to nie nasze rewiry, jakieś historie sprzed lat. Biografie!

– Nie, nie tyle zaginał, ile wręcz zginął w wypadku. – Ewa coś wyłuskiwała z pamięci. – Miał jakiś związek z pisarzem i właśnie, że mogliście słyszeć, właśnie wy, bo miał jakiś romans z facetem... i skandal był, stare czasy, a co?

Lilka zrozumiała, że mogą tylko bardziej zamotać jej wiedzę. „Nie szukaj mnie w Warszawie” – usłyszała w głowie. Postanowiła pożegnać towarzystwo, tym bardziej, że do Winodajni wszedł jej były mąż Art z jakąś młodą dziewczyną i kierował się ku ich stolikowi. Szczypnęła lekko zawianą już Ewę i wstała od stołu. Ale obiecała, że weźmie udział w Wielkim Pokazie Woja i Ksawerego.

*

Cały tydzień nie miała czasu zajrzeć do swoich fotograficznych zdobyczy z Darzboru. Sesje trwały codziennie, Iga zarządzała ekipą jak generał, aktorki były z godziny na godzinę bardziej kapryśne, lunął deszcz, gdy chcieli słońca na bulwarach, czyli wszystko tak jak to zwykle w świecie modelingu bywa. Lilka nie narzekała, zadowolona, że tydzień intensywnej harówki zapewni jej utrzymanie bez pracy na kilka miesięcy. Kiedy odda sesję producentowi, odpowiedni szefowie wybiorą odpowiednie zdjęcia, pozostanie tylko praca nad kolorami i będzie wolna. Akurat uznawano ją w branży za świetną kolorystkę, lubiła czyścić fotografie i nadawać im cień odpowiednich tonacji i nie kpiła nigdy z Photoshopa. Nauczyła się także podchodzić do sesji z pewną dozą poczucia humoru. Zrozumiała, że to zabawny świat, trochę baśniowy, w którym kobiety nadmierną wagę przykładają do cienia na powiece, włoska poza wystudiowaną linią brwi, mężczyźni lubią być podobni do kobiet, włosy rozwiewa dmuchawa z wiatraka i fikcja zaczyna być prawdziwsza od rzeczywistości. Pewność, że po takich sesjach wyjedzie gdzieś w krainę bocianów i kaczek wystarczała jej, by dać z siebie wszystko. Nawet z trudnej sesji z dwiema gwiazdami była zadowolona, bo bardzo lubiły się z Milą Marco, ekipa była zorganizowana, tyle że wciąż płątał się po studiu Art i to psuło jej całą zabawę. Zastanawiała się czasem, skąd wzięła się w niej aż taka niechęć do byłego męża, przecież nie przez to jego upodobanie do pornografii. Była wprawdzie staroświecka, nie podobały się jej takie filmy ani zdjęcia, ale wiedziała też, że miliony ludzi korzystają z podobnych stron w internecie. To, że ją zdradzał i wirtualnie, i realnie, z modelkami z sesji i z panienkami z agencji towarzyskich, było już lepszym powodem do nienawiści, ale Lilka czuła, że nie o to chodzi. Art zabrał jej poczucie własnej wartości, resztki, jakie miała. Uciekał do innych, do stron, kobiet, filmów, bo ona była słaba i mało ponętna. Na początku ich romansu uwierzyła, że jest inaczej i że spotkała mężczyznę, który właśnie ją uważa za boginię seksu, tylko z nią fruwa pod chmury i doznaje rozkoszy. Otóż nie, nudził się z nią pod tymi chmurami. Kiedy uświadomiła sobie, że o to chodzi, poczuła się naprawdę zraniona. Przypomniła sobie pierwszego chłopaka, z którym próbowała stracić dziewictwo po dyskotecie, jeszcze w rodzinnym małym miasteczku. Był tak samo przerażony jak ona i nie stanął na wysokości zadania, mimo

wysiłeków i pojękiwań, nie doznał erekcji i nic z tego nie wyszło. Lilka próbowała go pocieszać, tak bywa, zwłaszcza pierwszy raz, za dużo emocji, powoli... ale chłopak wkurzony i upokorzony, czerwony jak indyk szybko ubrał się, zapiął rozporek na miękkim robaku i na odchodnym rzucił w nią jednym zdaniem: „To ty jesteś jakaś dziwna. Żaden do ciebie nie stanie”.

Lilka usiłowała zlekceważyć i zapomnieć, ale to zdanie niedosłego kochanka na zawsze pozostało w jej duszy. To ono powodowało, że uchodziła w akademiku za cnotkę. To nie cnota jednak sprawiała, że nie godziła się na randki macanki ani na seks, tylko wstyd i strach, że „żadnemu nie stanie”. W końcu przełamała się i zaczęła spotykać się z kolegami z roku w celach innych niż dyskusje akademickie, ale zawsze było słabo, nic szczególnego nie czuła. Uniesienia z Artem na krótko wyleczyły ją i odebrały moc złemu wspomnieniu. Siła pogardliwej oceny powróciła, zwielokrotniona do dziesiątej potęgi, gdy były mąż wykpił ją na pożegnanie i rozpowiadał dookoła, że jest „suchą sztuką”, „drewnianą lady”. „Zobacz, jak one to robią” – powiedział kiedyś i włączył jej lesbijski film. Dwa nasmarowane olejkami, kobiece ciała wiły się na sobie, ocierały, pojękiwały, dostawały drgawek. Żal jej było tych babek, nie podniecały jej, za to Arta tak. „Zaprośmy taką – zaproponował – na trzecią, Lilka, ale będzie jazda! Zobaczysz organoleptycznie. Dogodzi ci lepiej jak ja”. Nie chciała i rozplakała się. „Usiłowałem cię czegoś nauczyć – rzekł z udawanym ubolewaniem – ludzie mają z tego całkiem fajną zabawę. Ale ty sztywna byłaś, sztywna będziesz, ciup, ciup z zamkniętymi oczami”.

I po prostu nie chciała go więcej widzieć, unikała z powodzeniem. A teraz Art znowu plątał się obok, a Tomasz zniknął nie wiadomo gdzie. I niestety znów musiała zajmować się zdjęciami modelek i aktorek, zamiast tworzyć swój album o ptakach.

– Zamiast, zamiast, co za słowo! – westchnęła z niechęcią. Przygotowała pliki zdjęć z sesji, zamknęła i postanowiła zanurzyć się w fotografiach z Darzboru.

Spędziła nad nimi cały weekend. Z przyjemnością porządkowała zdjęcia według chronologii i kategorii. Tu ptactwo, tu flora, tu budynki. Tu Tomasz. Tomasz z Borsukiem, Tomasz pod drzewem. Dużo Tomaszów. Tomasz z Igorem, w tle Darzbór. Czy to był sen, czy oni istnieli naprawdę? Fotki z Tomaszem zgrupowała sobie w oddzielnym folderze. Natknęła się na zdjęcia z chaty w lesie. Ciekawe, że tak dobrze i wyraźnie widniały na nich sylwetki

mężczyzn i kelnera Staśka, osiłków i tego dziwnego Jamroza. Na stole jakieś paczuszki, wcześniej ich nie zauważyła, teraz przy mocnym zbliżeniu domyśliła się, co to mogło być, i zrobiło się jej słabo. Więc nie ikony, nie części kradzionych aut, tylko biały proszek? Po prostu, taka szampa, narkotyki na bagnach? Dość oczywiste: blisko granicy, odludzie. Być może mieli tam punkt przerzutowy, a ona była w posiadaniu dowodów. Szybko zamknęła pliki. Nie chciała być wplątana w żadne narkotykowe afery, a jeszcze bardziej nie chciała, by wplątany był w nie Tomasz. I Igor też – polubiła tego Włochopodobnego, oryginalnego karczmarza. „Może nie – myślała gorączkowo – może to przypadek, nie żaden handel, nie oni...”. Ale coś nie pozwoliło jej skasować tych zdjęć, żaden profesjonalny fotograf by tego nie zrobił. Co za miejsce! Doskonałe do miłości i do zbrodni. Kiedyś konie, potem auta, a teraz to? A mogła nie wiedzieć, nie trafić, co za licho poniosło ją na bagna akurat w kierunku tej chaty? Na szczęście w końcu nikt jej nie zauważył.

Otworzyła następny folder. Dom Dróżnika. Tu zza szyby przyglądała się jej ta kobieta widmo. Znow zbliżyła okno zoomem, maksymalnie. Na domowym, profesjonalnym sprzęcie miała większe możliwości. Ruda, bujna fala loków, było je wyraźnie widać, po prostu pieniały się w szybie... Śliczny klasyczny profil, trochę zbyt haczykowany nos. Młoda. Co tam robiła, czemu się ukryła? „Nie wiem tego i nie chcę wiedzieć – powiedziała głośno Lilka, a słuchał jej tylko Borsuk. – Miałam go nie szukać, piesku, ale nie obiecałam, że nie będę szukać wydawnictwa do swojego albumu, no nie? Taki materiał. Grzech zmarnować”.

W poniedziałki nie odbywają się zwykle żadne sesje, bo styliści tego dnia jeżdżą po centrach handlowych i wypożyczają ubrania z firmowych sklepów. Poniedziałek zatem uznała Lilka za dobry dzień na załatwianie własnych spraw. Poprawiła konspekt albumu, wykonała kilka telefonów, wygooglowała adresy. W wydawnictwie podróźniczym przystojny redaktor w jasnym garniturku wyśmiał jej ptaki. W przyrodniczym inny, brodaty, pokazał jej ze wzgardą trzy atlasy ptaków bardziej egzotycznych, które nie chciały się sprzedawać. Mimo że prośba Tomasza: „nie szukaj mnie w Warszawie” dźwięczała jej w głowie, teraz, po nieudanych próbach u obcych wydawców, jechała taksówką prosto pod adres Wydawnictwa Retro, który znalazła w internecie. Kręta 3/33. Postanowiła zobaczyć, co jest na Krętej 3. Tomkowy zakaz szukania go uznała za dziwactwo. Tak jak głupi przesąd z tym

fotografowaniem Domu Dróżnika. „Zdjęcia mam, a nic mnie jeszcze straszego nie spotkało – myślała. Ostatecznie szukam wydawnictwa, nie Tomasza Słowickiego”. Znalazła budynek, bramę, domofon, numer. „Drzwi otwarte, proszę wejść” – powiedział sztuczny, jakby zachrypnięty głos automatycznej sekretarki. Korytarze nie wyglądały jednak na tętniące twórczą energią lokum redakcji. Puste i szare, prowadziły do kilku drzwi. Lilka znalazła te z numerem trzydzieści trzy. Otworzyła jej kobieta w okularach, patrzyła na nią dziwnie, gdy Lilka pytała o Wydawnictwo Retro, podobno tutaj, może jest akurat sam wydawca?

Kobieta świdrowała ją przezroczytymi oczami zza okularów.

– Pani się myli – powiedziała. – Wydawnictwo Retro było tu, owszem, kilka lat temu. Ale już nie ma. Zamknęli po tragicznej śmierci właściciela. Wydawnictwo Retro już nie istnieje.

*

Zdruzgotana i załamana plątała się bezmyślnie po ulicach osiedla przy Krętej 3. „Nie istnieje... nie istnieje... – słowa jak uderzenia serca kołatały się w jej głowie – jak to nie istnieje? To co? Tomasz ją okłamał, nie ma żadnego Wydawnictwa Retro? Czy istniało, ale inne i gdzie indziej? Albo on był kim innym? A może go nie było wcale? Być może nie istniał ani Darzbór, ani lasy wokół niego, nie było tej nocy i poranku? Ptaków, chaty w lesie i Domu Dróżnika? Jak to nie było? Przecież miała zdjęcia!”. Przejęta i ogłupiała tą wiadomością, snuła się bez celu, wróciła pod bloki i nie zauważyła, że z budynku przy Krętej 3 wyszedł ktoś i aż zatrzymał się na jej widok, po czym się cofnął i schował za ścianą śmietnika. Gdyby nagle dokonała obrotu o sto osiemdziesiąt stopni, zobaczyłaby, że śledzi ją nie kto inny jak siwowłosy Witold Jamroz. Zdumienie przerodziło się w jego oczach w niechęć i złowrogie niezadowolenie. Lilka nieświadoma, że wplątała się w jego świadomość, szła prosto do przystanku tramwajowego, wzrok miała wbity w chodnik przed sobą i nie dokonywała żadnych obrotów. Jamroz wskoczył do drugiego wagonu tramwaju i nadal pilnie ją obserwował. Kiedy wysiadła na moście Poniatowskiego, wysiadł także i może doszedłby za nią pod samą klatkę, gdyby nie to, że na Dobrej nieprzytomna i mrużąc do siebie Lilka wpadła prosto w ramiona Woja Wu, w tej chwili prywatnie Wojtka

Wojnickiego, który nieopowiedzianie ucieszył się na jej widok.

– Lila! – krzyknął. – Jesteś! Właśnie od ciebie idę, chciałem obgadać scenografię pokazu... I co, Borsuk tylko naszczeakał na mnie przez drzwi.

Lilka spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Coś ty taka dziwna, Liliano? – zapytał Woj. – Stało się coś? Rozejrzał się dookoła, ale Jamroza nie znał, zresztą ten przezornie ukrył się w delikatesach i uważnie oglądał egzotyczne owoce w koszach. Lilka przetarła oczy.

– Tak, Woj, stało się – odpowiedziała, biorąc go pod ramię – ale to dłuższa historia. Tobie opowiem, chodź do mnie.

Jamroz nie podjął swojego śledztwa. Widział zza szyby sklepu, jak oddalają się w kierunku Tamki, Lilka Gajewska, fotografka, która zaplątała się przy transakcji w Darzborze, i jakiś wysoki blondyn. Czemu węszyła przy Krętej, czego szukała? Jamroz mieszkał tam od dziesięciu lat, przejął lokal po Wydawnictwie Retro i założył swoje biuro prawnicze, ale czego, u licha, chciała tam ta baba i co o nim wiedziała? Może wtedy, w lesie, zauważyła więcej, niż sądzili? Musiał to zbadać, ale nie musiał dalej jej śledzić, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka. Przypomniatł sobie, że ma numer rejestracyjny jej auta, przy swoich znajomościach bez kłopotu znajdzie adres. Rzucił z pogardą limonki i kokos, szybko wyszedł i zawrócił ku tramwajom, rozmyślając, co zrobić z natrętną wścibską fotografką. Im więcej myślał, tym bardziej nabierał przekonania, że trzeba dotrzeć do jej zdjęć i że być może ta kobieta ma piramidalnego pecha.

Tymczasem Lilka siedziała już w swoim fotelu, tuliła Borsuka i opowiadała zdumionemu Wojowi historię swojego zauroczenia Darzborem, ludźmi i ptakami bagien, i Tomaszem. Nie ukrywała niczego. Woj był naprawdę jej przyjacielem, wiedziała, że ją zrozumie. Tylko opowieść wydawała się jej coraz bardziej nieprawdopodobna. To domostwo ukryte w puszczy, Dom Dróżnika z bezsensowną klątwą, sam Tomasz... taki kochanek nie spada z nieba akurat na bagna.

– Wiem, że to nie do uwierzenia, ale mam zdjęcia, mogę ci pokazać – powiedziała słabym głosem.

Woj zaprotestował.

– Nie trzeba, znam cię, wierzę w każde słowo – powiedział. – Zdjęcia pooglądamy przy okazji. Teraz powiedz o nim, o tym Tomaszu. Znam nazwisko Słowicki, istnieje na pewno.

Opowiadała prawie wszystko. Nie wnikała tylko w intymne szczegóły, ale

Woj i tak się zorientował:

– Wklepałaś się w tego faceta na poważnie – westchnął i potargał czuprynę.
– Wiem coś o tym... Ale nie wiem, czemu ci powiedział, żebyś go nie szukała. Jakby nie chciał cię wpakować w tarapaty, wiesz? Czujesz, że to porządny gość?

– Czułam, ale teraz sama nie wiem. Chyba nie znam się na ludziach, Woj.

– Nie znasz się na sobie. – Popatrzył na nią bystro. – Nie wierzysz w najbliższą ci osobę: Lilkę Gajewską. Też nie wiem czemu, ale coś ci powiem: jak porządny, to miał swoje powody. Jak porządny i jesteś umówiona, to przyjedzie.

– Jak ja teraz wytrzymam te trzy miesiące, Woj? Będę snuć najgorsze przypuszczenia. Że nawet ten dom tam nie stoi.

– Już o tydzień mniej! Pojechałbym tam z tobą, zobaczyć, czy stoi, ale ten pokaz, wiesz – przysunął się do niej, przytulił. Na każdego innego człowieka Borsuk by zawarczał, ale nie na Woja. – Ale może ty lepiej wytrzymaj? Po co było go szukać, skoro prosił, żeby nie, Liliano, Liliano!

– Nie wiem – chlipnęła – to jakieś głupie. Czemu nie? Może sama tam pojedę? Nie będę wchodzić, przejadę w jedną, w drugą po Carskiej Drodze, upewnię się tylko, że nie oszalałam.

– A może po prostu zadzwoń do tego Igora? – trzeźwo zauważył Woj, machając jej przed nosem komórką. – Po prostu: halo, halo, co tam u was na bagnach słycać? – Może Tomasz się akurat tam kręci? Miałaś go nie szukać w Warszawie, ale na bagnach, czemu nie?

Lilka roześmiała się i otarła łzy. Właśnie takiego podejścia jej trzeba. Może zbyt demonizowała to wszystko. Czasem wystarczyło po prostu zadzwonić i powiedzieć: halo, halo...

– Dawaj ten telefon, sprytny draniu. – Wystukała numer natychmiast. Długo nikt nie odbierał, aż w końcu usłyszała kobiecy głos. Zapytała o Igora.

– Nie ma i jakiś czas nie będzie – poinformowała ją kobieta – rezerwacji teraz nie bierzem.

Lilce wydało się, że zna ten głos, kucharki, której naleśniki tak zachwalał Tomasz. Przedstawiła się szybko.

– A, to pani – zagadała cieplej kobieta, jakby do znajomej – to pani nie wie? Jak pani pojechała, to zaraz Darzbór nawiedziła seria złych wypadków. Najpierw kelner Stasiek zaginął. Ostatni raz widzieli go w niedzielę na mszy. A pan Igor jechał go szukać i miał wypadek. Obie nogi złamane, jest

w szpitalu w Białymstoku... w wojewódzkim, jak pani chce zadzwonić.

– A Stasiek?

– Już znaleźli ciało na bagnach. Umarły całkiem.

Zapadła cisza. Lilka wyjąkała jakieś słowa podziękowania, współczucia, nie zdołała zapytać o Tomasza.

– Pani się nie martwi – dodała kobieta. – Pan Igor zaraz wróci i znów będziemy przyjmowali. Teraz to tylko gości z drogi, sama z Edytką zostałam...

Lilka jeszcze raz podziękowała. Popatrzyła na Woję z przerażeniem w oczach. Przypomniała sobie zasłyszana rozmowę opryszków w wiejskiej chacie: ostateczny termin w niedzielę po mszy. A jak nie, to co?

– Wojtek – szepnęła – zabili go. Tam było morderstwo, a ja chyba wiem kto. Co robić?

Wojtek doradzał, żeby siedzieć cicho.

– Jeśli to rzeczywiście mafia narkotykowa, sama im nie poradzisz – mówił. – Jeśli wkręcisz się w ich interesy, po prostu cię skasują. Można by jechać do tego Białegostoku, do szpitala, ale ja nie mam teraz czasu, a samej cię nie puszcę.

Nagle, widząc przerażenie w jej oczach, chwycił ją za rękę: Liliano, obiecaj mi jedno, nie rób nic sama. Podgonię sprawy z pokazem i skoczmy tam na weekend, dobrze? To tylko kilka dni.

Kiwnęła głową, że tak. Nie miała siły sama podejmować żadnych decyzji ani walki z mafiami. Nazajutrz fotografowała sesję okładkową do lifestyle'owego magazynu, bohaterką była wyjątkowo kapryśna wokalistka. Na szczęście czesał ją właśnie Woj.

– To do jutra – powiedział, żegnając się w drzwiach. – Pa, malutka. Borsuk, pilnij swojej pani. A w środę koniecznie zrobimy przymiarke do zdjęć pokazu, co Lila? I, kurwa, nie otwieraj nikomu, tylko mnie, i temu Tomaszowi jakby co, okej?

Znów kiwnęła głową. Zamknęła drzwi na wszystkie zamki, przyrządziła sobie porządnego drinka, po którym mocno zasnęła. Woj tymczasem udał się do swoich znajomych, którzy nie gardzili proszkiem podbieranym z partii wysyłanych na wschód. Postanowił kupić małe co nieco, by mu zaufali. Niestety, nikt nie znał handlarzy z Podlasia, i skończyło się tym, że na sesję przyszedł prosto z imprezy: zmarnowany, niewyspany i na kacu. Mimo to uczesał piosenkarkę tak, że na swój widok w lustrze krzyknęła z zachwytu. Po prostu miał talent. Gwiazda wybrała strój, ale narzekała na metkę, którą Lilka

schowała pod kołnierzem. Stylistka cierpliwie tłumaczyła jej, że ten kostium z Max Mary kosztuje dwa tysiące i trzeba go oddać, chyba że gwiazda zechce kupić... na możliwy rabat łypnęła ciekawym okiem, ale nie upierała się już przy ucinaniu metki. Kiedy stylistka poprawiała jej kołnierzyk, makijażystka kreskę pod okiem, a Lilka fotografowała, Woj spał jak dziecko na pudłach z innymi mniej lub więcej cennymi ubraniami. Lilka natomiast rzuciła się w wir pracy i odpychała od siebie natrętne myśli. Przed sesją, rano surfowała po internecie, znalazła w „Wieściach z Podlasia” informację o zamordowanym przez uduszenie, a potem porzuconym na bagnach Stanisławie B., lat dwadzieścia osiem. Sprawcy nieznani, B. wplątany prawdopodobnie w lokalne porachunki, handel narkotykami z mafiami zza wschodniej granicy. Zadzwoiła też rano do szpitala wojewódzkiego w Białymstoku, ale Igor Karczuk akurat wyszedł, a raczej wyjechał na wolność na wózku, z gipsem na obu nogach. Klęczała pod reflektorami lamp, przeginała się, by uchwycić wyraz oczu swojej modelki, i odpędzała myśli o Jamrozie, który być może wydał rozkaz, by przykładowo ukarać Staśka za niesubordynację w płaceniu za towar. Odpędzała wspomnienia pocałunków i pieszczot Tomasza, bo powodowały, że czuła mrowienie w mięśniach Kegła. I nawet wspomnienie trasy na Podlasie odpędzała, bo bała się, że rzuci aparatem w uśmiechniętą zalotnie piosenkarkę i pojedzie tam natychmiast. Ale Woj obiecał towarzyszyć jej w weekend, więc teraz po prostu praca, praca, praca. Sam Woj spał nadal na zapleczu, a że fryzurę tak mocno utrwalił lakierem, że nikt go nie wołał, wyspał się i wstał pełen energii na sam koniec sesji. Przypomniał Lilce o próbach do pokazu, które zaczynały się nazajutrz. Pamiętała. Przez kilka dni mieli werbować modelki, dopieszczać scenografię, omawiać światła i bawić się przy tym doskonale. Wołała nie myśleć, ile popłynie przy tym alkoholu, ile serc pęknie, ile kandydatek na sławne modelki pożegna się z nadziejami. Z mieszanymi uczuciami stawiała się w Studiu Wu, by pomóc w pierwszej selekcji dziewczyn; przejrzeni około trzystu zdjęć. Stawiała się i następnego dnia przy ustalaniu choreografii i scenariusza: Woj wisiał na telefonie i obdzwaniał wybranki. I jeszcze następnego – na wieczornym, prywatnym castingu modelek do pokazu. Znała te zamknięte imprezy: tylko zaufani goście, dobra muzyka, whisky i trawa, i zaproszone kandydatki, te po pierwszej selekcji. Zebranie koneserów, przy zamkniętych drzwiach zadymionego pubu. Mogło być ciekawie, bo modelki to w większości debiutantki, świadome, że konkurs jeszcze trwa, a stawka jest duża. Pokaz próbny zawsze był też

sprawdzianem i inspiracją do dopracowania w szczegółach światła i scenografii. Lilka mogła być zadowolona i w pełni realizować swoje artystyczne zamiary, ale niestety zaznała przykrości, bo nie była jedynym ekspertem ze świata fotografii – obok niej, tuż przy scenie stanął jej były mąż.

Po wybiegu przechadzały się dziewczyny, nauczone już odpowiedniego kroku, zatrzymań, obrotów. Wymalowane, skąpo ubrane, wszystkie na niebotycznie wysokich obcasach, które jeszcze wydłużały i tak już długie, zgrabne nogi.

– Ale laski – szeptał jej do ucha Art. Stanął trochę za nią, tłum nie pozwolił jej uciec. – O, Lilka, czuję, jak mi fiut w spodniach rośnie! Zobacz, ta!

Szła po wybiegu dorodna blondynka, pośladki wysokie, piersi duże, falujące, talia wąziutka. Makijaż dodawał jej lat, ale mimo to...

– Bój się Boga, zwyrodnialcu – odpowiedziała mu Lilka – przecież ona nie ma szesnastu lat! Kto ją tu wpuścił?

– Oczywiście Maniek, szef Casting Dream. Wiesz, że jak dziewczyna przysyła mu portfolio, a Maniek ją zaprosi do teamu, to na dzień dobry każe schudnąć do czterdziestu dwóch kilo, ale tak, żeby cycki zostały duże? Podobno tym razem mogły wprowadzić własne pomysły w image. Aj, zobacz, jaka śliweczka!

Podium przemierzała niższa od pozostałych dziewczyna, w zwiewnej fioletowej szacie, ciemnowłosa, o śniadej karnacji, białych jak śnieg zębach. Błyskały spod karminowych warg, gdy kłaniała się w uśmiechach. Szata rozchyłała się, ukazując całkiem nagie ciało, ciemne brodawki piersi, gładkie łono, bo Śliweczka postanowiła skasować konkurencję i nie włożyła żadnej bielizny. Art jęknął.

– Jeszcze chwila, a będę musiał stąd wyjść i dokonać samogwałtu – szepnął do ucha Lilce, napierając na jej plecy i biodra. – Czujesz go, Lila, co? A może uratujesz mnie i wyjdiesz ze mną? Ciupniemy się po koleżeńsku w szatni, wiem, że tego potrzebujesz.

Najgorsze było to, że miał rację. Te ciemne piersi modelki i w niej wzbudziły podniecenie. Duszna atmosfera, zapach alkoholu w powietrzu najwyraźniej nakręcał erotykę, bo także inne osoby ulegały tej zmysłowej magii. Lilka widziała, jak Ksawery dyskretnie wkłada rękę pod koszulę Woja, jak modelka, która zeszła już z podium, siada na kolanach znanego aktora, a ten nurkuje nosem w fioletową szatę. Dwie koleżanki Woja zaczęły się całować bez obiekcji. Poczula ciepłe, zręczne ręce Arta na swoich piersiach, zaczął

naciskać je i obwodzić palcami z dawną wprawą. Prąd przebiegł jej po skórze. Kto wie, jak by to się skończyło, gdyby nie wejście następnej modelki. Lilka omal nie krzyknęła. Zrzuciła z siebie natrętne dłonie Arta i precyzyjnie się jeszcze bliżej sceny. O, ta kobieta miała na sobie bieliznę, ale tym bardziej emanował od niej erotyzm. Srebrny gorset i długie, nad kolano kozaki, to było wszystko, ale okrywała się białą peleryną, z góry patrzyła na widzów, obracała piękny szlachetny profil z lekko haczykowatym nosem. Na końcu wybiegu zrzuciła dumnie pelerynę z ramion, uniosła ręce i wyjęła z upiętych włosów szpilkę. Burza rudych fal opadła płaszczem na jej prawie nagie ciało, sięgnęła aż po kozaki. Widownia, zaskoczona i zauroczona, zaczęła bić brawo, rozległy się gwizdy podziwu. Modelka uśmiechnęła się z triumfem, ale nie ukłoniła się do nikogo. Podniosła ręce w geście powitania i wzrok jej spotkał się z oczami Lilki. Błysk jakby pozdrowienia upewnił Lilkę: to ona. Już ją widziała, już raz spotkała te dziwne, drwiące oczy. Jedyne ta ruda kobieta znała jej sekret, wiedziała, że fotografowała Dom Dróżnika. Była tam. Lilka uniosła ku niej rękę w geście powitania, ale modelka Marianna Haenszeld, jak grzmiał megafon, odwróciła się, ukazując widzom pośladki przecięte srebrnym sznurkiem stringów i odeszła w drugą stronę. Nie zwracała już na nią najmniejszej uwagi. Ale Lilka była pewna, to była ona, kobieta z Domu Dróżnika. Chyba że omam.

Po paradzie modelek, po powrocie usatysfakcjonowanych par z dyskretnych salek, z których dobiegały jęśliwe dźwięki miłości, Ksawery zaprosił do swojego apartamentu „na kanapki” tylko wybrańców. Kilka modelek, które przeszły przez sito selekcji, kilku VIP-ów, sponsorujących przedsięwzięcie, reżysera i oczywiście Woja. „Na kanapki”, bo miał specjalny salon urządony jak dla Rzymian: sofki, kanapy i kanapki, rozkładane fotele, wszyscy rozmawiali na półleżąco, a hostessy podawały napoje i przekąski. Lilka zgodziła się pójść, bo nie zaproszono Arta. Jej ciekawość, jak ulżył sobie w seksualnej niedoli, została łatwo zaspokojona; widziała, jak wymykał się z lokalu z dziewczyną, która stała obok nich. „Jak nie dadzą z przodu, to sięgnę z boku” – pomyślała ironicznie, zadowolona, że przynajmniej wybranka tego erotomana wyglądała na osobę pełnoletnią. Z pewnością nie była nią pierwsza z modelek, którą podziwiali na wybiegu, nastolatka jeszcze. Lilka wypatrzyła ją na kanapce pod ścianą. Przeszła widać przez selekcję i siedziała teraz z podwiniętymi nogami, obserwując błyszczącymi oczami wchodzące pary, kobiety z rozmazaną od pocałunków szminką, mężczyzn dopinających

marynarki, żartujących rubasznie albo snujących się w dziwnym, wciąż pełnym zmysłów tańcu na środku sali. Lilka usiadła obok.

– Podoba ci się tutaj? – zapytała. Dziewczyna kiwnęła głową. Mogła mieć piętnaście lat, szesnaście, ale już nie więcej. Łakomy kęs dla kręcących się wokół poszukiwaczy świeżynek. Nie wyglądała na nieświadomą rzeczy, raczej zdecydowaną na ten świat i oczekującą na przygodę życia.

– Jak masz na imię?

– Elwira.

– Ach, Elwira? A naprawdę?

– Elka. Ale Ksawery doradził mi imię sceniczne.

– A ile masz lat, Elu? – dopytywała Lilka, widząc, że dziewczyna obiega wzrokiem tańczące pary i stopy jej poruszają się w takt muzyki. Wypiła już za dużo, widać nie miała wprawy.

– A co to za przesłuchanie? – Ela nagle stała się niegrzeczna. – Obok nich ni stąd, ni zowąd pojawili się dyrektor agencji organizującej promocję pokazu i Marianna Hoenszeld. Podała Lilce miętowego szota.

– Ta pani mnie przepytuje – poskarżyła się kapryśnym głosem Elwira, składając ręce jak do modlitwy i patrząc błagalnie na pana dyrektora – a... a ja... a ja tak bym chciała zatańczyć.

Pan dyrektor nie dał się prosić, Elwira oblepiła jego bok, a potem zawisła mu na piersi i kołysała się w takt muzyki.

– Szkoda mi jej – powiedziała Lilka do Marianny – za dziesięć lat będzie zużyta, rozczarowaną kobietą, uzależnioną od prochów i kochanków.

– A może jej się uda? – Marianna uśmiechnęła się lekko. – Ma warunki. Niektórym przecież się udaje i potem sława, pieniądze, podróże...

– No to będzie uzależniona od sławy i fleszy. – Lilka wzruszyła ramionami. – Pani nie jest modelką, prawda? Skąd my się znamy, bo na pewno panią już widziałam? Nie zapomina się takich włosów.

Marianna popatrzyła na nią bystro. Wyglądała na inteligentną osobę, doskonale wiedziała, że Lilka mogła widzieć ją tylko w jednym miejscu. Nie mrugnęła okiem.

– Dlaczego tak pani sądzi? – zapytała, udając zdziwienie. – Mam spore doświadczenie w modelingu. Nie podobał się pani mój pokaz czy strój?

– Nie, nie. Po prostu nie pasuje tu pani. Nie widziałam też wcześniej portfolio.

– Nowy sponsor pokazu, a mój dobry znajomy, załatwił to z Ksawerym dziś

rano. A Ksawery właśnie tu idzie. Mój miły, ratuj mnie przed tą panią, chyba mnie nie lubi.

Ksawery roztańczony, delikatny, rudy jak i ona, objął Mariannę i ucałował w usta.

– Jesteś boska – powiedział z pijackim zachwytem. – Jesteś tak boska, że myślę, czy nie zmienić orientacji. Cii! – Pogroził palcem ku Lilce. – A ty nie mów nic Wojowi.

– Nie powiem – obiecała Lilka. – Ty nie zmienisz orientacji, a pani się myli, z mojej strony to tylko ciekawość.

– Przejdźcie na ty! Natychmiast! – rozkazał kłótliwie Ksawery. – Będziecie razem pracowały!

– No to jestem Lilka. Lilka Gajewska, fotografka.

– A ja Marianna Hoenszeld. Modelka i aktorka.

– Pochodzenie semickie? – zaciekała się Lilka. – Nazwisko i te włosy...

– Ależ skąd, coś ty! – zaskakująco gwałtownie zareagowała Marianna. – Można powiedzieć, przeciwnie. Nazwisko niemieckie, włosy irlandzkie... Jestem pół Niemką, pół Irlandką.

– Czyżby też rasistką? – zakpiła Lilka. – Bo ja mam żydowskie geny.

– Ach tak, to wyjaśnia ten typ urody. – Marianna popatrzyła z lekką pogardą na ciężkie powieki, łukowate brwi, ciemne włosy Lilki. – Bez obaw, czasy pogromów dawno minęły.

– Ale gdzie mogłyśmy się spotkać? – naciskała Lilka. – Nie w Warszawie, bo wczoraj przyjechałaś... Więc gdzie? Może Podlasie, koło Goniądza, byłam tam niedawno w uroczym miejscu.

– A ja nigdy nie byłam na Podlasiu – ucięła krótko Marianna. Wydawało się Lilce, że cały czas patrzy na nią z poczuciem wyższości. – Nie, nie, tylko ci się wydaje, może za dużo trawki.

Marianna odpłynęła z Ksawerym w stronę innych grup, dopytujących, czemu hojny sponsor, a jej opiekun, nie przybył na dzisiejszy pokaz. Lilka usłyszała jeszcze odpowiedź, że pragnie pozostać incognito. I komplementy pod adresem Marianny i Ksawerego: jak pięknie razem wyglądają; oboje rudowłosi z mleczną cerą, zgrabni, zmysłowi. „Ruda kobieta i rudy gej” – zaśmiała się w duchu Lilka. Rozejrzała się po mrocznej sali. Młodziutka Elwira znikła gdzieś z dyrektorem, pewnie właśnie gorliwie, z chęcią traciła dziewictwo w jakiejś garderobie. Woj brzdąkał na pianinie i smętnym wzrokiem wodził za Ksawerym. Dwie pary na parkiecie całowały się

i obściskowały raczej, niż tańczyły do jego kocięj muzyki. Lilka westchnęła. Poczuła ból w skroniach, a może raczej zrobiło się jej niedobrze na widok tych snujących się widm. Zadzwoniła po taksówkę i wymknęła się z roztańczonego, nabitego erotyką Studia WU. Nadszedł weekend, Woj dotrzymał słowa: wybrali się samochodem Lilki na Podlasie. Wyruszyli w sobotę rano, by uniknąć korków, które w piątkowe popołudnie są nieznośne na każdej wylotówce ze stolicy. W sobotę rano mknęli swobodnie, Borsuk zadowolony z wycieczki na wieś, spał smacznie na tylnym siedzeniu, obok laptopa Lilki i walizeczki pełnej kosmetyków, antyperspirantów i magicznych pachnideł Woja. Ponieważ nastał maj w całej swojej krasie, widok za oknem mieli przepiękny, lasy cieszyły się już mocno soczystą zielenią, okolice Bugu zaskoczyły Woja: nowoczesna trasa dwupasmówki wznosiła się nad pejzażem jak z bajki.

– Tu podobno kręcili kadry do *Nad Niemnem* – rzekła Lilka, uśmiechając się – a zobaczysz za godzinę: będzie coraz mniej cywilizacji i coraz więcej potężnych lasów i borów, jak z bajki.

– I kleszczy, i komarów – jęczał Woj – ja jestem dzieckiem miasta, Liliano. Docień, że z tobą jadę w te dzikie strony, gdzie mogę zostać ugryziony, a nawet zarażony boreliozą.

– Grozi ci także fatalne zauroczenie, a jak zasłużysz, wyjdzie nam na drogę dzik albo łoś.

Woj nie wyglądał na zachwyconego taką perspektywą, ale zainteresowało go coś innego.

– Słuchaj, tam podobno jest twierdza?

– Tak, w Osowcu, i bunkry...

– To skoro już nas przyniosło w te dzikie chaszczce, to pojedźmy obejrzeć ślad ręki mężczyzny, co?

– No proszę! – roześmiała się Lilka. – Przecież jesteś gejem! Interesują cię takie tematy?

– Jak najbardziej! – Woj wzruszył ramionami. – Czemu nie? Nie należysz chyba do idiotek, które uważają, że gej mówi cienkim głosem i bawi się lalkami. Poza tym, że, no wiesz – śmiesznie pokazał palcami i przybrał parodiujący ton miękkiej mowy – że, no wiesz, inaczej się kochamy, to poza tym w głowie wszystko zwyczajnie... Nie znoszę tych stereotypów – dodał już poważnie i smutno.

Lilka jednak śmiała się, bo doskonale parodiował typ mowy uznawany za

gejowski.

– Jeden z nich głosi – dodała pojednawczo – że jesteście bardzo, ale to bardzo inteligentni!

– Z tym mitem się zgodzę – powiedział Woj łaskawie. – Zobacz no! A co, my nagle w Hiszpanii?

Mijali stary wiatrak na wzniesieniu. Lilka zwolniła. Niegdyś tętnił życiem, teraz zdjęto mu skrzydła i ogołocony, samotny słup drewnianego budynku trzymał straż nad położoną w oddali wioską.

– Tak – rzekła miękko Lilka – minął czas wiatraków i młynów. „Pewnie i Don Kichotów” – dodała w zamyśleniu.

– Don Kichot na pewno był gejem! – poinformował ją Woj. – Nie skręcasz na Łomżę?

– Ano nie. Jedziemy ku Carskiej Drodze, a ona zaczyna się w wiosce o nazwie, która ci się spodoba: Mężenin.

– Że same chłopcy? – zdumiał się Woj. – Ale ja lubię towarzystwo kobiet, bo co bym tutaj robił? Towarzyszę rycersko Dulcinei, no nie? Opowiedz mi lepiej, co wiemy, a czego nie, w naszym najdziwniejszym na świecie śledztwie: w sprawie wydawnictwa, którego nie ma, kochanka, który zniknął, modelki, której nie było, ale się objawiła... nie wierzę, że nie przeszukałaś internetu.

Lilka westchnęła i opowiadała. Oczywiście, że sprawdziła, zrobiła research godny wielkiego fotoreportażu, ale informacji o Wydawnictwie Retro, miejscu i osobach było zaskakująco mało.

Nazwisko Słowicki, zresztą dość popularne, pojawiało się oczywiście wielokrotnie. Był niejaki Słowicki Bud-Med, Słowicki Media, a nawet Bracia Słowiccy i S-ka, zajmujący się transportem i przeprowadzkami. Wszystko inni Słowiccy. Tomasza Słowickiego wprawdzie znalazła – Wikipedia potraktowała go dość przyjaźnie i bogato: pisarz, nagradzany za popularyzację folkloru, słynny konkurs małych ojczyzn, nagroda i tak dalej. Data urodzenia zadowoliła Lilkę, nie był aż tak dużo starszy od niej. O rodzinie nic, żadnej plotki typu: żona Anna, syn Olaf, tylko „brat – zginął tragicznie”. O tymże bracie – Janie Słowickim – tylko kilka wzmianek, o samym odnalezieniu ciała, i jedna interesująca: współwłaściciel Wydawnictwa Retro. Współwłaściciel? W takim razie o nim z pewnością mówiła kobieta na Krętej 3. Ale kto był drugim właścicielem?

– Może właśnie brat Tomasz? – podpowiedział Woj. – Wówczas kłamstwo

jego nie byłoby tak okrutne...

– Ale powiedziała, że zamknęli po śmierci właściciela – upierała się Lilka.
– A Tomasz, że jest wydawcą. I żyje, przynajmniej tak mi się zdawało. Kto kłamie?

– Może wszyscy, może nikt. – Woj był w nastroju filozoficznym. – Nie wszyscy muszą wszystko gadać. Ty też nie wspomniałaś, że jazda po Carskiej Drodze wytrzęsie ze mnie duszę.

Faktycznie, stara asfaltówka pełna była dziur, a drogowskaz na Czachy-Kołaki rozbawił Woja do łez.

– Kraina horroru – powiedział. – Czachy! Czekaj, znajdziemy tego twojego Tomka, byleby nie okazał się wilkołakiem.

– On raczej mieszka w Warszawie – tłumaczyła Lilka – nie znalazłam więcej nic. Domu Dróżnika nie ma w necie, nawet legendy, Darzbór ma tylko wizytówkę z telefonem, a poza tym czarna dziura, jakby w ogóle tych miejsc nie było. Goniądz tak, sporo adresów, hotele, agroturystyka...

Minęli napis: „Brama na bagnach wita!”. Woj lekko się skrzywił. Brama na bagnach!

– Jeszcze dwadzieścia minut i zobaczysz – szepnęła Lilka. Minęło jednak pół godziny i nic nie zobaczył oprócz wielkich drzew. Czyżby przegapiła zajazd? Mrówki przebiegły jej po plecach. Co jest? A może wydało się jej, że to bliżej. Las zmienił się w łąki, ostatnią wioskę minęli dziesięć kilometrów wcześniej, przy rzeczce... Już miała snuć teorię o znikających budynkach, kiedy Darzbór w całej swojej krasie wyrósł zza zakrętu za ścianą lasu. Odetchnęła z ulgą i zaparkowała z ułańską fantazją.

– No, no! – powiedział Woj. Rozglądał się zdumiony stylową architekturą obiektu, pięknem otoczenia i ciszą. Nie było samochodów na podjeździe, nie było gwaru sprzed kilku tygodni, mimo weekendu.

– Pewnie zamknięte. Czyżby Igor czuł się gorzej? – szepnęła Lilka – Kucharka mówiła, że z drogi przyjmują.

Borsuk jak szalony biegał po placu, wykonywał przedziwne okręgi z podskokami i obsikiwał krzaki. Stary bernardyn, obudzony przez wariackie poczynania Borsuka, podniósł się nawet, urzędowo szczeknął dwa razy, ale pogłaskany przez Lilkę ziewnął i zajął swoje miejsce pod wiatą. Niemniej jego sygnał wywołał ruch w domostwie. Ktoś podszedł do okna, skrzypnęły drzwi i oczom Lilki i Woja ukazał się mężczyzna na wózku inwalidzkim. Odgarnął spirale ciemnych włosów, zabłysły piękne oczy, zajaśniała biała

koszula, podniósł rękę. Lilka powstrzymała szloch i rzuciła się ku niemu. Mężczyzna otworzył ramiona, jakby witał najlepszą przyjaciółkę.

Igor Karczuk, mimo że na wózku, okazał się niezwykle ruchliwym i energicznym gospodarzem. Wydawało się, że bardzo ucieszył się z tej wizyty, gościnnie przywitał Woja, przyglądał mu się ciekawie i dużo mówił. Woj przeciwnie, nagle zamilkł, jakby chłonał nieznaną mu otoczenie i w milczeniu obserwował nowo poznaną osobę. Osoba na wózku kręciła się żywo, od lady do stolików, nie pozwalając sobie pomóc, nawoływała tylko do kucharki Jadzi.

– Nie przyjmę was takimi rarytasami jak poprzednio – mówił Igor – bo stało się, co się stało. Musiałem po wypadku bardzo zmniejszyć obroty, żadnych rezerwacji, a przejazdem rzadko kto się tutaj trafia. Mamy w pogotowiu zamrożone pierogi, zawsze żurek albo grochóweczkę w kotle i niezastąpiony w takich wypadkach bigos. Jadziu, podawaj nam tu prędko. Przenocujecie, prawda? To i wódeczkę wyciągnę, zamrożona. Nawet Edyty teraz nie ma, bo pokoje puste. Jadźka wam pościele przygotuje. Co się stało, to się nie odstanie...

– A co się właściwie stało? Niechże pan, Igorze, przestanie wykręcać te piruety wózkiem i opowie nam wszystko.

– Pani Lilko.... A właściwie, po tych przygodach, powinniśmy przejść na ty. Z panem także, przyjaciele naszych przyjaciół i tak dalej. Oto mamy kieliszki. Bruderszaft!

Uściskali się, wypili, Igor po chwili milczenia podjął opowieść.

– Zdarza się. Miałem wypadek, załapałem pobocze na tej pokrętnej drodze koło rezerwatu. I tak sporo szczęścia, bo komórka miała zasięg, dyspozytorka w pogotowiu nie spała i szybko po mnie przyjechali. I pech, bo złamane obie nogi. W dodatku paskudnie, jedna w udzie, druga coś z kolanem. Tak mnie nieszczęśliwie wywaliło na zakręcie. Z drugiej strony, jednak szczęście, bo mógł trachnąć kręgosłup, a nogi się wyleczy. Doktor z Białegostoku mówi, że to kwestia miesięcy. Już trochę kuśtykam o lasce, ale wolę wózek.

– Ale jak to wypadek na żwirówce? Co tam, u licha, robiłeś? – Lilka chciała, żeby powiedział o morderstwie.

– Jechałem po Staśka – powiedział cicho Igor. – Słyszeliście pewnie, że zabito tu kelnera. Nagle zniknął, w niedzielę miał być w pracy na noc i nie ma... Wszyscy, że prysnął z tej dziury w wielki świat, ale ja czułem, że coś tu nie gra. Nie był może superkelnerem, ale nie rzuciłby tak roboty. Ciężko tu o pracę, a on ciągle potrzebował pieniędzy... Szybciej by gdzieś zapił,

z kumplami czy dziewczyną, z Edytą chyba coś kręcił... I nie ma, i nie ma. Edyta mówi, że nie wie, ale jakaś błąda. Rodzice przestraszeni, zgłosili na policję, ale tamci: powoli, jeszcze wróci, dorosły, dopiero druga doba... I nadal nic, więc już było wiadomo, że albo uciekł naprawdę daleko, gdzieś na południe, może nawet za granicę, albo jest tam, gdzie wszystkie tutejsze zguby: w bagnie. Minęło kilka dni, jak dostaję SMS. Stasiak. Przyjedź pod trzecią wieżę, natychmiast. No to jak jaki dureń wsiadłem w wóz i tak przygalopowałem, że mnie z zakrętu wyrzuciło. I mogły być dwa trupy, ale przyjechali po mnie, policja też pod wieżę, a tam Stasiak, trup...

Wbijali w niego wzrok oboje: Lilka z przerażeniem, Woj ze zdumieniem. Igor niby opowiadał im całe zdarzenie, ale jakby także sobie, analizował je i przeżywał od nowa. Raz po raz odgarniał włosy, patrzył przez nich, widział znowu wszystko: rozbity samochód, policję, pogotowie, ciało Staśka...

– Jak to? – zapytała Lilka. – Mówiłeś, że esemesowałeś... Umarł, zanim przyjechałeś?

– Nie darowałbym sobie. Widzicie, tu na bagnach zawsze się działy różne podejrzane sprawy, spotykali się dziwni ludzie. Niebezpieczni. Miejsce takie... odludne, dogodne dla nieczystych interesów. Stasiak wplątał się w takie i zabili go. Musiał się czymś narazić. Został uduszony i porzucony, bagno samo tak łatwo nie oddaje.

– Ale przecież ten SMS.

– Już nie żył. Ktoś wysłał z jego telefonu, żebym przyjechał. I znalazł.

– No a śledztwo?

– Utknęło. – Igor wzruszył ramionami. – Nie po raz pierwszy mamy tu morderstwo i nie po raz pierwszy utyka. No ale, Lilka, na Boga, nie przyjechaliście tutaj słuchać kryminalnych opowieści. Jeszcze wcześniej, pogoda jest. Do kolacji możecie się powłóczyć...

– Igor – nie ustępowała Lilka – a czy był tu potem ten siwy, wiesz, taki samotny gość spod okna?

– Ten Jamroz? Nie, on wtedy był przejazdem, potem go tutaj nie widziałem. Bo co?

– Ja go widziałam wtedy w lesie, kiedy poszłam sama i omal się nie zgubiłam. I kilku innych facetów, chcieli czegoś od Staśka. Dali mu termin do niedzieli, po mszy, a ty mówisz, że zniknął właśnie w niedzielę...

Igor popatrzył na nią z nagłym lękiem w oczach.

– Zdawało ci się – powiedział szybko. – Nigdy o tym nie mów. Nikomu.

Zapadła cisza, którą spróbował przerwać Woj. Uśmiechnął się i przypomniał Lilce, po co właściwie tu przyjechali.

– No tak! Igor, chcę o coś zapytać. – Lilka z determinacją przypuściła szturm. – Co ty wiesz o Tomaszu Słowickim? Gdzie on teraz jest? Co to za łągarstwo z tym wydawnictwem? Nie ma żadnego Retro. Nie ma i pewnie nie było.

– Tomasz Słowicki jest w Warszawie – wyjąkał Igor. – O co ci chodzi? Sama wiesz, ma tam udział w jakimś dużym przedsięwzięciu. Tu będzie pod koniec czerwca. Też wiesz, bo się z nim umówiłaś.

– Właśnie nic nie wiem – westchnęła – a chciałabym! I ty mi powiesz, Igor, bo ty go znasz lepiej.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jest Wydawnictwo Retro czy nie ma?

– Było – odpowiedział Igor ze smutkiem. – Było. Prężne i fajne. Założyło je dwóch braci z Podlasia, pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Dwóch braci Słowickich, jak się domyślasz. Prosperowało znakomicie... aż do tragedii. Janek, brat Tomasza, zaginął, jak Stasiak. A potem znaleziono jego ciało na bagnach.

– Jak Staśka – powiedziała w zamyśleniu. Igor kiwnął głową. – Właśnie. Pięć lat temu. Powiedział ci o tym, prawda?

– Tak, ale nie o Retro.

– Tomasz nie chciał sam prowadzić wydawnictwa, próbował sprzedać, ale nikt nie kupił, więc je zamknął. Oto cała historia.

– Nie cała. – Lilka zaprzeczyła żywo. – Przecież powiedział mi, że jest wydawcą. I że bym go nie szukała...

– A ty, jak ta żona Lota, nie wytrzymałaś, musiałaś się obrócić – zakpił Igor i przymknął powieki. Woj patrzył na niego z coraz większą ciekawością. – Zawsze wiedziałem, że pod tym skromnym kucykiem i drobną postacią kryje się odwaga i upór. Po co go szukałaś, skoro prosił, żeby nie?

– W związku z albumem...

– Aha, akurat. – Igor uśmiechnął się znacząco. Spotkali się oczami z Wojem, zaistniało między nimi nagłe porozumienie, ale Lilka niczego nie zauważyła. – Ja nazwałbym to całkiem inaczej. Ale powiem ci jedno: ty się w nic nie wtrącaj, nie szukaj, nie zgłaszaj. Poczekaj, jeśli Tomek Słowicki umówił się z tobą tutaj, pod koniec czerwca, to tu będzie. Na tyle go znam. A teraz ruszacie na objazd, twierdza czeka.

Lilka westchnęła, poszła do pokoju przebrać się i opłukać twarz. Igor z Wojem rozmawiali przy barze, rozmowa najwyraźniej mocno ich wciągnęła. Kiedy Igor musiał wstać, by sięgnąć do wyższej półki, Woj podparł go i chętnie pomógł zdjąć piękne stare naczynie. Śmiał się przy tym, że dawno nie widział u mężczyzny takich włosów i że powinny zostać natychmiast skrócone. O tak, pokazał: przy samej szyi, pod uszami. Fryzura „na Janosika” wyszła z mody rok temu. Igor obiecał, że zastanowi się nad tym i może, kto wie, wieczorem.

Lilka w tym czasie, nieświadoma nowej zażyłości swoich znajomych, gorzko płakała, oparta na dłoniach przed lusterkiem. Igor dał jej ten sam pokój, w którym spędziła najgorętsze, zmysłowe chwile swojego życia. Pokój, w którym kochała się z Tomaszem i było jej dobrze.

Objechali okolicę, wieże widokowe, także tę numer trzy, przy której znaleziono Staśka. Dojechali do Goniądza, potem przez most na Biebrzy do Osowca, bo Woj nie chciał ustąpić: koniecznie musiał zobaczyć bunkry i twierdzę. Do wnętrza twierdzy wprawdzie nie udało się im wejść, pani z Izby Pamięci poinformowała sennie, że tylko w sezonie twierdza otwarta jest dla turystów.

– Tam żyją teraz tylko nietoperze – dodała konfidencjonalnie – całe chmary nietoperzy. Na pani miejscu bym nie szła.

– Dlaczego? – Lilkę zdziwił ten porozumiewawczy wzrok kobiety.

– Nietoperze! Nic dobrego – upierała się kobieta. – Ja bym je powybijiała, ale są pod ochroną.

Lilka postanowiła nie protestować. Woj, ciekawy historii twierdzy, wczytywał się w tablicę informacyjną. Stała obok i przeczytała na głos: „Nigdy niezwyciężona twierdza Osowiec, wybudowana przez cara, by dopełnić linii: Łomża, Grodno”. No, no, słuchaj: „Za czasów drugiej wojny światowej wojska hitlerowskie nawet nie próbowały jej zdobyć. Rozkazem dowódcy twierdzę ominięto”. A teraz stanowi przytułek dla nietoperzy...

Woj, zachwycony i zapatrzony we wzniesienia wokół twierdzy, był dziwnie małomówny.

– Wiesz – rzekł nagle – nie przypuszczałem, że tak niedaleko od Warszawy mogą być takie niespodzianki.

– Myślałeś, że trzeba jechać do Tunezji? – zaśmiała się Lilka. – Nie trzeba. A jak opowiem ci, jakie tu mieszkają ptaki! Zajedziemy jeszcze do wioski bocianiej. Nie widziałeś jeszcze tylu gniazd w jednym miejscu, obiecuję...

A boćki są już tutaj od kwietnia, teraz bocianowe wysiadują...

Woj nie był tak zainteresowany florą i fauną terenów, jak historią i budynkami. Kupił w małym sklepiku z pamiątkami książkę pełną wspomnień i listów o wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, dostał od młodej sprzedawczynie uśmiech i darmowy folder. Lilka oglądała półki w sklepie, oprócz wspomnień nie było tu żadnych książek.

– Widzisz, jakby się przydał taki album ornitologiczny – westchnęła – każdy by kupił.

Dziewczyna zza lady popatrzyła na nią jak na wariatkę.

– Papierosy chyba – powiedziała z tutejszym zaśpiewem – żeby mi papierosy pozwolili sprzedawać, to by jeszcze co z tego było. Gdzie książki? Ludzie książek nie czytają!

– Moja byłaby do oglądania – tłumaczyła Lilka. – Zdjęcia tych terenów, ptaków, roślin.

– Jak zdjęcia, to może – rozważała dziewczyna bez przekonania – ale żeby na tych zdjęciach były takie panie jak w gazetach z modą, to może. Najlepiej – dodała, figlarnie strzelając oczami w stronę Woja – to całkiem porzobierane, zgrabne modelki.

– O, nie – jęknęła Lilka – tylko nie modelki. My jesteśmy z Warszawy i właśnie pracujemy przy sesjach mody. Proszę mi wierzyć, nic ciekawego... Właśnie od nich uciekliśmy.

Zainteresowanie dziewczyny wzrosło piorunująco. Wyprostowała się, wysunęła do przodu obfitą pierś i zalotnie spojrzała na Woja.

– A pan to jest kim? Reżyserem?

– Pan jest najlepszym w Warszawie fryzjerem – odpowiedziała wesoło Lilka. – Czasem stylistą, makijaż też robi, jak trzeba. Nie dodała litościwie, że zupełnie nie zainteresuje go jej kokietyjne falowanie biustem i biodrami, bo to nie jego menu, ale dziewczyna sama zorientowała się, że facet nie zwraca na nią uwagi. Pomyślała, że może są parą z tą dziwną ciemnowłosą kobietą z aparatem fotograficznym. Uniosła rękę do włosów i spróbowała z innej beczki:

– To co pan by mi doradził? Tutaj nie ma fachowców...

– Widać – mruknął Woj – po pierwsze, dobrze ściąć resztki trwałej i nie malować na płatyne. Żadnych pasemek. Nie kręcić. Ściąć na pazia z grzywką po brwi. Ma pani ładne, proste włosy, po co te pasemka?

Pożegnali zdumioną dziewczynę, która wyszła za nimi aż przed sklepik.

Chciała poprosić o jakąś wizytówkę, ale kiedy zobaczyła psa śpiącego na masce auta, podobnego bardziej do szarego lisa, na którego babka z aparatem krzyknęła „Borsuk!”, zabrakło jej odwagi. Mężczyzna poprawił swoją fryzurę i na odchodnym rzucił jej jeszcze:

– Tipy plastikowe zdjąć absolutnie. Schudnąć cztery kilo. I po maturze do miasta.

Lilka jednak czyniła mu wyrzuty, już w samochodzie, kiedy kołysali się znowu na dziurach Carskiej Drogi. Że niepotrzebnie dokuczał dziewczynie, w końcu nie było tak źle...

– A teraz będziesz odpowiedzialny, jeśli panna popadnie w anoreksję...

– Dziwne to miejsce – przerwał jej Woj – z jednej strony, dzikie i pełne przyrody, z drugiej – przesycone seksem po czubki tych sosen, nie?

Lilka zerknęła na niego zdziwiona. Nie czuła tej seksualności, nie tym razem. Dziewczyna za ladą była na swój sposób zmysłowa, młoda, pulchna, ale przecież Woj nie mógł mieć jej na myśli. Gdyby był tu Tomasz... Westchnęła, a Woj zrozumiał jej myśli. Poklepał ją po ramieniu.

– Nie dramatyzuj, Liliano – powiedział – wiesz dobrze, że on istnieje, a nawet, że jest w Warszawie. Ten Igor dał ci coś w rodzaju zapewnienia, że facet dotrzyma słowa. To już tylko miesiąc. Wiem, miłość niecierpliwa jest...

– Ale adresu mi nie dał. Ani telefonu. A ma na pewno!

– Widocznie nie mógł.

– Myślałam, że może da mi kontakt do tej całej Barbary ...

– Lila! Jak się uprzesz, znajdziesz Barbarę sama, w necie. Ma gabinet notarialny, tak? Ale po co? To tylko miesiąc – powtórzył uspokajająco – zrobimy wspaniały, odjazdowy Wielki Pokaz, z modelkami topless, ze skrzydłami z piór! A potem tu wrócisz.

– No, nareszcie się ożywiłeś. Taki senny łąziłeś... Miałam wrażenie, że tutejsze powietrze cię upiło, jak wino.

– Tak, coś w tym powietrzu jest – szepnął Woj – a może nie w powietrzu, ale jakaś magia. Niewątpliwie.

– Ja też czuję się tutaj lepiej. – Lilka po swojemu odczytała jego słowa. – Przeszedł mi ten upierdliwy ból głowy. Ale zmęczona jestem strasznie, zjem coś i zaraz idę spać.

Igor czekał na nich z kolacją. Przygotował kartacze, zupę w specjalnych miskach, które nazywał czaszkami, grzańca dla Lilki i zimną wódkę dla Woja. Starał się chodzić o kulach, wózek zniknął gdzieś z horyzontu. Mimo protestów

przynosił im przekąski i cydr, sam nie pił i nie jadł, słuchał ich opowieści. Uśmiechnął się, kiedy relacjonowała spotkanie w sklepiku z pamiątkami.

– I wiesz, Igor – kpiła Lilka, która trochę już czuła działanie alkoholu, a zażądała więcej – grzaniec smakował jej niebywale – gdyby tylko Woj kiwnął palcem, panna spakowałaby walizę i czmychnęłaby z nami do Warszawy. A on jej kazał ściąć resztki trwałej i schudnąć. Potwór!

– Mnie też kazał ściąć włosy. – rzekł Igor. – Może i schudnąć powinienem?

– Nie!!! – krzyknęła Lilka, nie wiadomo, czy zaprzeczając, czy dziwiąc się gromko tej, w końcu nie tak rewolucyjnej, informacji. – Serio? Mnie też chce ściąć włosy! Na boba. Ścinacz. Ciach, ciach. – Machnęła palcami przed oczyma Woja. – Ciach. Chudnąć?

– Nie, nie musisz – powiedział Woj – ale powinnaś iść spać. Trochę ci wino uderzyło do głowy.

Lilka zgodziła się z nim uprzejmie, ale oparła głowę na dłoniach i zapatrzyła się w ogień na kominku, oczy jej lśniły od blasku, wina i marzeń. Gdyby była trzeźwa lub gdyby nie krążyła uparcie myślami wokół swoich spraw, strachu i tęsknoty, zauważyłaby, że obok niej rozgrywał się nie dramat może, ale pewien spektakl. Podchody, nieme porozumienie pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy przed chwilą się poznali. Widok Woja, jego preferencje, których nie krył, obudziły w Igorze bolesne wspomnienia. Chciał zepchnąć je w najciemniejszy kąt pamięci. Od nich uciekł z miasta. Myślał, że nie dogonią go tutaj, w głuszy i samotności. Nie żeby były to złe wspomnienia, w żadnym wypadku. Do pewnego momentu nawet piękne, bo jak potem wielokrotnie słyszał od swojego terapeuty, tego specjalisty od bólu po stracie: miłość nie może być zła. Do pewnego momentu żył nadzieją, że uda się z tym żyć, zamknąć przed światem i po prostu żyć szczęśliwie. Nic z tego. Kiedy już myślisz, że jest, jak miało być, możesz po swojemu i kochać, właśnie wtedy zwykle coś się zdarza. I Igorowi zdarzyło się właśnie to coś: stracił kogoś, kogo kochał, nie przez zdradę, nie przez wypalenie uczuć, tylko przez tragiczną śmierć. Cały czas czuł się winny, nie mógł pogodzić się z tym, że kochał i że tę miłość stracił. Bliscy utwierdzali go w poczuciu winy, uznając taką miłość za grzeszną, nienormalną i szkodliwą, dlatego uciekł także od nich. Obiecał sobie, że nigdy nic podobnego się nie powtórzy. I oto musiał nadejść taki dzień. Przyjechał do jego samotni ktoś, kto obudził te wspomnienia i podobne uczucia, kto patrzył na niego z podobnym wyrazem pożądania w oczach. Kto sam przyciągał jego wzrok i budził pragnienie dotyku. Lilka spała z głową na

stole, nie widziała więc rozmowy tych dwóch mężczyzn, coraz cichszej, ich coraz bliższych gestów. Kiedy profile Woją i Igora zbliżyły się do siebie bardzo niebezpiecznie, chrapnęła głośno i bezwładną ręką potrąciła łyżkę. Dźwięk metalu uderzającego o kamienną posadzkę otrzeźwił mężczyzn. Profile odskoczyły od siebie. Woj się roześmiał.

– Coś takiego, upiła się. – Pokazał na śpiącą Lilkę. Igor swoim charakterystycznym gestem odgarnął włosy za uszy. Miał długie palce, ładne, wąskie dłonie, też się uśmiechnął, Woj nie spuszczał wzroku z tego uśmiechu. Niemal słyszał puls Igora, drżenie w jego głosie:

– To wrażliwa kobieta. Trzeba ją zaprowadzić na górę.

– Ja to zrobię. – Wstał i pociągnął Lilkę za ramiona. Mruknęła coś niezrozumiale i odpędziła go ręką. Obaj się roześmieli, śmiech stopił się w jeden zgodny, ciepły ton.

– Trzeba siłą, nie sposobem – powiedział Woj. – Ja ją zaniosę, a potem... wrócę tu i zetnę ci te włosy. Jeśli tylko chcesz.

Dźwignął Lilkę zaskakująco lekko i poniosł na schody. Za nimi powłókł się zaspany Borsuk. Igor kiwnął głową na znak zgody, popatrzył na swoje ręce. On nie pił wcale, a drżały: z pragnienia, jakiegoś lęku i przebudzonej tęsknoty. Nienawidził się za to i jednocześnie nie mógł doczekać się chwili, kiedy Woj zejdzie z tych schodów.

*

Niedzielny poranek pokazał im, jak zmienna potrafi być podlaska pogoda. Lało od rana, nagle zrobiło się zimno i ponuro. Nawet Borsuk nie kwapił się do spaceru, a Lilka zeszła na śniadanie blada, poprosiła tylko o mleko. Igor kręcił się już przy ogniu. Bił od niego jakiś blask, ale zarazem smutek.

– Dzień dobry – powiedział. – Bardzo źle?

– Nawet nie – odpowiedziała Lilka, nieco zawstydzona. – Głowa boli mnie mniej niż ostatnio w Warszawie, tylko mdli mnie na potęgę.

– To nie mleko – poradził Igor – ale tłusty rosół. Gotuję go dla ciebie od rana.

– Dawaj. Widzisz, jaka głupia jestem. A jak znalazłam się tam? – Pokazała palcem sufit. – U siebie, przykryta kołdrą i dyskretnie rozebrana tylko do majtek? Nie pamiętam.

– Woj zaniósł cię jak piórko. – Duma w głosie Igora umknęła uwadze Lilki. Przykuśtykał z kubkiem parzącego rosołu.

– I pewnie on zdjął mi buty, bo Borsuk przy całej swojej inteligencji... – przerwała nagle. – Masz inne włosy! Krótkie! Nareszcie kogoś ściał ten kat!

– Będzie wygodniej, dużo wygodniej, zwłaszcza przy kuchni. – Igor sięgnął do uszu. Wiły się pod nimi kręte, mocne i czarne jak smoła pukle, ucięte faktycznie krótko.

– Dobrze wyglądasz! – Lilka była zdumiona tym, jak nagle interesująca w nowym obramowaniu stała się twarz Igora o pięknych, pełnych żaru oczach. – Nie żałuj. Włosy odrastają.

– Nie żałuję – powiedział Igor cicho – niczego nie żałuję. Jeśli już, to siebie.

Smutku w głosie też nie zauważyła. Od schodów powoli zbliżał się Woj. Oczekiwała potężnych kpin, ale nawet nie zapytał, jak się czuje. Znow był milczący i poważny, smutny jakiś, zapatrzony w siebie. Jej podziękowania i przeprosiny zbył lekceważącym gestem.

– Ty dla odmiany powinnaś przytyć. Modelką nie jesteś. Jak znajdujesz moje dzieło? – dodał cicho, wskazując na Igora.

– Przednie. Jak ten rosół. – Lilka akurat miała ochotę na żarty, bo kac zniknął z każdym łykiem. – Masz ten talent. Idę na spacer, bo trochę to musi potrwać, zanim będę mogła prowadzić. Mimo deszczu idę. – Ziewnęła. – A ty zjedz śniadanie i szukaj graty, bo pogoda nas wygania... Zostawiła ich samych, zmieszanych, wciąż przejętych wspomnieniem nocy. Może powinni porozmawiać, może właśnie nie, ale śniadanie było ostatnią rzeczą, na jaką mieliby ochotę.

Kiedy Lilka wróciła, wszystko działo się już szybko. Niewielkie bagaże, ostatnie zdjęcia, uściski dłoni. Kiedy żegnali się z Darzborem, Igor wyjechał wózkiem przed próg, ale szybko się schował. Lilka pomyślała, że cierpi, pewnie trapi go ból nóg. Zdażył szepnąć jej tylko: „Do zobaczenia i nic nikomu nie mów o siwym, pamiętaj! Nie trzeba”. Patrzył za nimi zza kuchennej szyby, podniósł rękę na znak pożegnania.

Jechali w milczeniu, deszcz powrócił. Lilka ziewała.

– Powiedz coś – rzuciła w końcu do Woja. – Coś ty taki małomówny jak nigdy? Za Ksawerym tęsknisz? Bagna cię onieśmielają? No jak było?

– Cudownie – powiedział cicho. – Cudownie.

– No widzisz, a nic nie gadasz. – Lilka wjechała na dwupasmówkę wiodącą

do Warszawy. Trzeba z ciebie każde słowo wyciągać jak ze mnie. Fajny gość z Igora, no nie?

– Tak. No tak. – Woj popatrzył na nią z ironią w niebieskich oczach. – Ale masz rację z Ksawerym.

– Że co? – zdziwiła się Lilka.

– Nie mów, że nie zauważyłaś. Naprawdę nie wiesz, że Igor jest gejem? – zapytał cicho.

Lilka zaniemówiła. „Ależ skąd – myślała gorączkowo. – Jak to, przecież nie wygląda, przecież widziała go... Ależ tak. Teraz widziała to jak na dłoni. Te ruchy, coś w sposobie mówienia, w wyrazie oczu, które spotkały się z błyszczącymi, błękitnymi oczami Woja. Ależ tak. Jak mogła tego nie zauważyć? Czyżby oni tej nocy? Nie wolno tak myśleć, niby czemu? A jednak...”. Nie śmiała zapytać Woja, czy coś zaszło między nimi. Zrozumiała, gdy Woj nagle, wśród głuchoj ciszy powiedział:

– Nigdy, przenigdy tu nie wrócę. I ciebie błagam, zapomnij, że tu byłem.

*

Próbowała zapomnieć. Próbowała nie myśleć o wszystkim, co wiązało się z Darzborem, z łąkami, bagnami, tak jakby rzeczywiście ta przestrzeń znajdowała się nie głupie sto pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, ale gdzieś daleko, za górami, za lasami, a może nigdzie. Nie szukała Tomasza, nie poszła więcej na Krętą 3, nawet foldery ze zdjęciami pozostawiła w spokoju: zabezpieczone dodatkowo na osobnym, zewnętrznym dysku. Nie zaglądała do nich także na laptopie, gdzie zostały zamknięte w folderze „Darzbór”. Odłożyła na bok marzenia o albumie, marzenia o miłości, jeszcze przynajmniej na miesiąc, bo czas płynął szybko. Praca nad Wielkim Pokazem nabierała tempa, Lilka, oprócz swoich zwykłych zamówień, pracowała z ekipą dzień i noc. Wciąż trwały sesje i spotkania, nowe scenerie, nowi ludzie, kolejne foldery, praca absorbowwała ją bardzo, co ułatwiało odsuwanie myśli o Tomaszu i śmierci kelnera Staśka. Kiedy budziły się w niej wyrzuty sumienia, że może powinna to zgłosić policji, gasiły je słowa Igora: „Nie mów nikomu, nie trzeba”. Igor zresztą pojawiał się w jej pamięci, kiedy patrzyła na zaganianych, połączonych wspólnym przedsięwzięciem, objętych Woja i Ksawerego. Wtedy uparcie pojawiał się obraz bladego Igora na wózku, jak

podnosi na pożegnanie rękę. Próbowwała i te obrazy odgonić, odkreślała w kalendarzu dni, ale czas bynajmniej jej się nie dłużył. W ekipie było troje fotografów i wszyscy mieli co robić. Przydzielono im modelki, odpowiednie odcinki scenariusza, odległe studia, bo przygotowania i próby odbywały się w różnych punktach Warszawy. Ksawery wciąż poprawiał stroje, Woj wciąż zmieniał scenariusz, wszystko chcieli mieć udokumentowane. Zbliżała się godzina zero, czyli ich Wielki Pokaz. Dyskutowali nad miejscem imprezy. Zrezygnowali w końcu ze swojego Studia Wu i wynajęli ogromną salę w Pałacu Kultury. Odpowiedzialna za kontakty z mediami Milena chudła z dnia na dzień. Odpowiedzialna za kontakty z zagranicą Ada triumfowała: potwierdziły przyjazd takie asy z europejskiego świata mody, że gdyby wszystko się udało, gdyby ich opinie były przychylne, chłopcy byłiby ustawieni na całe życie. Zaproszenia na pokaz paryski, Mediolan, Nowy Jork. Nie chodziło tylko o pieniądze, Ksawery marzył o sławie, flesztach, wprowadzeniu nowego stylu haute couture, zwanego odtąd na całym świecie jego nazwiskiem. Woj – o mieszkaniu w Paryżu, o tym, żeby wyjechać daleko z Ksawerem, ale czasem patrzył smutno, a czasem, gdy spotkał się wzrokiem z Lilką, uciekał od jej spojrzenia. Klócili się i godzili: Ksawery, wiecznie niezadowolony perfekcjonista, krzyczał na ekipę i potrafił rzucić w modelkę butem. Woj był przy nim, wysłuchiwał, podawał wodę, czesał, ciął, koloryzował, lakierował. Lilka zadowolona, że dotrzymali słowa i nie zaprosili do ekipy jej byłego męża, dzielnie ich wspierała. Dużo pracowała z rudowłosą Marianną, która przypadła jej w udziale do dokumentacji pracy modelek, a także do przygotowania stron w katalogu pokazu i billboardów. Marianna była świetną modelką. Kilkoma pociągnięciami pędzelka makijażystka zmieniała ją z Ani z Zielonego Wzgórza w wyuzdaną wiedźmę, kilkoma miękkimi pociągnięciami gąbki zmywającej makijaż nadawała jej twarzy wyraz słodkiej dziewiętnastowiecznej guwernantki. Marianna umiała się poruszać przed obiektywem, kamera ją uwielbiała, kamerzyści także. Nie obawiała się gestów i póz wyzywających, pokazywała ciało, wypinała pośladki, rozsuwała kolana. Chroniła jedynie piersi, zgadzała się na ich nagość tylko pod osłoną woalu lub swoich pysznych rudych włosów. Woj wyprawiał cuda z jej lokami i były to chyba jedyne włosy, których nie chciał ścinać. Lilka chodziła za nią jak cień, fotografowała, odpowiadała na jej pytania. Tak jak nabrała pewności, że Marianna musiała być wykwalifikowaną modelką, tak pewność, że to ją widziała w okienku Domu Dróżnika, traciła.

Nie nawiązała ponownie do tamtej rozmowy, a Marianna szeroko rozwodziła się nad podróżami po całym świecie, lecz o Podlasiu nie wspominała. Nie kręcił się koło niej żaden mężczyzna, co tłumaczono tajemniczym, bogatym biznesmenem, który hojnie zasponsorował Wielki Pokaz, ale zafundował duetowi Wu Mariannę. Nie żalowali. Szybko wyrosła na pierwszą modelkę pokazu i wiadomo było, że to ona będzie popisowo kończyć widowisko w sukni ślubnej, a potem pod rękę z Ksawerym zbierać owacje. Lilka podzielała zachwyty Marianną, spędzały razem sporo czasu, polubiła zielony koktajl Aloe, specjalność modelki, ale nie rozmawiały wiele. Może wynikało to z faktu, że Lilka była małomówna, zapracowana, zamyślona, a w dodatku znów dokuczały jej bóle głowy. Mdłości minęły, za to upiorne sny i duszności nie pozwalały jej wypocząć po wykańczających sesjach. Woj wysyłał ją do lekarza, ale Lilka nie znosiła przychodni, zapachu korytarzy i gabinetów lekarskich, uczepliła się zatem starej dewizy: może przejdzie. Woj nie miał czasu, by jej dopilnować, za to Marianna zauważyła pewnego dnia, jak blada i zmęczona jest Lilka Gajewska. Podała jej jakiś lek, po którym rzeczywiście nowy duch wstąpił w Lilkę, ale Marianna zawołała taksówkę i sama, osobiście odwiozła ją do domu. Nie słuchając protestów, weszła z nią do mieszkania, pomogła jak dziecku zdjąć ciuchy i położyła Lilkę do łóżka, a nawet spróbowała pogłaskać Borsuka, który patrzył na nią nieufnie.

– Musisz się wyspać, bo wsiądziesz przed samym pokazem i zostawisz chłopaków na lodzie – powiedziała spokojnie i życzliwie, jak najlepsza przyjaciółka. – Widziałam już takie numery. To będzie mój trzydziesty pokaz. – Po raz pierwszy wspominała o swojej przeszłości. – Podam ci proszek nasenny, pachnie landrynkami. Wyśpij się porządnie, choćbyś miała spać dobę. Ma kto wyprowadzić psa?

Lilka zapadała w sen, kiwnęła głową, bo ostatnio, przy tej ilości godzin spędzanych w studiu, zatrudniła poleconą przez Mariannę studentkę Alę do sprzątania, zakupów i spacerów z Borsukiem. Ala miała klucze, Marianna mogła po prostu zatrzaskać drzwi. Tak też uczyniła, Lilce zdawało się tylko, że przed wyjściem powiedziała: ładne mieszkanko, pochyliła się nad odpływającą w sen Lilką, okryła jej nagie ciało i musnęła ją lekko po policzkach. Zdawało się Lilce, że miękkie dłonie Marianny z policzków przesunęły się na szyję, a potem wsunęły się pod kołdrę, by pozostać chwilę na jej piersiach, ciepłe, rozgrzewające mocno, pieszczotliwe przez parę sekund, ale równie dobrze mogła to być senna wizja.

Spała faktycznie prawie dobrą. Postanowiła zapytać Mariannę, co za specyfik jej podała, bo obudziła się w znakomitej formie: ani śladu bólu głowy, ani duszności, w dodatku czuła wyraźny przypływ sił. Jedyne śladem był po Ali: ciemne bułeczki na stole, ser, owsianka i zadowolony, spokojny, a więc wyprowadzony już Borsuk. Niewiele pamiętała, ale zarumieniła się na wspomnienie lekkiej pieszczoty na swojej piersi. Czyżby Marianna lubiła kobiety? Niemożliwe, miała przecież tego sponsora, Krezusa, chociaż Lilka słyszała nieraz o tym, że utrzymanki brutalnych bogaczy uciekły od nich w delikatne ramiona kobiet. Marianna jednakże nie pasowała jej do tego wizerunku. „A może to ja sama mam już zawirowanie w głowie i ciele – pomyślała – i po tych rozbieranych setach na sesji snują mi się po głowie podobne sny?”. Wspomnienie rozkoszy z Tomaszem pozbawiło ją jednak obaw. Pragnęła go, po tych zmysłowych przywidzeniach pragnęła go bardziej niż kiedykolwiek. Westchnęła, wstała i skreśliła w kalendarzu następny dzień. Z apetytem zjadła śniadanie. Cokolwiek dała jej Marianna, Lilka musiała dostać od niej więcej tego leku. Biegła do pracy lekka jak sójka, w swoim codziennym liliowym sweterku narzuconym na gołe ciało, w wygodnych dżinsach, z zamiarem wypytania o wszystko, co się da, tej rudej, niejednoznacznej kobiety. W Studiu Wu panowała jednak atmosfera grozy.

– Za trzy dni pokaz. Nasz Wielki Pokaz – powiedział głucho Ksawery, jakby oznajmiał jej o pogrzebie. – Wszystko gotowe, tiule, modelki, choreo i muza. Goście z zagranicy meldują się w hotelach. Mamy telewizję. Tylko brakuje nam jednego: gwiazdy wieczoru. Marianna zniknęła. Nie ma jej na próbach, nie odbiera telefonu i nikt nie wie, gdzie ona mieszka. Jak kamfora, kamień w wodę i tak dalej.

Lilka jak stała, tak usiadła na ziemi.

*

Kłopot był niemały. Wprawdzie prób odbyło się mnóstwo, modelek mieli kilkanaście i były takie, które całkiem nieźle mogły zastąpić Mariannę, ale wszyscy czuli, że to już nie będzie to samo. Poza tym Marianna widniała na wszystkich zdjęciach do folderów, na plakatach i na billboardach. Rozwiana ruda fala włosów, mleczone zęby, roześmiane orzechowe oczy zapraszały na Wielki Pokaz najnowszych trendów kreowanych przez tym razem polskiego

mistrza, w sobotę o dziewiętnastej w Sali Kryształowej Pałacu Kultury i Nauki, na siódmym piętrze. Za nią twarze innych modelek, także w uśmiechach, to zdjęcie akurat robiła Lilka. Teraz wzięła udział w poszukiwaniach i naradach. „A może powiedziec Wojowi o zdjęciu Domu Dróżnika z Marianną w oknie – myślała. Ale po co? Nie było żadnych przesłanek, że mogła tam się ukryć. Dzwonić do Igora, z prośbą o sprawdzenie? To chyba ostatnie, czego chciałby Woj. I tak kłócili się ostatnio z Ksawerym o wszystko, a zwłaszcza o kobiety, które Ksawery adorował na oczach kochanka, całował i przytulał, twierdząc, że tego potrzebują. Gdyby wiedział o Igorze... nie, nie mogła ich zdradzić”. Wróciła do siebie, postanowiła odnaleźć w laptopie zdjęcia Domu Dróżnika i rudej kobiety w małym oknie, obejrzeć je jeszcze raz, zanim cokolwiek komukolwiek opowie. W mieszkaniu panował bałagan. Pokój wyglądał jak po rewizji: poprzesztawiane książki na półkach, wyrzucone z szafy ubrania. „Dziwne, nic nie zginęło – myślała – a jednak jakby ktoś tu myszkował”. Otworzyła laptop. To było jeszcze dziwniejsze: nie mogła znaleźć folderu „Darzbór”. Nie było w ogóle żadnych zdjęć z wyprawy na Podlasie. Krzyknęła, przeczesła dyski, kosz, pulpit. Zniknął cały zbiór: ptaki, Tomasz, szajka w chacie i oczywiście Dom Dróżnika. Lilka poczuła znajomy skurcz w brzuchu i ból w głowie. Rzuciła się do schowka w kuchni, gdzie zamiast słoików trzymała zewnętrzny dysk, a na nim kopie. Odpaliła i odetchnęła. Tutaj były, nienaruszone. Wszystkie na swoim miejscu, cały „Darzbór”. Czyżby skasowała je sama z laptopa? Kręciło się jej w głowie, kiedy przegrywała je znowu na laptop i na przenośny USB. „Na wszelki wypadek prześlę je jeszcze sobie transferem...” – pomyślała. Zbliżyła zdjęcie okna... to jednak była Marianna. Z pewnością ona. A gdzież przebywała teraz? I w ogóle co tu się działo?

Próba generalna miała odbyć się w sobotę o dwunastej. Zebrali się od rana w Sali Kryształowej, wszyscy w minorowych nastrojach. Plan B został uruchomiony. Zastępstwo Marianny przypadło w udziale modelce Anicie, drugiej sile pokazu, lekko zmieniono scenariusz, panował chłód i rozczarowanie. Brakowało im tego zapachu, magii, poczucia wspólnej, znakomitej energii, fali, na której surfowali razem przez tygodnie przygotowań. Niemniej byli profesjonalistami, brak jednej osoby nie rozwała takiego przedsięwzięcia, nawet jeśli to osoba kluczowa. Ksawery i Woj sprawdzali stan mikrofonów, krzesła widowni już piętrzyły się po brzegi sali. Modelki

przebierały się w garderobie, a strój numer jeden, czyli kostium Marianny, przymierzała Anita, przepiękna kobieta, ale typowa, bez tej szczególnej oryginalności rudowłosej modelki. Muzyka płynęła już z megafonów. Ksawery stanął z kubkiem kawy koło reżysera. Reżyser czekał na sygnał i już podnosił rękę, by dać znak do startu próby generalnej.

– No to lecimy z tym koksem, proszę państwa – miał zakrzyknąć, lecz okrzyk zamarł mu na ustach, a ręka pozostała wzniesiona. Muzyka w megafonach zgasła. Od strony drzwi, jak królowa, w zielonej pelerynie, z lekkim uśmiechem płynęła ku nim Marianna we własnej osobie. Ksawery wypuścił kubek z rąk. Nikt z ekipy sprzątającej się nie poruszył. Marianna głośno roześmiała się w tej ciszy i pocałowała Ksawerego. Nie w policzek, w usta.

– Kawa Jacobs, grubo zmielona – powiedziała. – Co tak stoicie? Chyba nie sądziliście, że zostawię was samych przed godziną zero?

Po sekundach letargu, jakby ktoś zaczarował ich i zatrzymał wszelki ruch, nastał chaos i harmider. Wszyscy rzucili się ku Mariannie, Ksawery chciał złapać ją za ramiona, potrząsnąć, ale zatrzymała go na odległość ramienia.

– Do roboty, szybko – rzuciła mocnym głosem. – Wyjaśnię potem, po pokazie. Teraz ruchy! Anita, oddawaj numer jeden.

Podjęli wyzwanie, być może napięcie i zawód, rozładowane teraz jej nagłym pojawieniem się, dodało im sił. Muzyka brzmiała mocniej, modelki wyglądały jeszcze piękniej, wychodziły na podium w kolejnych odsłonach. Marianna zawsze na końcu, tym szczególnym, trudnym do naśladowania krokiem wytrawnej modelki.

– Ta kobieta po prostu czaruje – szepnął Woj Lilce do ucha, ale ta już była w drugim końcu sali, goniąc za numerem jeden. Marianna mrugnęła do niej okiem, obracając się na wybiegu, przed jej obiektywem zdążyła zapytać: „Jak się czujesz?”, ale odpowiedzi już nie słyszała, bo wymieniała się szarfą z następną modelką.

Nie zauważyli upływu czasu, a próba zamieniła się w prawdziwy Wielki Pokaz. Sala napełniła się ludźmi, światła tworzyły cienie i kolorowe blaski. Goście na widowni mogli zaimponować renomowanym imprezom. Woj, który nie miał już nic do zrobienia, siedział z makijażystami i obserwował swoje fryzjerskie arcydzieła, a także ludzi. Rozpoznawał niektóre twarze, a jeszcze bardziej fryzury, znał je z mediów. Wiedział, że Ksaweremu nade wszystko zależy na opinii siwej kobiety w kapelusiku, sztywnym kołnierzyku i skórzanej

kurtce, kobiety, która patrzyła na wszystko przymrużonymi oczami, paliła elektronicznego papierosa na cieniutkiej długiej lufce. Kaskada Gunter, Berlin. Obok niej opalony, lecz nie nadmiernie, młody blond przystojniak, w ubraniu niby najzwyczajszym, ale skrojonym z najlepszych materiałów i tylko dla niego. Koszula ze stójką, jasna marynarka z dziwnymi kieszeniami z tyłu. Pol Ratamoni Junior, Mediolan. Woj westchnął, bo włosom juniora podgolonym z jednej strony głowy, a spadającym obfitą falą z drugiej nie mógł nic zarzucić. Po wybiegu, po zielonym dywanie szła powoli, kołysząc z wdziękiem biodrami, Marianna. Przemierzała wybieg po raz drugi, spokojnie, zatrzymując się, obracając, wysuwając nogę w pantofelkach baletnicy, ale zasznurowanych aż po same uda. To była kreacja numer dwa, sezon letni i klimaty natury, plaże, koktajle w ogrodach, wycieczki w ciepłe kraje. Marianna prezentowała lniany płaszcz z lekkim trenem z tyłu. Kiedy zrzuciła go na ramię, uniosła nad głowę i stanęła jak tancerka na palcach, po widowni przebiegł szmer zachwytu. Spódnica inspirowana *Nenufarami* Moneta okazała się nagle spodniami. Zaskoczenie było ostatnim pomysłem Ksawerego, modelka mogła unieść nogę wysoko w piruecie i widownia dojrzała, że jest to zarazem kombinezon z lekkiej materii, pokazuje wszystko i nie pokazuje nic. Ksawery zaciskał dłonie do bólu, teraz jeszcze dwie kolekcje: jesienny spacer i miejska feeria barw, a potem zwyczajowo suknie ślubne. I na koniec on sam, kreator, za rękę z Marianną w najpiękniejszym przeobrażeniu rudej panny młodej, wbiega lekko na podium. Zgodnie ze zwyczajem i przesądami modelingu, tej sukni nie widział nikt poza modelką i krawcami. Ksawerego zjadał stres, ale wszystko przebiegało doskonale. Wyglądało na to, że kolekcja zyskuje aprobatę, Kaskada z Berlina kiwała głową z uznaniem, muzyka płynęła bez zakłóceń, dostrzegł na widowni twarze znane z pierwszych stron gazet. One z kolei przyciągnęły kamery i stacje telewizyjne. „Będzie szum” – pomyślał z przyjemnością. Widownia nagrodziła gromkim brawem rozproszone po wybiegu modelki prezentujące pomysłowe kombinezony podróżne. Wyglądały jak stado barwnych kacząt, jeżeli kaczęta mają kraciaste walizki bagażu podręcznego, szelki do spódnic i bluzki z sieci rybackiej: znów materia odsłaniająca piersi i pępki, ale tak migotliwie i zwiewnie, że ciało tylko chwilami połyskiwało, budziło zmysły i umykało przed ciekawskim wzrokiem. Brawa brzmiały w uszach Ksawerego jak fanfary. Przypomniał sobie, że inspiracje rybackie podpowiedziała Marianna. Przebierała się już w tajemnej garderobie w ostatnią suknię, ślubną. Ksawery przebiegł wzrokiem po sali, nie

mógł dostrzec miejsca, w którym siedział jej sponsor, a przecież był tu na pewno. Zaciemniona loża, wykupiona za specjalną dopłatę? Pewnie tam, na stanowisku, którego nikt nie widzi, a z którego widać wszystko. Słyszał już muzykę zapowiadającą kolekcję ślubną. Modelki wychodziły kolejno, miały na sobie nie tylko stroje, lecz marzenia: o nocy poślubnej, o komplementach, o pożądaniu i spełnieniu, tak to zaprojektował. Kreacja Marianny miała być kulminacją tych marzeń i przyznawał, że patrząc na przymiarki, doznawał uczuć zaskakujących dla samego siebie. Był gejem, wołał mężczyzn, odkąd dojrzał, dobrze mu było z Wojem, w ich świecie nie stanowili żadnego dziwactwa. Tymczasem, kiedy projektował Mariannie suknie i podwiązki, chyba dla prawdziwego artyzmu musiał znaleźć w sobie zachwyty mężczyzny kobietą. I znalazł. Przez ostatnie próby, kiedy pracował z Marianną, mierzyl, dotykał, pragnął jej. Podniecała go coraz bardziej, chciał wdrzeć się w tę pulsującą kobiecość i spróbować jej, posiąść w garderobie, na ziemi, gdziekolwiek. Nie poznawał siebie, wyróżniał Mariannę spośród modelek. Kiedy zniknęła, zniechęcił ją, kiedy wróciła, zrozumiał, że ją po swojemu kocha. Woj? Nie odpłynął w dal. Kochał dziwnym zrzędzeniem losu oboje. Ksawery pomyślał, że powie jej to po pokazie bez względu na to, czy sponsor siedzi tam w górnych rzędach krzeseł, czy nie. Nagle zapadła cisza, niezwykła jak na tak tłumne wydarzenie. Ksawery zrozumiał i usłyszał bicie swojego serca. Przez wybieg szła ostatnia panna młoda. Marianna. Była uosobieniem marzeń o nocy poślubnej, o intymnym spotkaniu dwojga ludzi, którzy chcą woalem welonu odgradzić się od świata, ale chcą też ten woal wyrzucić z sypialni i zastąpić jedynym pasującym do takiej chwili strojem: nagością ciała. Dlatego jedyną suknię ślubną Marianny stanowił jej welon. Welon z trzech warstw, spływający z przepaski na włosach. Warstwy jak trzy kurtyny okrywały w swoim kokonie pannę młodą. Najbliższa ciału sięgała bosych stóp, była gęsta od koronki, lecz nie tak gęsta, by ukryć kształt ciała, zapięta z tyłu na milion sprzączek od pięt po łopatki. Wierzchnia kończyła się na wysokości bioder jak peleryna i jak włosy Marianny. Najkrótsza, zewnętrzna, okrywała twarz, ramiona, piersi. Ksawery pragnął brzegiem tych warstw podkreślić najważniejsze strefy kobiecości. Kiedy u szczytu wybiegu Marianna zrzuciła welon najkrótszy, śmiało obnażyła twarz, ale piersi i biodra wciąż pozostawały pod osłoną włosów, tak jak chciała. Widownia zaszumiała, lecz milczała nadal, bo ciekawi byli wszyscy, czy modelka rzeczywiście jest całkiem naga pod białym tiulem, koronkami, sprzączkami i kokardami,

pozostawionymi do pokonania narzeczonemu. Zrzuciła drugą warstwę, ale gęste włosy, zwielokrotnione przez Woja specjalnymi piankami, umocowane lakierem, jak płaszcz zasłaniały nadal tułów Marianny. Była bardzo piękna. Biało-ruda, obiecująca, połyskliwa. Obróciła się dookoła, ukazała, że włosy ściągnięte na przód postaci nie ukrywały nagich pod welonem pleców i pośladków. Wyciągnęła ręce do patrzących i otrzymała owacje na stojąco. Lilka fotografowała to wszystko jak w jakimś transie, omamie, rzucała się od wybiegu do widowni, utrzymywała drobne stopy i piękne buty modelek, twarze widzów, Mariannę w bieli, prawie nagą, a jednak wciąż oplataną w welon jak w kokon. Ostatnią scenę, bo teraz wchodziły na wybieg wszystkie modelki, kłaniały się i odchodziły. Jako ostatnia para projektant Ksawery z Marianną. Brawa zagłuszały muzykę. Na środku sceny Ksawery dowiódł swego mistrzostwa raz jeszcze: wystarczyło jedno pociągnięcie ukrytego suwaka, by suknia-welon opadła z modelki, sprzączki, zapinki i kokardy były tylko ozdobnym blefem. Stała obok niego, naga, okryta tylko falą włosów, jak biblijna Ewa na starych obrazach. Widownia oszalała. Marianna rozsyłała pocałunki, okazało się, że ma jednak cieniutką bieliznę. Ksawery kłaniał się nisko, po czym uściskał modelkę, złożył na jej twarzy urzędowy pocałunek, porwał na ręce i wyniósł ją jak brankę ze sceny.

Lilka zdążyła pomyśleć: „Jak wiking Irlandkę” i obróciła się, by fotografować stojących, bijących brawo gości. Mignęła jej w kącie twarz Arta, nie zwróciła na niego uwagi. Widziała rozbawioną Milę Marco, pewnego polityka i znanych dziennikarzy. Światło odsłoniło nagle zaciemnioną dotąd łożę. Lilka skierowała tam obiektyw i zastygła w zdumieniu. W łoży stał i bił brawo Tomasz Słowicki. Obok niego, nieco w cieniu, a jednak rozpoznawalny, Witold Jamroz. Lilka nie słyszała już, że Ksawery z Marianną wychodzą po raz drugi, teraz w zwykłych swoich strojach, roześmiani, objęci, nie słyszała szeptu Woja, który znalazł się obok niej: sukces, sukces! Patrzyła w jeden punkt, ale światło w łoży zgasło, a oni nagle zniknęli.

Wiedziała, że właśnie tam miał siedzieć sponsor Marianny. Czy był nim któryś z tych dwóch mężczyzn? Jej kochanek jak marzenie: Tomasz? Czy jej prześladowca Jamroz? Czemu stali razem? Przed oczami zamigotały jej ciemne płatki, poczuła znowu mdłości, wybiegła do łazienki modelek. Była pusta, otwarte okno wystarczyło, by płatki zniknęły. Lilka nabrała oddechu, usiadła w kącie, by dojść do siebie. Następowala teraz nieoficjalna część pokazu: bankiet, rozmowy, szwedzki stół z najlepszym żarciem, szampan, inne

alkohole, używki. Teraz goście i twórcy będą się ku sobie zbliżać prywatnie, poznawać, flirtować. Ona, Lilka, nadal była w pracy, obiecała Ksaweremu, że przygotuje materiał z części nieoficjalnej. Dyskretny reportaż do materiałów prasowych i kroniki, nie do sprzedaży na plotkarskie portale, tym zajmą się inni, pewnie jej były mąż po to tu krąży. Musiała zebrać siły, uświadomiła sobie, że nic nie jadła od śniadania, mimo obowiązków musi dotrzeć do gorących dań, które już serwują kelnerzy przy termosach. Podniosła się z ziemi i oparła przy lustrze. Do łazienki weszła Marianna. Nie zmęczona wcale, wciąż z błyskiem w oczach, przebrana w wieczorową suknię, zieloną, połyskliwą, w rękawiczkach po łokcie.

– Tak myślałam, że tu jesteś. – Podeszła do lustra i poprawiała szminkę na ustach. Włosy teraz miała spięte wysoko, by nie zakrywały szyi i ramion. – Jak się czujesz?

– Słabo – odpowiedziała Lilka, stając obok. – Za dużo stresu, duszno, nie jadłam od rana.

Marianna pokiwała głową ze zrozumieniem. Dwie twarze odbite w lustrze różniły się od siebie. Klasyczna, piękna głowa Marianny, jej orzechowe oczy i świeżo pomalowane karminem usta wyglądały jeszcze atrakcyjniej przy bladej cerze Lilki, sińcach pod oczami, gładko szesanych w kucyk włosach. Ciemne brwi i włosy podkreślały bladość. Marianna zerknęła na nią i pomyślała: „Meszek nad ustami dodaje jej lat”. Lilka zerknęła na Mariannę i pomyślała: „A jednak ten wydatny nos psuje jej profil”. Zrobiło się jej trochę żal i wstyd, że nie umalowała się przed imprezą, Woj mógł ją przecież uczesać. I ten fioletowy sweterek.

Marianna odgadła jej myśli.

– Potrzebujesz tego. Dają kopa. – Wyjęła z torebki tabletki. Lilka, nie pytając, szybko połknęła dwie i popiła kranówką. – I tego – Marianna podała jej szminkę. Lilka pomalowała swoje duże usta. Wyglądała teraz dziwnie, oczy zaczęły błyszczeć, tętno przyspieszyło, usta przyciągały wzrok.

– I moim zdaniem potrzebujesz jeszcze tego. – Marianna obróciła ku sobie twarz Lilki, objęła ją i pocałowała świeżo pomalowane usta. Delikatnie, potem mocno, agresywnie, dwa kolory szminek pomieszały się ze sobą. Lilka cofnęła się gwałtownie.

– Ktoś może wejść – szepnęła, bo tylko to przyszło jej do głowy.

– No to co? – powiedziała Marianna, poprawiając makijaż. Nie zwracała już uwagi na Lilkę, wyciągnęła kosmyk włosów na twarz, przypudrowała nos,

mrugnęła do niej okiem.

– Naprawdę tego potrzebujesz – powtórzyła. – Może nie? Podobało ci się i żałujesz trochę, że musimy tam wracać, co?

Lilka nie była pewna, czy to prawda. Tabletki czy zachowanie Marianny rozbudziło w niej dziwne podniecenie, ale raczej chciała stąd wyjść. Czuła energię do pracy, za to zupełnie zniknął głód. Czy ta ruda kobieta w zielonej sukni była szamanką?

– Ściągaj ten świętojebny sweterek – powiedziała Marianna. – Nie możesz iść tak na bankiet, ale... wystarczy, że nałożysz to. Z czeluści torebki wyjęła mały woreczek, z niego kawałek materiału, miękki, złoty, mieszczący się w dwóch dłoniach. Rozwinęła, strzepnęła, materia okazała się ażurową, mieniącą się złotem bluzeczką z zabudowanym dekoltem, za to z odkrytymi plecami. Kończyła się na kości ogonowej. – No już, no już, bo sama ściągnę to z ciebie.

W dużym lustrze błysnęły nagie piersi Lilki, kształtne, ciemne, niepotrzebujące stanika. Marianna nie powstrzymała oczu, omiotła je wzrokiem i uśmiechnęła się. Teraz już pod materia bluzki, niby ukryte, ale widoczne przez ażur, były jeszcze bardziej kuszące. Złoto do dzinsów wyglądało całkiem dobrze.

– Posłuchaj – powiedziała jeszcze raz Marianna – tam na górze zaczyna się targ niewolników, wymiana handlowa wizytówek i dwuznacznych dotknięć, spojrzeń, kipią zmysły. Każdy wyjdzie dziś stamtąd z kimś... ja też. O, nie. – Machnęła ręką, widząc pytające oczy Lili. – Wyjdę z mężczyzną. – Dotknęła piersi Lili przez bluzkę. – A to był tylko taki żart. Lubię ładne rzeczy... lubię zaskoczenia. Ale ty też kogoś poszukaj. Czujesz się lepiej, prawda?

O tak, czuła się znakomicie. Czuła się odważna, perwersyjna, zdolna do przygód. Nabrzmiała podnieceniem. Czuła dotyk i ciepło tych rąk. Gdyby Marianna pocałowała ją teraz... oddałaby pocałunek. Ale modelka zbierała się do wyjścia.

– Gdzie ty byłaś? Gdzie zniknęłaś? – zapytała jeszcze Lilka.

Marianna odwróciła się od drzwi.

– A tego nie potrzebujesz wiedzieć. Ty ani Ksawery... Nigdy się nie tłumaczę, pamiętaj. Najważniejsze, że wróciłam na czas, prawda? – Znów wskazała na drzwi. – Mamy tam obowiązki, no chodź, wzięła ją za rękę i pociągnęła na schody.

Lilka ruszyła żwawo, dobrze wiedziała, kogo chce znaleźć. Zanurzyły się

w tłum falujących gości, w muzykę, w gwar rozmów. Marianna puściła dłoń Lilki i zniknęła wśród tańczących. Lilka dostrzegła Ksawerego z Wojem, trzymali się za ręce i przemykali od grupki do grupki ludzi, rozmawiali, objęci przyjmowali gratulacje, święcili triumfy. Nie kryli się z miłością, Ksawery od czasu do czasu całował Woja, oszołomiony sukcesem, podniecony proszkami, z tkliwym uczuciem patrzył w oczy kochanka. Nie byli tu jedyną taką parą, mężczyźni i kobiety poddawali się atmosferze miejsca, obejmowali się, dwie modelki całowały się w tańcu. Marianna miała rację: w powietrzu unosił się zapach alkoholu, perfum i jakby zgęstniałej seksualności. Lilka poczuła na sobie wzrok jakiegoś nieznanego, wbijał oczy w złotą bluzkę, uśmiechał się zachęcająco. „Czemu nie?” – pomyślała. Piękna twarz Mili Marco przypomniawszy jej jednak o pracy. Umknęła i z zapalem zaczęła fotografować, zupełnie zapomniała o jedzeniu, rozglądała się, szukając jednego tylko człowieka. Nie było go. Jamroza, jego siwizny i bezczelnej gęby też nigdzie nie było. Mogła zapytać o niego Mariannę. Nie musiała. Nagle błysnęła jej na parkiecie para wzbudzająca ogólne zainteresowanie i podziw. Marianna tańczyła lekko w ramionach siwego, postawnego mężczyzny, ten zaś trzymał ją jak swoją własność, dumny, władczy i irytujący. Dla przypieczętowania swojej mocy pocałował ją długim pocałunkiem, w jakiś dziwny, nieprzyzwoity sposób. Marianna słaniała się w jego ramionach. Czyżby jednak tyle wypięła? On też nie był trzeźwy, ale wszystko kontrolował. Lilka bezczelnie podeszła jak najbliżej i zrobiła im serię zdjęć. Obrócił ku niej wściekłą twarz, ale teraz Marianna przyssała się do niego, a Lilka znikła, przedzierała się przez tłum, szukając Tomasza. Nigdzie go jednak nie było. Zajrzała do sekcji restauracyjnej, półmiski i termosy wyglądały, jakby przebiegła po nich chmara szarańczy. Gdzieś tam przewracała się jeszcze po tacy zlekceważona oliwka, resztki ziemniaka, lecz po łososiach w sosach alpejskich, sztukach mięsa w liściach berberysu pozostał tylko zaschły sos. Lilka nadal nie czuła głodu. Kelner zapytał, czy chce kawy. Wzięła filiżankę. Zauważyła, że towarzystwo mocno się przeredziło, niedobitki kiwały się chwiejnie na scenie, ktoś perorował przy stoliku otoczony grupką dyskutantów, obsługa wyraźnie miała dość gości i pragnęła, by wszyscy wynieśli się do diabła, a przynajmniej do swoich domów. Lilka nie знаła nikogo z tych ludzi. Żaden mężczyzna nie był Tomaszem, żadna kobieta Marianną. Gdzie się podzieli? Marianna zapewne zaspokajała swojego sponsora, którym ku jej zdziwieniu, ale i uldze okazał się Witold Jamroz. Naprawdę? Przykro zrobiło się jej na

myśl, że siwy sybaryta w tej chwili syci się pięknem tej kobiety. „Nikt stąd nie wychodzi sam” – powiedziała. Pewnie Woj i Ksawery świętowali teraz sukces w swoich objęciach. Wszystko jednak wskazywało na to, że Lilka wyjdzie sama. Jeszcze przysiadła na pustej widowni, na dywanie przewracała się smętna falbana z sukni ślubnej. Lilka trąciła ją czubkiem buta i poczuła, że jest wykończona. Nad ranem opadła z niej wszelka moc, siły odplynęły. Siedziała zbyt bezwładna, by zawołać taksówkę.

– Odwiozę cię. – Usłyszała znajomy głos. – Mam auto, jestem trzeźwy i znudziła mnie ta blond lalka.

Lilka roześmiała się tępo. Chciała znaleźć się w domu, rozpoznawała uporczywe stukanie w głowie, takie zapowiadało mocny ból.

– Głupia była? – zapytała drwiąco.

– Strasznie – odpowiedział Art, jej były mąż – nawet w seksie nie była dobra. Popiskiwała jak mysz i kręciła się, jakby robiła kogel-mogel. Niepotrzebnie byłaś zazdrosna o takie panienki.

Lilka pokręciła głową.

– Kiedyś nabawisz się HIV-a, Art. Nie chcę przy tym być. Jestem taka zmęczona. Odwieź mnie, jak masz czym.

Jeździł wciąż jeszcze tym samochodem, który kupili po roku małżeństwa. Zapach i znajome wnętrze obudziło w Lilce te dobre wspomnienia. W tym samochodzie też się kiedyś kochali i myślała, że jest wyjątkową szczęściarą, że jej akurat udało się cudowne małżeństwo i tak będzie aż do śmierci. Nie było nawet przez dekadę. Westchnęła, patrzyła na miasto o świcie. Art zachowywał się poprawnie, cicho prowadził, cicho zaparkował pod jej blokiem, ale tu zatrzymał ją na chwilę.

– Nie zaprosisz mnie do siebie – stwierdził raczej, niż zapytał. Położył rękę na nodze Lilki, zagrał palcami na wewnętrznej stronie uda i zaczął wędrować nimi w górę.

– Lalka musiała być beznadziejna – parsknęła Lilka. – Nie, nie zaproszę cię, Art. Zabierz te łapy.

– Już zabieram – powiedział, ale pochylił się i ustami przywarł do jej ucha.

– Przestań. – Lilka wyrwała się, zła na niego i na siebie za dreszcz na skórze. – Nie pamiętasz? Już nie pamiętasz, jaka byłam nudna i beznadziejna? Drewniana lady?

– Ja tak mówiłem? – Odsunął się zdziwiony i rozbawiony. – Naprawdę?

– Naprawdę. – Lilka drżała ze zmęczenia i oburzenia. – Nie udawaj. Wynoś

się. Ja idę.

– Idiotka – powiedział tonem, który znała doskonale. Odmowa podniecała go jeszcze bardziej. Zapragnął nagle numerku z byłą żoną, gdyby się trochę opierała, byłoby jeszcze zabawniej. – Lila, co ty? No chodź tutaj, zrobimy to tylko raz, jak dawniej... Chyba że zechcesz więcej.

Napierał na nią coraz mocniej, zaczynał używać siły. Lilka odpychała jego ręce, sapnęła tylko: „Wcale nie chcę”, ale czuła, że to podnieca go jeszcze bardziej.

– Drewniana lady – syknęła i ugryzła go mocno, do krwi, boleśnie przy brwi. Krzyknął i wypuścił ją z objęć.

– Nie przyszło ci do głowy, że powiedziałem tak tylko z zemsty? Żeby ci dokopać?

Nie chciała tego słuchać. Wskoczyła z auta, trzasnęła drzwiami. Ponura satysfakcja mieszała się z narastającym bólem głowy. A przecież nazajutrz wieczorem mieli spotkać się całą ekipą, omówić pokaz. To nie nazajutrz, tylko dziś, uświadomiła sobie. I jeszcze jedną rzecz: w torebce miała dwie cudowne tabletki od Marianny. Wiedziała już, że pobudzają, położyła więc je sobie przy łóżku i nastawiła budzik. Zapadła w krótki sen, od razu po przebudzeniu sięgnęła po jedną z tabletek. Pięć minut – i energia powróciła. Wykąpała się, śpiewając i pieścizotliwie adorując ciało gąbkami i balsamami, potem pobiegła z Borsukiem nad Wisłę, rzucała mu kije i po prostu miała chęć na życie. Z radością myślała o spotkaniu z ekipą. Ból głowy minął jak zaczarowany i kiedy szykowała się na wieczór w Studiu Wu, była pewna, że los spotka ją wkrótce z Tomaszem, że Art jednak to powiedział: łągał jej na złość i nadal jej pożądał. Figę dostał, bliznę nad okiem. „W Mariannie mam chyba przyjaciółkę – pomyślała. – To tajemnicza kobieta. Biseksualna? Dziwna”. Życie było dziwne, ale nie takie złe, raczej podniecające... nie czuła zupełnie zmęczenia ani głodu. Włożyła szmizjerkę z głębokim wycięciem, obcisłe połyskliwe legginsy. Wchodziła do Studia Wu roztańczonym krokiem. Większość ekipy już tam była. Modelki otaczały Ksawerego jak hurysy sułtana, Woj witał wszystkich w drzwiach, była nawet Marianna, która królowała wśród zachwyconych dziennikarzy. Podszedł do niej Ksawery, razem udzielali wywiadów. Ksawery był dżentelmenem, całował co chwilę rękę Marianny, wskazywał na nią, była nie tylko pierwszą modelką, była muzą i inspiracją.

– To co, sukces? Megasukces? – Lilka serdecznie uściskała Woja. – Co teraz będzie?

– Sława – odpowiedział marzycielsko Woj – chwała, pieniądze... Paryż. Ksawery spodziewa się wielkich kontraktów.

Lilka szturchnęła go w bok łokciem.

– I miłość – dodała – cudowna noc za nami, co?

– Tak – odpowiedział Woj. Nie wiadomo czemu westchnął, przeczesał palcami czub, wziął Lilkę pod ramię i podeszli do grona skupionego wokół pary: Ksawery – Marianna. Zobaczyła ich, posłała w powietrzu pocałunek, kamery to zarejestrowały. Ksawery zakończył rozmowy z mediami, wyprosił wszystkich i skupił przy sobie ekipę. To był czas tylko dla nich. Dziękował, prosił o komentarze, wznosił toast za sukces.

Komentowali, plotkowali, opili gąże. Ksawery zarządził kilkudniowy urlop, ale... już planował następne pokazy. Spodziewał się kontraktów, spodziewał się zamówień, po triumfie wracała praca. Kwitły mu w wyobraźni następne linie i kolekcje. Lilka uprzytomniła sobie, że i ona ma dwie sesje w nadchodzącym tygodniu. Nie cieszyła ją ta wizja, tęskniła za czymś nieokreślonym.

– Wiesz, że ona nie chce dalej z nami pracować? – zapytał Woj, wskazując na Mariannę.

– Żartujesz? – Lilka otworzyła oczy ze zdumienia. Woj zauważył, że ma nienaturalnie rozszerzone źrenice, chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu Ksawery. Wpadł między nich, objął Woję w pasie, a do Lilki krzyknął: strzelaj foty, Liliana, już zawsze będziemy sławni, młodzi, bogaci i zakochani.

*

Nadeszły dni majowe. Lilka była bardzo zajęta, bo magazyn ślubny podwoił zamówienia, a pogoda sprzyjała sesjom mody na lato. Nie widywała prawie wcale zakochanego duetu Woj – Ksawery, oni zresztą, rozrywani przez warszawkę, opisywani na plotkarach, gościli w programach, teleturniejach i rozmaitych show, nie istnieli dla zwykłego świata. Lilka nadal skreślała w kalendarzu dni do spotkania z Tomaszem, tęskniła za nim, ale żyła w biegu, wspomagając się tabletkami Marianny. Ta, ku żalowi otoczenia, rzeczywiście znikła z branży. Ku żalowi otoczenia, Ksawerego i olśnionych producentów, ale nie Lilki. Lila uznała, że zbyt ulegała czarowi tej kobiety, nie chciała już nigdy, przenigdy zobaczyć tych rudych włosów i smukłej figury. Wspomnienie

ostatniej wizyty zawstydzają Lilkę i niepokoiło.

Marianna wpadła do niej do mieszkania niedługo po pokazie, by się pożegnać. Nie słuchała argumentów Lilki o wyjątkowym talencie, wyjazdach, karierze międzynarodowej. Tłumaczyła, że to był jednorazowy kaprys jej przyjaciela, nie mówiła nigdy „sponsor”. Że Ksawery wcale nie cierpi z tego powodu, ma teraz sto chętnych dziewczyn, że ona nie chce być jego modelką, bo może to przerodzić się w coś zupełnie innego.

– Coś ty! – Zdumiona Lilka popukała się w czoło. – Ksawery jest zdeklarowanym gejem i kocha Woja Wu!

– Myślisz? – Uśmiech Marianny wyrażał pobłażanie. – Oj, Lila, Lila... Ksawery wciąż szuka... siebie, swojej tożsamości. Zapewniam cię, że jest co najmniej bi. Jeśli zostanie przy nim, połknie mnie bez mrugnięcia okiem, a wtedy mój przyjaciel go zabije. Jest bardzo zazdrosny. Toleruje obok mnie tylko kobiety. A Woj umrze z rozpacz i co?

Była bardzo sztywnie ubrana, jasny płaszcz, morelowa sukienka. Miała mało czasu, przy bloku czekało na nią auto z kierowcą.

– Wyjeżdżam i przyniosłam ci to. – Położyła na stole pudełko z tabletkami. – Wiem, że ci pomagają, dają power, co? Sama czasem biorę. Ale nigdy więcej niż dwie i ty nie bierz więcej. Obiecuj. – Lilka obiecała. – Weźmy sobie teraz, przy pożegnalnym drinku, co innego. – Marianna wyjęła inne pastylki, podała jedną Lilce, sama wzięła drugą do ust. Popiły szejkiem na rumie.

– Co to właściwie jest? – Lilka smakowała chwilę pod językiem. Mięta i miód, i jakiś cierpki smak.

– Taka magia ludowa. – Marianna uśmiechnęła się. – Po co ci wiedzieć? Te złagodzą ból rozstania. Polubiłam cię, Lilko. Nie wiem, czy się zobaczymy, więc uściskaj mnie, głupia dziewczyno. Prawie się zaprzyjaźniłyśmy, co?

Lilka czuła ciepło w mięśniach, ogarnęło ją jakieś roztkliwienie. Rozplakała się w ramionach Marianny, więc ta przytuliła ją długo, gładziła po głowie i szyi, wreszcie zrobiła to, na co Lilka czekała: ujęła jej twarz w dłoń, uniosła i pocałowała w usta gorąco, a zarazem miękko, głęboko.

– To na pożegnanie – powiedziała.

Lilka, niepewna, czy to się dzieje naprawdę, czy to tylko jej wizja, objęła ją mocniej i sama popchnęła na łóżko. Pulsowało w niej pragnienie nie do opanowania, musiała tego spróbować, zanim tamta odjedzie, zostawi tylko smak ust, chciała sprawdzić, jak całuje się wrażliwe piersi kobiety. Objęła

wargami różową, wypukłą brodawkę. Marianna śmiała się cicho, poddała się, szybko ściągnęła małe majtki, rozsunęła nogi i delikatnie poprowadziła głowę Lilki w dół. Lilka zanurzyła usta w rudy puch, by poznać prawdziwy smak Marianny. Wiedziała, co robić, co muskać delikatnie językiem, a kiedy mocniej wessać się w to drżące wnętrze jak w przekrojoną soczystą brzoskwinię. Z satysfakcją słuchała szybkiego oddechu, jęku spełnienia, wróciła do zamglonych oczu i znów zachwycała się urodą pełnych piersi. Słońce zza zasłony upadło akurat na nie, gładka blaskiem, a Lilka położyła na jednej z nich policzek, drugą uciskała w dłoni. Leżały chwilę przytulone i nagie, zza szyby dobiegł je dźwięk klaksonu. Potem Marianna ubrała się szybko, nie odwzajemniła jej pieszczot, ale przyjemne fale i tak przebiegały przez nagą Lilkę. Na koniec tylko ubrana już Marianna pochyliła się i przeciągnęła dłonią po jej nagim brzuchu, zesłała niżej. Lilka otworzyła się pod jej palcami i wpuściła je chętnie w siebie, gotowa na ostatnią, pożegnalną pieszczotę. Wszystko trwało minuty, Marianna sprawnie znalazła najczulszy punkt, pocierała go i naciskała coraz szybciej, opuszką palca wodziła w gorącej, śliskiej muszli, a Lilka milczała w bólu i rozkoszy, aż rozluźniło się w niej wszystko, świat zawirował i ze spadania w jasny tunel wyrwał ją nieznośny sygnał klaksonu. To kierowca przywoływał Mariannę do porządku.

– Wybacz mi – powiedziała Marianna, zapinając jasny płaszcz. – Wybacz mi wszystko, bo wkrótce mnie znienawidzisz, a pewnie nie zobaczymy się już nigdy.

Lilka została w półśnie, odurzona zapachem i smakiem Marianny, zmęczona, zdziwiona, że ta pulsująca rozkosz nie mija. Słyszała, jak zatraskują się drzwi. Marianna znikła i gdyby nie tabletki na stole w kuchni, Lilka nie byłaby pewna, czy w ogóle tu była, czy tę ciekawość miłości z kobietą po prostu sobie sama wyśniła w narkotycznym majaku.

Kiedy otrzeźwiała i zobaczyła kilka rudych włosów na pościeli, była pewna. Czyli jednak to się stało i to ona sama była prowodyrką całej akcji. Nie miała wyrzutów sumienia. Rozgrzeszyła się za ciekawość, wiedziała, że to nic więcej, mimo to zrodziło się w niej zawstydzenie. Nie pokochała Marianny. Nie pożałowała kobiet, ta jedna skusiła ją, bo trafiła na idealny moment, w którym Lilka gotowa była na podobny eksperyment. Wiedziała, że nigdy tego nie powtórzy, z żadną kobietą. Wciąż czuła podniecenie, pulsowanie w podbrzuszu, lekki ból piersi, otarcie w najintymniejszych rejonach mrowiło przyjemnie. Zastanawiała się, czy ten dalszy ciąg świetnego

humoru, zadowolenia z siebie, to działanie pastylek czy emocji. Znakomite samopoczucie nie opuszczało jej, podobnie jak głód zmysłów. Wiele by dała, żeby był tu Tomasz, nasyciłby ją do końca, wypełnił. Doprowadziła się do ładu i jak gdyby nigdy nic ruszyła na popołudniową sesję mody. W tym wszystkim nie pomyślała nawet, że kolejną dobę nic nie je. Pracowała wiele godzin, wróciła do domu, a kiedy nazajutrz przed sesją powrócił ból głowy i zmęczenie, wzięła tabletkę Marianny. Tak upłynął prawie cały maj. Pracowała, spała, w amoku i sztucznym życiu, czas płynął, każdy dzień zaznaczał się skreśleniem na kalendarzu i jedną tabletką mniej.

Woj odwiedził ją pewnego pięknego dnia w początkach czerwca. Był strapiiony i sam szukał pociechy, ale kiedy ujrzał Lilkę w drzwiach, krzyknął przerażony. Była zadowolona z życia, trochę ospała, ale oczy jej błyszczały, a na twarzy gościł rumieniec.

– Lilka, Chryste, jak ty wyglądasz! – zawołał przerażony.

– Ale o co chodzi? – zapytała.

Bez słowa poprowadził ją do lustra.

– Kiedy ostatnio jadłaś? – zapytał. – Wyglądasz jak anorektyczka. Strasznie schudłaś.

W lustrze delikatny chłopak z jasnym czubem włosów stał obok ciemnowłosego, białego kościotrupa.

– Schudłam? Rzeczywiście, jakoś nie mam apetytu... To całkiem fajne, Woj, jak nie musisz jeść. Trochę schudłam, prawda, ale...

Odwróciła się ku niemu, chciała zarzucić mu ręce na szyję. Woj gwałtownie i bez skrpułów ściągnął z niej sweter, odruchowo okryła biust ramionami.

– Nie masz co zakrywać. – W ogóle ich już nie ma. Popatrz, coś ty ze sobą zrobiła. Wykręcił jej ręce i obrócił przodem do lustra. Żebra, chude ramiona, piersi małe jak ciemne śliwki, pozbawione ciała, ostra twarz, wielkie oczy nad sinym łukami.

– Czy jeszcze miesiączkujesz? – zapytał z troską.

– No wiesz co? – zaczęła oburzona, ale urwała. – No tak, gej prawie jak kobieta. Nie, nie pamiętam, kiedy... zaraz, czekaj, ty wiesz, od mojego wyjazdu chyba nie...

Usiadła półnaga przy stole i usiłowała przypomnieć sobie, czy miała okres po przyjeździe z Darzboru. Tyle się działo... Nie zwracała na to uwagi.

Woj rozglądał się po pokoju, pogłaskał zmartwionego psa.

– Karmisz go w ogóle? – Rozejrzał się po kuchni i trafił na tabletki. – To

tym się trujesz, Lilu? Co to w ogóle jest?

Lilka wzruszyła ramionami.

– Dostałam od Marianny, są świetne. Bez nich nie dałabym rady. I głowa mnie przestaje boleć, jak biorę. Dawaj je... A psa oczywiście karmię, jak nie ja, to pani Ala...

Woj spróbował tabletkę i zaklął:

– Kurwa, Lilka, to jakaś amfa! Ile czasu żyjesz na amfie? Dlatego nie jesz, dlatego masz taki power, ale chudniesz. Dlatego straciłaś okres. A wiesz, co cię czeka?

Rzucił w nią bluzkę.

– Ubieraj się. Zabieram cię na obiad, opowiesz mi wszystko, a to rekwiruję. Chyba że wolisz krwotoki, depresję i zgon.

*

Grzebała widelcem w lekkostrawnym daniu, które Woj zakupił w pobliskim barze. Słuchał opowieści o bólach głowy, o spotkaniach z Marianną, przemilczała erotyczne doświadczenia, bo znów nie była pewna, czy to nie wizje. A Tomasz? Widziała go przez chwilę na pokazie, czy to też była tylko wizja?

– Tego nie wiem – westchnął Woj – nie znam go. Ale proszę cię, jeszcze chociaż dwie łyżki. Musisz zacząć jeść. Z tego, co mówisz, to nie tak długo bierzesz, ale już będzie ci ciężko. Masz silną wolę?

– Jeszcze pytasz... Widzisz sam, że nie szukam Tomasza, chociaż jestem pewna, że go widziałam. Prawie. Z Jamrozem.

– Z kim?

– Z Jamrozem. Poznałam go w Darzborze, bezczel taki. On jest tym tajemniczym sponsorem Marianny, mówię ci.

Woj lekko pobladł.

– Posłuchaj – powiedział – nie wiem, ile w tym prawdy, ale Marianna to nie jest dobra dziewczyna. Podobno nie ma żadnego sponsora, sama jest sobie sponsorem. Jest związana z handlem białym proszkiem. Nie wzięła swojej gaży za Wielki Pokaz... – Lilka popatrzyła zdumiona i z trudem przełknęła kaszę. – Za to wzięła sobie Ksawerego. Nie mieszkamy już razem.

– Przecież wyjechała. – Suchość w gardle nie dała się ugasić wodą. Lilka

zażądała dzinu z tonikiem. Woj nie zaprotestował.

– Tak, wyjechała, a wiesz dokąd? Wiesz z kim? Zauważyłaś, że Ksawerego też nie ma? Pojechali w interesach do Mediolanu, we dwoje. Ksawery odkrywa swoją stronę hetero...

Lilka wzięła Woja za rękę, przytuliła do policzka.

– Bardzo cierpisz? – spytała.

– Nawet nie wiem – odpowiedział Woj. Przemknęły mu przez myśl oczy Igora, jego postać w białej koszuli, gdy zegnał ich w progu zajazdu, a przy tym nagle poczuł żal i dławienie w gardle na wspomnienie innej sceny. – Co ja mówię? Tak, cierpię jak każdy odrzucony i zdradzony facet. Nakryłem ich w naszym Studiu Wu, Liliano.

Nie wspomniała, że on też nie był taki znów wierny. I ona nie... nikt chyba nie był już wierny nikomu na tym świecie. Może i jej mąż Art nie był aż taką gnidą, jak myślała... Westchnęła na wspomnienie jego niemoralnych propozycji. Gdyby zobaczył ją w pieszczotach z Marianną, pewnie przyłączyłby się z zachwytem... Marianna, Jamroz...

– A co z tym Jamrozem, sponsorem?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem, gdzie będę teraz pomieszkiwał. U ciebie. Nie patrz tak. Zarządzam odwyk, to ciężkie chwile i ktoś musi cię pilnować. Ale za to masz motywację: trzy tygodnie na doprowadzenie się do stanu kobiecości. Przecież nie masz dla tego Tomasza nawet pół cycka! Włosy wypadają, ech. Pomogę ci, jakem pierwszy fryzjer w stolicy. I może... pojedę tam z tobą.

Lilka roześmiała się. Wprawdzie zaczynała czuć ssanie w żołądku, spadek sił, ale ból głowy na razie nie wracał, a argument, że takie chude ciało, anorektyczne i sine nie może nikomu się podobać, podziałał. Przestraszyła się jego diagnozy, własnej głupoty. Przecież podejrzewała, że te tabletki to nie landrynki. Jak łatwo było wypchnąć z myśli niewygodne podejrzenia, jak lekko wchodziło się w przyjemne pułapki. Oparła się na ramieniu Woja, wrócili razem do jej mieszkania, razem wyprowadzili Borsuka na spacer. Woj przygotował się jak na wojnę: filmy, ciastka i kakao, alkohol, zakopali się w koce na tapczanie i oglądali płaczące komedie romantyczne, które zawsze dobrze się kończą. Lilka złamała się nazajutrz. Rano pracowała przed południem przy komputerze i chociaż wszystko leciało jej z rąk, nie było jeszcze tak źle. Wypiła hektolitry zielonej herbaty, sikała co chwilę, zaczęło ją mdlić. Wróciła z łazienki słaba jak wróbel i oświadczyła Wojowi, że nie da

radę iść z psem na spacer.

– Już byłem – powiedział spokojnie. – Nie spuszczę cię z oka. Teraz będzie źle.

– Już jest źle. – Zwinęła się w kłębie. – Wraca mi ból głowy. Musisz dać mi tabletkę Marianny, proszę, chociaż pół, bo rozwali mi czaszkę. Nie można tak od razu odstawić, jak się brało dwie dniennie.

Woj rozłożył ręce.

– Nie mam ich – powiedział. – Bałem się, że ulegnę twoim prośbom, i oddałem innym potrzebującym. Takim, co mnie mniej obchodzą.

Powłokła się do łazienki i zwymiotowała herbatę. Potem pocieszyła się, że i tak ma plan, bo przecież wiedziała, że się skończą. Wiedziała, kogo zapytać i skąd ludzie biorą podobne rzeczy. Zaczęła się ubierać w kurtkę.

– Jednak pójdę z psem – powiedziała słabo – nie znosi spacerów z obcymi.

– Rzeczywiście – zadrwił Woj – cały czas chodzi z obcymi. Nigdzie nie pójdziesz, siedź na dupie. Odwołałem cię z jutrzejszej sesji, z pojutrzejszej też. To jest odwyk, wieczorem będziesz umierać. Siedzimy doma i cierpimy.

Obrażona wyszła do kuchni. Wyciągnęła wódkę i popiła z butelki, trochę pomogło, ale zawirowały jej płatki w oczach, pociągnęła jeszcze i zaczęły się dwoić i troić przedmioty. Upadła na łóżko i zasnęła, Woj czuwał nad nią, a gdy obudziła się w nocy i telepało ją jak rybą w sieci, trzymał ją siłą w ramionach. Znowu wymiotowała i pociła się jak szczur, spali na podłodze. Rano jednak dała wcisnąć w siebie kleik i kawałek suchej bułki. Woj znał kolejne etapy, toteż kiedy po otępieniu nastąpił atak szaleństwa, Lilka chciała wyjść oknem, gryzła poduszkę i wiła się w konwulsjach, ruszyła szturmem do drzwi, siedział w progu i nie wypuścił jej. Ogarniała ją gorączka, chłodził ją lodem, masował jej plecy, a nawet drobne piersi, i nie wychodził z łazienki, gdy się kąpała, bo bał się, że coś sobie zrobi w wannie. Pani Ala dostawała Borsuka przez uchylone drzwi i tak samo oddawała go po spacerze. Woj odbierał, dziękował i wracał do Lilki. Nie słuchał wyzwisk, jakimi go obdarzała, starał się nie słyszeć wycia, nie dał się skusić, kiedy chciała namówić go na seks.

– I tak umieram – poinformowała go nad ranem drugiego dnia. – Gdybyś był prawdziwym facetem, przynajmniej byś mnie przeleciał. W ogóle cię nie kręcę?

– Przydałby się ktoś, kto by cię dobrze posunął, to prawda – powiedział. – Seks pomaga: doznanie za doznaniem. W tym jednak ja pomóc nie mogę.

Siedzimy i cierpimy.

Trzeciego dnia nastąpił przełom, a wieczorem nawet zjadła mikroskopijną kolację. Woj zdecydował, że następnego dnia pójdą razem na sesję. Z końcem tygodnia wyglądała jak cień, ale bóle głowy przeszły, a że niczym nie gasiła apetytu, organizm upomniął się o jedzenie. Z triumfem poszli na zupę.

– No i pragnienie będzie już do wytrzymania. Po tym, co przeszłaś – powiedział Woj – chyba się już nie złamiesz, co? Pilnować będę! Weźmiemy się za przygotowanie twojego image’u. Ale przede wszystkim po trochu jemy.

Przysięgała, że nigdy nie tknie żadnego procha, nawet trawy, że nie chce tej gehenny odwyku po raz drugi, że woli spotkać się z Tomaszem, a to już szybko.

– Byłe tylko nie bolała mnie głowa, to nie wezmę nic, przysięgam – mówiła pokornie. Woj nie był pewien, niby nie zdążyła się mocno uzależnić, a już zapłaciła wysoką cenę. „Byłe tylko głowa...”, a więc załatwił jej mocne tabletki przeciwbólowe. Niby wierzył, ale się nie wyprowadzał i towarzyszył jej do pracy. W połowie następnego tygodnia Lilka uświadomiła sobie, że jedzie do Darzboru już za dwa tygodnie, że wygląda źle, ale uwolniła się od dręczącego, nieustannego pragnienia narkotyku. Pożądanie seksualne też jej nagle spadło, chudość przerażała. Woj działał uparcie: po dziesięciu dniach apetytu i bomb kalorycznych, smacznych własnych produkcji kulinarnych, piersi Lilki znów wypełniły stary sportowy stanik, którego używała do joggingu. Obejrzała się w lustrze. Nadal była chuda, bardzo chuda, ale już nie anorektyczna. Skóra nabrała blasku, a kiedy Woj równiutko nasmarował ją olejkiem brązującym – stała się lekko złocista. W poniedziałek poprzedzający wymarzony weekend sama poprosiła Woja, aby zrobił coś z jej włosami.

Nie tylko z przyjemnością się zgodził, ale zawołał makijażystkę i znajomego projektanta, by wymyślili od nowa Lilkę Gajewską, fotografkę z Warszawy, która tak naprawdę dopiero teraz sięgała po marzenia.

Część III Nad łąkami

Ciemnowłosa kobieta, która wysiadła z auta przed Studiem Wu, wydała się wyglądającej przez okno producentce niezwykle elegancka, obca, chociaż ruchy miała znajome. Iga przebiegła w myśli listę osób, które miały się stawić na pierwszą z trzech sesji z cyklu: „Młoda para. Mieszkanie marzeń” do polskiej edycji brytyjskiego magazynu wnętrzarskiego. Czyżby jedna z modelek?

Kobieta była szczuplutka, zgrabna, włosy ścięte miała na Kleopatrę, z równą linią grzywki nad ciemnymi okularami, podkrecone nad ramionami. Żółty żakiet, najmodniejszy w tym sezonie, narzucony na biały kombinezon. Wysoki koturn neonowo zielonych sandałów, markowa torba, przypominająca kosz. Producentka Iga, która stale walczyła z wyimaginowaną nadwagą, westchnęła z zazdrością. Za kobietą, która wyciągała coś jeszcze z bagażnika, wyskoczył pies. Igę wmurowało w podłogę, ale zarazem olśniło. Znała tego psa. I tylko jedna osoba miała być na sesji z psem, potrzebnym zresztą do zdjęć. Tak, wyjmowała sprzęt fotograficzny, a samochód przecież ten sam co zawsze. Musiała to być Lilka Gajewska, ale jakże odmieniona! Kiedy Lilka zdjęła ciemne okulary i uśmiechnęła się powitalnie, Iga aż krzyknęła na widok pięknej twarzy.

– Jak tego dokonałaś? – Biegała dookoła niej, a Borsuk zaczął szczekać.

– Ty o to pytasz? Ty? – Lilka śmiała się, zadowolona. – Ty wiesz najlepiej, jak to się robi. Makijaże, masaże, dobry fryzjer, na przykład Woj.

– Coś takiego! – Iga wciąż miała w pamięci poszarzały kucyk i sweterki tamtej Lilki. – A która to projektantka wzięła cię w swoje ręce? Dawaj kontakt, zaraz ją zatrudnimy. A makijażystka?

– Nikt inny jak nasza Ewa! Kiedy skubała mi brwi, Woj trzymał mnie za ręce, bo chciałam ją zabić. Kilka uśmiechów Woja do znajomej projektantki Eneo...

– Warto było. – Iga gwizdnęła z zachwytem. – Masz teraz oczy jak Audrey Hepburn. W ogóle jesteś do niej podobna... Kolor też podkreśliła?

Lilka przytaknęła. Przeżyła te tortury, kiedy traktowali ją jak manekin, Woj mruzczał, kłął, przymierzał peruki. Potem ciął, podkręcał i malował. Ewa pracowała nad jej twarzą godzinami, narzekała na zaskórniki, bladość, najgorsze były te brwi, ale kiedy zdjęła z niej algowe maski, hialuronowe kompresy, nałożyła podkłady i tusze, powiedziała: „A teraz trzymaj się, bo podam ci lusterko, a zmiana jest duża”. Lusterko było owalne, twarz kobiety, która patrzyła na Lilkę, naprawdę piękna i jakaś inna, chociaż przecież znajoma. Łuki brwi dokładne, wysoko wygięte i cienkie, opierające się o równą, krótką grzywkę. Rzęsy wydłużone, usta pełne i błyszczące różem, zęby białe. Kości policzkowe pociągnięte smugą brązu, a nad ustami pieprzyk, który zawsze był, teraz jednak zyskał rangę wyeksponowanej ozdoby. „Machnij sobie jeszcze kolczyk w nozdrzach albo chociaż nad brwią” – poradziła jej poważnie Ewa. Lilka jednak najpierw musiała oswoić się z tą Kleopatrami zmieszana z Audrey, w którą ją przeistoczyli. Podobała się sobie, ciekawa była, czy w sobotę, tę nadchodzącą milowymi krokami sobotę, spodoba się też Tomaszowi. Czy Igor w ogóle ją pozna? Jeszcze kilka dni, ale myślami przebywała już na bagiennych mokradłach.

Fizycznie jednak wciąż w Studio Wu, w którym ustawione były już ogrodowe altany, donice i imitacje egzotycznych roślin. Zaczynała kolejną sesję. Włosy przewiązała chustką, białe spodnium zamieniła w garderobie na wygodny dres, ale kiedy się przebierała, Ewa zauważyła kątem oka, że Lilka jest nieco pełniejsza i ma śliczną bieliznę, a stanik z pewnością od osobistej braffitterki.

– Pies potrzebny tylko dzisiaj – poinformowała ją, wracając na ziemię, czyli do scenariusza. – Jutro robimy sypialnie – dodała, układając usta w znaczące miny – z Anitą i Stachem jako młodymi. Czesze ich Woj, będziesz zadowolona.

– A pojutrze? – spytała Lilka, ustawiając lampy.

– Pojutrze inna ekipa, park, a potem studio, ale daleko, w salonie Stu Łazienek, aż w Markach. Też zmysłowo, bo „Łazienki marzeń”, pokażemy trochę ciała panny młodej, co? Chcieli nam wkręcić stroje kąpielowe na życzenie biura reklamy, czujesz? Ale pogoniłam ich jak stąd do.... Wyobrażasz sobie? Para młoda w kąpielu, piana i tak dalej, a ona czeka na młodego w stroju kąpielowym marki Wodniki?

Lilka nie wyobrażała sobie niczego innego poza sobotnim wyjazdem na bagna, śmiała się jednak z Wodników, zadowolona z tematu sesji. Wnętrza

były wdzięczne do fotografowania, a łazienki wypadały w czwartek, potem piątek na pakowanie: nie było lepszego sposobu na przyspieszenie upływu czasu jak fajna praca.

– No to jazda! – zawołała zza obiektywu. – Jest światło! Ustawić mi tu tę altanę, a Borsuk: hop na poduszkę. Wiem, że jest pretensjonalna jak mało co i nigdy byś nie spał w kwiatuśkach, ale czego nie robi się dla kasy! Myśl, Borsuku, o droższej karmie. Kwiaty w prawo! Gdzie modele? Panna młoda na huśtawkę! Muzę proszę łagodną! Tak jest, lecimy, kochani, aż krzyknę, że mamy.

Pochłonięta setkami ujęć, porządkowaniem i kolorowaniem zdjęć, Lilka myślała o nadchodzącej sobocie z pragnieniem, ale i z lękiem. Bała się upokorzenia, jeśli Tomasz nie przyjedzie. Bała się – jeśli jednak przyjedzie – czy pamięta w ogóle ich spotkanie, czy czuł podobną tęsknotę jak ona za nim. I nadal – jeśli tak, to czy ona sprostą jego oczekiwaniom? Wciąż była chuda, poza tym od czasu, kiedy pożegnała cudowne tabletki Marianny, wyraźnie zmniejszyło się jej libido. Nie podniecały jej nawet wspomnienia namiętnej nocy z Tomaszem, nie śniła dawnego snu o seksie z nieznajomym, który nawiedzał ją, gdy była samotna. Dziwny sen: nieznajomy był silnym mężczyzną, odwracał ją tyłem do siebie, ścisnął boleśnie piersi i zawsze wchodził w nią trzy razy. Raz, dwa, trzy – i budziła się z własnymi paznokciami na piersiach, złana potem i niespełniona, ale podniecona. Teraz nieznajomy nie pojawiał się w jej snach. Myślała przez chwilę, że może Marianna zabrała jej chęć do miłości z kimkolwiek innym albo z mężczyznami. Nie, nic podobnego. Porządkowała zdjęcia, oglądała je, wpatrywała się w rude włosy, wspominała jej smukłe ciało i nie budziły się w niej zmysły. Zdjęcia tej kobiety nie czyniły na niej wrażenia, widziała tylko szopę włosów i zbyt wielki nos. Przegrała sobie znowu zdjęcia z bagien na laptop i w przerwach pracy oglądała Tomasza. Także nic. „Co będzie – myślała – jeśli pozostanę taką drewnianą, suchą lady? Nie wykrzeszę z siebie ognia już na miejscu, w Darzborze? Co się ze mną stało? Może ma to związek z zanikiem miesiączek?”. Nie osiągnęła jeszcze wagi, przy której wracają cykle. Obiecywała sobie iść do lekarza, ale wciąż nie miała czasu. Pracowała, marzyła, na szczęście dobrze jadła i znakomicie spała. Drugiego dnia, podczas sesji sypialnianej, przeszył ją mały erotyczny prąd, kiedy fotografowali sety „Noc poślubna”. Modelka Anita zgodziła się na pozowanie nago, ale tyłem do obiektywu, model Stach odziany jak rzymski konsul niby w samo

prześcieradło, zapraszał ją do ogromnego łoża. Tak naprawdę byli tłem, chodziło o łóżko, które przypominało sarkofag ustrojony w baldachim, zasłony i miękki dywan. Lilka pomyślała, że gdyby chodziło o nią, wolałaby dywan, miękki i jasny, przyjemnie łaskotałby skórę. Anita oddalała się ku łożu, z przodu osłaniała się ręcznikiem, pośladkami poruszała bardzo ponętnie, wszyscy dobrze się bawili, Staszek potknął się, prześcieradło spadło i wszyscy ujrzeli jego bordowe slipy wypełnione imponująco wzniesionym na cześć pośladków Anity męskim klejnotem. To był jedyny moment, kiedy w Lilce coś zagrało, chęć dotknięcia go, jakby apetyt na mężczyznę. „Może wróci mi w Darzborze? – pomyślała wtedy. A jak nie, to Tomasz będzie musiał jakoś temu zaradzić. Albo pogodzić się z uczuciem platonicznym”. Sfotografowała Stacha, w domu powiększyła na ekranie męski detal i próbowała wzbudzić w sobie lekkie podniecenie na ów piękny widok, ale zasnęła na siedząco, a w czwartek nie miała już czasu na marzenia o seksie. Nazwała go potem czarnym czwartkiem...

*

Sesja czwartkowa, czyli „Łazienki ślubne”, częściowo nomen omen w Łazienkach Królewskich, przebiegała dynamicznie. Tym razem wśród fotografów znów znalazł się Art, ale Lilka zupełnie się tym nie przejmowała. Zerkał na nią zdziwiony przemianą, miała małą satysfakcję i świadomie poruszała się zalotnie. Niech zerka. W jej mieszkaniu czekały już spakowane walizki, plecak, wygodne, choć brzydkie buty, a także seksowne, nieprzydatne buty piękne. Mogła w nich zejść najwyżej ze schodów w Darzborze, i to bardzo ostrożnie, ale miło łechtały jej próżność. Za chwilę błysnie na tych schodach złotymi paskami wokół kostek. Na razie błyskało nad Warszawą. Burza przegoniła ekipę z pleneru do ogromnego magazynu handlującego łazienkami, gdzie wśród ekspozycji przygotowanych przez architektów wnętrz nie słyszeli pomruków ani piorunów i powoli kończyli zdjęcia. Lilka uświadomiła sobie, że zdecydowanie woli sesje wnętrzarskie od mody i okładek. Być może pocziwe wanny obudowane kafelkami albo na starodawnych nóżkach były wdzięczniejsze i miłsze w obcowaniu niż gwiazdy znane i lubiane... nawet jeśli nowa modelka kaprysiła, że ściany wanny są zimne jak mróz i przeziębi sobie jajniki. Przy ostatnich zdjęciach para młoda

bawiła się w chowanego w łazience stylizowanej na dawną włoską *bagno*. Ekspozycja tak właśnie była podpisana i Lilkę znów chwyciły za serce szczyptę tęsknoty. Pomyślała poza tym, że taki akurat przybytek chciałyby mieć, gdzieś w wiejskim domu, za górami za lasami...

Z marzeń wyrwał ją telefon. Odebrała, krzyknęła i pobladła tak, że wszyscy nagle znaleźli się przy niej, modelka w szlafroku w tulipany, oczywiście Art, producentka Iga i chłopak asystent z donicą ozdobną w rękach.

– Jak to włamanie? – krzyczała zdenerwowana Lilka w komórkę. – Kiedy, jak? A pies? Co zrobili z Borsukiem? Jak to nie ma?

Wydawało się, że zaraz zemdleje. Usiadła na ziemi i zaczęła histerycznie płakać. Chłopak upuścił donicę, producentka pobiegła po wodę. Najwięcej przytomności umysłu zachował jednak jej były mąż Art. Przykląkł przy Lilce, wziął ją za rękę, ścisnął mocno.

– Lila, powoli, spokojnie. Powiedz, co się stało.

– Dzwoniła Ala. – Lilka łkała i łapała oddech między łzami. – Przyszła sprzątać i po Borsuka. Drzwi otwarte, wszystko porozwalane. Złodzieje. Pobite szkło, komputer...

– Wezwała policję?

– Nie wiem. – Ręce Lilki trzęsły się, a serce ogarnęła groza. Gdyby miała w kieszeni tabletki Marianny, wzięłaby teraz bez wahania. – Najgorsze, że nie ma psa. Co oni zrobili z Borsukiem? On się boi burzy. A jeśli... Art, zabili mojego psa!

– Pies był akurat wspólny – przypomniał jej były mąż – i jest to także moja sprawa. Jedziemy. Iga potem przyprowdzi twoje auto, damy jej kluczyki... No, gdzie masz torebkę?

Zaprowadził Lilkę do swojego samochodu. Rzeczywiście była zbyt roztrzęsiona, by kierować. Przebiegała myślą swoje bogactwa, zastanawiała się, co u licha mogło skusić złodziei. Nic takiego nie miała. Zresztą niech w cholerę zabiorą: odkurzacz, pralkę, stary telewizor, tylko po co im pies? Ogluszyli go? Otruli? Borsuk nie zjadłby nic od obcego. Więc co? Zabili?

Na miejscu zastali pobojuwisko, zdenerwowaną Alę i zaintrygowaną sąsiadkę. Mieszkanie zostało splądrowane do najmniejszych zakamarków. Wyglądało na to, że ktoś szukał czegoś konkretnego, nie zginęły żadne sprzęty, telewizor stał na swoim miejscu, odkurzacz i pralka także, a nawet skromna biżuteria Lilki, mieszcząca się w małej szkatułce pod lustrem w łazience, stała nienaruszona. Zniszczono komputer. Walizki rozbebeszone, plecak

wypatroszony z przygotowanych rzeczy.

– Wybierałaś się gdzieś? – zapytał Art.

– Tak. – Lilka uświadomiła sobie, że miała wyruszyć pojutrze, a następna myśl, jaka przyszła jej do głowy, to ta, że szlag trafił wyjazd, bo nie może nigdzie jechać bez psa. Może leży gdzieś zabity nad Wisłą? Może dręczyli go albo wyrzucili z jadącego samochodu? Strach i poczucie, że ktoś wtargnął w jej prywatność, ustąpiły nienawiści.

– Jeśli zabili mi psa – powiedziała – ja ich znajdę i pozabijam. Jednego po drugim.

– Tego nie słyszałem. – Policjant, który wszedł właśnie w drzwi, uśmiechnął się pocieszająco. – A w ogóle, to warto najpierw psa poszukać. Zwykle złodzieje trują albo usypiają psy kawałkiem nafaszerowanej wątróbki, zostawiają albo wrzucają do śmietnika. Nie mają czasu na psy...

– Borsuk nie zjadłby od obcego – przypomniała sąsiadka.

– Tym bardziej uszpli, pewnie zastrzykiem, i wyrzucili gdzieś – powiedział policjant. – Zabity leżałby tutaj – dodał litościwie. – Co zginęło?

– Tylko jedno – oznajmiła Lilka. – Zewnętrzny dysk ze zdjęciami. Reszta rzeczy jest tylko porozrzucana.

– Miała pani kopię? – zapytał ze współczuciem policjant. Rozumiał, że czasem własne prace droższe są dla właścicieli niż pieniądze.

– Tak. – Lilka poklepała laptop. – To mam zawsze w pracy ze sobą. Ale oddam je panu za psa...

– Muszę zabrać – powiedział policjant. – Poddamy go analizie. Po co złodziejom pani zdjęcia? Jak pani myśli, co takiego na nich mogło być?

– Ptaki i modelki. – Westchnęła, myśląc oczywiście o szajce znad Narwi. Nie zamierzała o tym mówić, ani o tym, że zabezpieczyła je jeszcze w innym miejscu. – Niech pan bierze laptop, ale muszę go mieć do soboty. A teraz idę szukać psa. Mówi pan, mogli wrzucić gdzieś do śmietnika albo nad Wisłą?

– Idę z tobą – oznajmił Art. – Lubiłem Borsuka i nie wiem, czemu w końcu ty go zabrałaś.

Lilka wzruszyła ramionami, ostatecznie mógł iść. Było jej wszystko jedno, zmartwienie o psiaka mroziło jej serce. Każda minuta niewiedzy budziła wyobraźnię. Połamane łapy, może piszczy biedak gdzieś, a jej tam nie ma. Żeby tylko żył! Lilka czuła w brzuchu ciężki kamień, modliła się i targowała z losem: „Jeśli się znajdzie, nigdy więcej... nie będę brać żadnych proszków, nie będę go zostawiać samego. Żadnych myśli o kobietach. Żadnego tête-à-

tête z sobą samą...”. Nie pomagało. Spenetrowali śmietniki, chodzili nad brzegiem Wisły. Nigdzie nie było nawet psiego cienia.

– Borsuk, Borsuczek – wołała Lilka i płakała. Art w końcu zdjął marynarkę i otulił ją od chłodu i namawiał do powrotu. Ciemniało mimo lata.

– Może schroniska? – zapytał. – Borsuk miał chipa, jeśli tam trafi, powinni dzwonić.

– Ale nie dzwonią.

– Możemy jutro objechać...

– Nie zasnę bez niego. Nie prześpię ani minuty, umrę z rozpaczy.

– Mogę z tobą zostać – zaoferował się Art. – Mam trochę dobrego proszku na sen.

Pragnienie uderzyło ją jak cios w brzuch. Zapragnęła tego proszku natychmiast, cokolwiek by miał, niewinną melisę czy brudną heroinę. Potrzebowała uśmierzenia bólu i zlikwidowania tego podłego lęku o psa. Omal nie rzuciła się na byłego męża, wyciągnęła drżącą rękę, mignęła jej tylko myśl, że jeśli spróbuje teraz prochów, to wszystko zacznie się jeszcze raz. Nieważne. Nie chciała o tym myśleć, chciała zaznać ulgi. Wyszła z tego raz, wyjdzie drugi, a teraz i tak umrze, jeśli sobie nie pomoże. Cofnęła jednak rękę, bo w kieszeni zadzwonił telefon. Nie знаła numeru, nie znała kobiecego głosu, ale zdanie, które usłyszała, uratowało ją od zguby, powrotu do nałogu, uratowało jej noc, a także sobotni wyjazd. Głos obcej kobiety wydał się anielskim śpiewem. Pani dzwoniła z całodobowej przychodni weterynaryjnej przy alei Wojska Polskiego.

– Mamy tu pieska z tym numerem telefonu w chipie. Znalazły go dzieci z osiedla, był odurzony, ale już się ocknął. Wabi się Borsuk. Czy to może...

– Tak! – wrzasnęła Lilka. Ptaki zerwały się z gałęzi nad wodą. – Tak, to mój. Właśnie go szukam. Aleja Wojska Polskiego, Jezu, Żoliborz? Natychmiast jadę. I w ogóle to kocham panią.

Pojechali oboje, a Borsuk, któremu złodzieje wstrzyknęli środek usypiający, a potem wyrzucili go jak nieżywego aż na Żoliborzu, popatrzył na Lilkę z ufną miłością. Nie dał rady skakać, ale ogon w pełni sprawny powitał ich oboje, uderzeniem w podłogę, bo Borsuk, nie znając dokładnie przewinień Arta, lubił go troszeczkę i pamiętał, że rzucał mu kij dużo dalej niż pani. Nie rozumiał, czemu już z nimi nie mieszka. Lilka porwała go na ręce, pani weterynarz powiedziała:

– No czasem zdarzają się dobre zakończenia! Będzie jakiś czas otumaniony.

Jak to jednak te chipy się przydają!

– Jak mam się odwdziżyć? – Lilka płakała teraz z radości. – Ile jestem winna?

– Tak to nic – powiedziała miła pani doktor. – Dałam mu tylko zastrzyk na wzmocnienie, ale jeśli chce pani wpłacić datek na naszą fundację, proszę bardzo, tu jest numer konta. Mamy dziesiątki takich, których nikt nie szuka...

Art wiózł ich do domu, zastanawiał się, czy nie umówić się z panią weterynarz, która była bardzo przystojną kobietą, a zerknęła na niego z ciekawością. Lilka głaskała Borsuka, który chętnie przyjmował pieszczoty przynależne pokrzywdzonemu psu. Zastanawiało ją inne zdanie pani weterynarz: taki zastrzyk musiał zrobić ktoś, kogo pies znał... Albo go przytrzymać, zwabić. Syknęła pod nosem przekleństwo. Art zerknął na nią. Jakże wypiękniała, wyglądała ponętniej mimo spuchniętych oczu, piersi jej się wyraźnie powiększyły...

– I tak mogę u ciebie zostać. – Art przypomniał swoją propozycję. – Należy ci się relaks, z Borkiem trzeba jeszcze wyjść...

– Nie, nie, dziękujemy – powiedziała Lilka. – Nie chcę od ciebie niczego Art, a już na pewno prochów. Mało brakowało... Ale dziękuję za pomoc, w sprawie psa spisałeś się świetnie.

Art wniósł jej Borsuka na schody, trzasnęła mu drzwiami przed nosem, a potem zamknęła się na wszystkie zamki. Obiecała psu, że nigdzie jutro nie wyjdzie. Będą siedzieli w domu oboje, szykowali się do wycieczki i porządkowali bałagan.

– Kto to był, Borsuczku? – Głaskała psi łeb, targała pieszczotliwie uszy. – Znałeś tych ludzi czy jednak byli obcy? Ty wiesz, kto to był...

Ale Borsuk, mimo że był bardzo inteligentny, mowy ludzkiej nie znał. Oczywiście, że wiedział, kto to był, wstrętny facet, który ukłuł go boleśnie. Znał kobietę, która wabiła, wołała miłym głosem, by podszedł do nich i przestał warczeć. Nie umiał opowiedzieć, ale popatrzył na panią z niewymowną wdzięcznością, po czym skręcił się w mały kłębek przy niej i zasnął szczęśliwy, że się znalazła.

*

Lilka obudziła się o świcie, gwizdnęła na zaspanego Borsuka, bezszelestnie

zebrała rzeczy, wsiadła do samochodu. Jechała pustymi ulicami Warszawy, cicho, jak najciszej przemknęła przez most Śląsko-Dąbrowski do placu, na którym niegdyś stał pomnik Czterech Śpiących. Mijała katedrę, cerkiew, dworzec Wileński. Z dwóch możliwości wyjazdu z Warszawy na wschód, wybrała ten przez Marki, żegnała miasto i podmiejskie, rozległe centrum handlowe, magazyn z ekspozycją stu łazienek, w którym przedwczoraj przeżyła czarny czwartek. Żegnała je bez żalu, te wizytówki współczesnej aglomeracji, z krzykliwymi reklamami, jeszcze puste, ale już oczekujące na tłumy, które przybędą tu za kilka godzin, by oddać się weekendowym zakupom. Postanowiła wyjechać na dłużej, co najmniej na dwa tygodnie, niezależnie od tego, jak ułożą się sprawy z Tomaszem. Tam, za zakrętami, za lasami, wróci do pracy nad albumem. Wróci do spacerów ścieżkami wśród bagien. Może zafundują sobie spływ tratwą po Biebrzy?

– Wszystko, tylko nie miasto w lipcu, Borsuk – zwierzyła się psu. – Jestem pewna, że obcowanie z naturą wyleczy mnie z tych okropnych strachów i wątpliwości. No i obcowanie z Tomaszem...

Śmigwały drzewa za oknem, jechała prawie sama, Borsuk spał.

Tym razem Darzbór nie zwodził jej i nie zniknął za zakrętami, stał tam, gdzie powinien, a może to Lilka dobrze pamiętała już Carską Drogę. Zdziwiła ją liczba samochodów przed budynkiem, widocznie turystyka bagiena jednak rozkwitła i lipiec ściągał tu więcej gości niż maj. „Nawet zagranicznych – pomyślała, widząc rejestrację niemiecką. Jak Igor sobie z tym radzi?”. Rozmawiała z nim kilka dni wcześniej: chodził już nieźle, czasem o kuli, z zapalem mówił o turystach, wciąż nowych, zapelniających zajazd. Ale zatrzymał dla niej – dla nich – pokój. Pamiętał.

– Przyjeżdżaj, Lilko, przyjeżdżaj – mówił przejęty – sezon się zaczął, są goście, mam więcej obsługi. Ja teraz, rozumiesz, jak ten doktor House, maszeruję z laską przez obejście, ze świtą, oczywista! Wokół mnie kelnerki i parobcy, zwierzęta i kucharz. Nikt nie podskoczy, bo zaraz w łeb!

Miał dobry humor, ale nie zapytał, czy przypadkiem nie przyjedzie z nią Woj. Sama o tym napomknęła: Woj wyjechał z ekipą do Francji, brał udział w wielkim konkursie fryzjerskim. Chciał włączyć do ekipy Lilkę, ale wybrała Podlasie. „Więc nie przyjedzie ze mną” – oznajmiła wtedy, a Igor powiedział tylko: „Wiem”. Teraz szedł do niej różnym krokiem, wymachując kulą, którą odrzucił na bok w trawę, i otworzył ramiona. Lilka znalazła się w nich natychmiast, poczuła się jak w domu. Nie zapytała, czy Tomasz już jest, ale

szybko zrobiła przegląd aut na parkingu. Samochodu Tomasza nie było. Igor zabrał jej walizkę z rąk.

– Już nie jestem kaleką – poinformował i chwycił za plecak. – Chodź, rozgość się w waszym pokoju, a ja zrobię śniadanie, i opowiem ci, co tu się u nas dzieje. Dynamika, dynamika sezonu, Lilka!

„W waszym pokoju” – to brzmiało pięknie. Była zbyt znużona, by się martwić. Obmyła twarz, głowa znów ją lekko bolała, pewnie od drogi, otworzyła okno. Wydało się jej nagle, że widzi jakąś postać, mgły układały się w osoby, a może ktoś przemykał przez ogród? Wychyliła się mocniej, ale nikogo nie było. „Niemożliwe – szepnęła – znów moje omamy”. Zeszła do jadalni. Usiadła przy ladzie, by nie odrywać Igora od pracy. Przyniósł pachnącą boczkiem jajecznicę i przysiadł się na chwilę. Patrzył, jak chętnie je, i opowiadał, opowiadał, opowiadał.

– Polska teraz modna – mówił z zapałem, a gestykulował przy tym jak prawdziwy Włoch. Zauważyła, że jeszcze podciął włosy, nie dały się związać w kucyk, ciemne spirale spadały mu na czoło. – A nasze tereny zupełnie nieodkryte. Od początku wakacji mam zajęte pokoje. Rowerzyści, rybacy, kajakarze. Lilka, wszyscy zawsze mówili, że jestem głupi wizjoner, a zobaczysz: na przyszły sezon wybudujemy jeszcze dwa obiekty hotelowe. Mam teraz dziesięć osób w kuchni i na pokojach. Marzę o koniach, ech, popatrz tylko, czy to nie miejsce na stadninę?

Oczy błyszcząły mu od tych marzeń. Nalał Lilce czarkę słodkiej wódki. Wychyliła i przyjemne ciepło rozlało się jej po brzuchu.

– A będą jeszcze koncerty – rozpędzał się Igor – wybudujemy scenę, amfiteatr! Zobaczysz, za kilka dni, jak tu się ludzi najedzie. Lipcowe Święto Śledzia, smakołyki regionalne, muzyka i wiejskie tańce do rana!

– Naprawdę? – roześmiała się. – Cóż to takiego Święto Śledzia? Nigdy nie słyszałam...

– Nowa słowiańska tradycja! – odpowiedział jej przyjemny i jakże znajomy, niski głos, za którym tak tęskniła. Ktoś zaszedł ją od tyłu, dziecięcym gestem zasłonił jej oczy rękoma, ale nie musiał mówić: „zgadnij, kto?”. Zdjęła te ręce z powiek i odwróciła się gwałtownie. Stał za nią Tomasz, uśmiechnięty, z radością w oczach, stęskniony. Wszedł cicho, nie widział nikogo oprócz niej, chociaż siedziała tyłem do drzwi, miała inne włosy, ale tak samo pochyloną głowę, znajomą linię pleców, ten sam gest rąk na filiżance. Poznałby ją w każdym miejscu świata.

– Według tej tradycji para, która zje razem śledzia, zostanie ze sobą już zawsze. – Nie bacząc na obecność Igora ani na zaciekawienie gości, pocałował Lilkę, odsunął na chwilę od siebie, zagwizdał z podziwem i znów przytulił.

– Zmieniłaś się – powiedział – masz inną fryzurę... Schudłaś, ale jesteś piękna jak zwykle.

Lilka pomyślała, że Bogu dzięki nie widział jej miesiąc temu. Od tego czasu akurat przytyła, i to znacznie, ale nie mógł tego wiedzieć. Wtuliła się w Tomasza mocno, nic nie mówiła, miała wrażenie, że to jest jej miejsce na świecie. Była szczęśliwa.

– I jak zwykle nic nie mówisz. – Roześmiał się. – Nie cieszy cię mój widok? Pójdziesz ze mną na Święto Śledzia?

– O tak! Wiesz, że tak – powiedziała cicho, a Tomasz patrzył na nią z ulgą i radością w oczach. I on bał się, że ona nie przyjedzie. On też tęsknił za tą chwilą.

Igor wrzeszczał coś w kuchni i machał rękami. Weszli następni goście, ktoś żądał klucza do toalety. Harmider wzmagał się, lecz Lilka z Tomaszem nie słyszeli niczego, stali przytuleni i poddali się śmiechowi, który ogarnął ich na powitanie. Lilkę zaniepokoiło tylko jedno: chciała tak stać tutaj z nim do końca świata, owszem. Chciała trzymać ręce na jego szyi i całować głowę, oczy, wtulać się w niego jak w to poczucie domu, które ją ogarnęło. Ale ani jedna komórka ciała nie czuła zmysłowych wibracji, po prostu nie miała ochoty się z nim kochać. Ze strachem pomyślała o nocy.

Najpierw usiłowała go oszukać. Kiedy znaleźli się sami w pokoju, Tomasz zamknął drzwi, zasunął zasłony, odwrócił się do niej. Tyle czasu na to czekała, a teraz poczuła, że ogarnia ją lęk. Umknęła z jego rąk. Rozebrała się szybko, sama, i ukryła się pod kołdrą, a kiedy przyszedł, szybko, nerwowo ogarnęła go ramionami i nogami, zaczęła poruszać się wyuczonym ruchem, zaciskając powieki i posapując, modląc się, by nie zauważył, że ona nic nie czuje. Wszystko działało się poprawnie, ale zupełnie nie narastało w niej podniecenie.

„Byłe jemu było dobrze, byłe jemu było dobrze” – powtarzała w duchu, wykonując mechaniczne manewry biodrami i intensyfikując sapanie. Tomasz gwałtownie zsunął się z niej i usiadł obok. Wydało się jej, że był zagniewany, ale sięgnął po papierosa i powiedział spokojnym głosem:

– Co się dzieje? Dlaczego się zmuszasz?

Lilka wahała się. Może lepiej udawać, że nie rozumie, o co mu chodzi.

Obrazić się? Spojrzała jednak w jego zaniepokojone oczy i rozplakała się serdecznie. Słowa wylały się z niej falą:

– Nie wiem, co się ze mną dzieje, Tomaszu. Wiele przeszłam przez te trzy miesiące. Tęskniłam, śniłeś mi się, Brałam... brałam leki, schudłam jak szczapa, teraz jest lepiej. Ale nie wiem, co się stało, nie mam chęci... Nie mam radości z seksu. Jestem jak skorupka. Tomasz, co będzie?

– Wariatka – powiedział tylko, ale czule. – Nigdy się do tego nie zmuszaj. Co ma być? Poleżymy sobie, a ty opowiedz mi, co się działo przez ten czas. Lubię zmuszać cię do mówienia. Do innych rzeczy nie chcę.

– A to? – zapytała, kładąc jego rękę na swoim pępku i ruszając znacząco biodrami. Tomasz roześmiał się.

– To przyjdzie, obiecuję. Teraz mów.

Mówiła, postanowiła powiedzieć mu prawie wszystko. O swoim życiu w mieście, wiecznych sesjach, świecie modelingu, ludziach i sceneriach. Jak nie afterparty, to biforki. Tam znane twarze, piękne stroje, cateringi i alkohole. I tęsknota. Tomasz, tęsknota za tobą i za innym światem. Siedzisz gdzieś w sercu największego miasta i słyszysz nagle szepty szuwarów... Błyskają flesze, a ty pytasz się w duchu, czy naprawdę jest gdzieś tam taki szmat zielonej ziemi, ludzie, którzy liczą gniazda bocianie, sprawdzają żeremia bobrów. I czemu ty jesteś tu, a nie tam?

Powiedziała o przyjaźni z Wojem, ich Wielkim Pokazie, na którym królowała Marianna. Rozwodziła się o jej urodzie, zniknięciu, zerkając na twarz Tomasza. Nie dał poznać nawet jednym drgnieniem mięśnia, że zna kogoś takiego, że cokolwiek o tym wie, że tam był. Nie dopytywała. Opowiedziała o byłym mężu, o sesji łazienkowej, włamaniu i szukaniu psa. Zesztywniał i przygarnął ją do siebie, jakby się o nią przestraszył. O wiecznych bólach głowy, zmęczeniu, o amfetaminie, która pomagała, zabrała jej apetyt, ale dała życie w ciągłym podnieceniu, i o tym, jak Woj zobaczył, jak zanika jej ciało, i zmusił ją do odwyku. „Kupię mu za to galon whisky” – szepnął wtedy. O tym, że zaczęła znowu jeść, pracować, marzyć o spotkaniu, znowu o ptasim albumie, no i o tym, że jakaś przestrzeń w jej głowie zamknęła się nagle na pożądanie. Bez analiz, co Tomasz powie i co pomyśli, opowiedziała nawet o słabych doświadczeniach z mężczyznami, o tym jak pierwszy chłopak krzyknął jej: „to twoja вина”, a były mąż: „drewniana lady”. „Głupcy”. – Tomasz uśmiechnął się w ciemności. – A ty – ciemniaczka”. Obnażyła przed nim całą prawdę o sobie. Ukryła tylko dwie rzeczy: fakt, że

nie dotrzymała słowa i jednak szukała go w Warszawie. I o próbie miłości z Marianną. Bała się, że uzna to za zdradę albo ją za lesbijkę, nie chciała tego... Za to przyznała się do sfotografowania Domu Dróżnika. Tomasz westchnął.

– Nie wolno lekceważyć starych legend – powiedział. – Tak przynajmniej myślę. Dom Dróżnika to niebezpieczne miejsce i takie było zawsze.

– Nie ma przeklętych miejsc ani ludzi – zaprzeczyła. – To tylko głędy i zabobony. Albo taka celowa atmosferka pod turystów.

– A jednak! – Tomasz oparł się o ścianę. Lilka przewróciła się na brzuch i z przyjemnością patrzyła na zarys jego postaci w mroku. – Może przemawia przede mną pisarska żyłka, ale nie tylko o kasę tu chodzi. To miejsce przesiąkło kiedyś strachem. Rozpaczą. Wybrali je sobie źli ludzie do matactw i zbrodni, myślisz, że to nie ma znaczenia?

– Tomasz, jak tak mówisz, to dreszcz biegnie mi przez plecy. A przecież to odludne miejsce, po prosu bagna. Wygwizdów, nikogo nie ma, najbliższa wieś za dziesięć kilometrów. Dlatego...

– Może. Ale tu kiedyś handlowano kradzionymi końmi, potem był punkt przerzutowy dla kradzionych samochodów. Tu zabito mojego brata. Tu pewna dziewczyna ze wsi wkręciła się w jakieś ciemne sprawy z siatką przestępczą, potem zaginęła, nikt jej nigdy nie odnalazł. Jedni mówią, że związała za granicę, inni, że leży na dnie bagien. Teraz ten chłopak... Stasiek.

– Właśnie. – Lila ożywiła się, uniosła na łokciach. – Na pewno zginął? Ja go widziałam. Wczoraj, laźł za stodoły...

Tomasz znieruchomiał i milczał przez chwilę. Potem szepnął:

– To niemożliwe, Lilko, może faktycznie masz przywidzenia.

– Może. A wtedy w tej chacie, kiedy widziałam jego i jakiegoś siwego faceta, handlowali jakimś proszkiem, to też przywidzenie? Mam to przywidzenie na fotkach. – Chciała dodać, że przywidział się jej również Jamroz na pokazie obok Tomasza, ten jednak gwałtownie przysunął się do niej, obrócił ją na plecy i chwycił za przeguby rąk.

– Lilko, błagam cię – powiedział – to brudne sprawy, niebezpieczni ludzie. Zapomnij, zniszcz zdjęcia. Nawet jeśli nie duchy tego miejsca, to żywi ludzie mogą się mścić. Proszę, zrób to dla siebie, dla mnie, dla nas. Puścił jej ręce, bo zbieleły, westchnął.

To „dla nas” zabrzmiało tak obiecująco, że Lilka objęła go i pociągnęła na siebie. Tomasz przyjął ten gest za zgodę i obietnicę, pochylił się nad jej

twarzą, usłyszał: „pójdę z tobą jutro na to wariackie Święto Śledzia”, odpowiedział pocałunkiem i z nadzieją na próbę oswojenia sięgnął pieśczośliwie do jej piersi. I w tym momencie zorientował się, że Lilka śpi kamiennym snem, a nawet pochrupuje.

– Gdybym był mniej zarozumiały, wpadłbym w kompleksy – mruknął z kwaśnym uśmiechem i zasnął obok.

*

Niedziela ze Świętem Śledzia zapowiadała się gorąca i duszna. Lilka spała długo, po przebudzeniu poczuła zapach kawy i grzanek, pies wskoczył z impetem na łóżko, oparł łeb na jej kolanach i uciał sobie drzemkę. Zrozumiała, że Tomasz zadbał o śniadanie i spacer Borsuka. Teraz był tu obok, realny, namacalny, na pewno był, bo skubnęła go w ramię. Posmarował jej grzankę miodem, sam delektował się swoją, zachwalał jej smak i snuł plany.

– Musisz dojść do siebie po tym wszystkim – mówił wesoło. – Posiedź tutaj na Podlasiu z miesiąc. Ja wprawdzie muszę wyjechać, ale tylko na parę dni... Jak wrócę...

– Nie wiem, czy mi starczy kasy. – Ziewnęła i zarumieniła się na wspomnienie niewinnej nocy.

– O to się nie martw – powiedział Tomasz – jesteś moim gościem.

Rumieniec Lilki przeszedł w pąs.

– Jak to? – szepnęła. – To znaczy, że co?

– No proszę. – Tomasz roześmiał się. – Nie jesteś jednak zepsuta miastem do szpiku kości. Zawstydził cię taki mały sponsoring! Brawo. To znaczy tylko tyle, że mam tu u Igora bezpłatny pokój, właśnie ten. Można powiedzieć własny. Czuj się jak u siebie w domu. Bez zobowiązań... przynajmniej do czasu Święta Śledzia. – Usiadł przy niej na łóżku. Patrzył niby żartem, ale jakaś powaga kryła się w spojrzeniu tego mężczyzny o przystojnej twarzy, przeciętej bruzdą po dawnych zmartwieniach. – Wiesz, że taka przysięga pary nad śledziem to swoiste zaręczyny?

Nie wiedziała, ale przytaknęła, bardzo zadowolona.

*

Nigdy nie była na wiejskiej imprezie tego rodzaju. Pamiętała z dzieciństwa odpusty w parafii rodziców, tu było trochę podobnie, wata cukrowa na patykach i czerwone koła lizaków, większe od buzi dzieci. Ale straganów było więcej, a na nich nie tylko odpustowe koguciki z cukru i koraliki, lecz towary regionalne, które ściągnęły licznych gości z miasta. Miody, pieczone w wiejskich piecach chleby, wędliny, grillowane kiełbaski, pajdy chleba ze smalcem – zapachy mieszały się w dziwną woń imprezy, dominował typowy zapach grilla. Lilka z Tomaszem wybrali się na festyn po południu, po kąpieli w rzecznej zatoce za lasem. Tłumek narastał niespiesznie, bo, jak poinformował ich Igor, ludzie muszą popowracać z kościoła, zrobić obrządek i dopiero zaczną napływać na rozległy plac za Darzborem, żeby zjeść coś, kupić, plotkować i tańczyć. Na razie z megafonów dudniła muzyka w gatunku trudnym do określenia: raz przypominała disco polo, innym razem dawne hity Abby. Panie z miasta chciwym okiem oglądały obrusy i koronkowe firany, Lilka z kolei starocie: naczynia i łańcuszki przedwojenne, pożółkłe książki. Czy takie właśnie znajdowały się na półkach w przedwojennych dworach rodzin podlaskich? W Domu Dróżnika? Obserwowała ludzi, niektórym chętnie wykonałaby indywidualne fotografie. Co za różnorodność typów! Łazili od stoiska do stoiska, targowali się, popijali piwo z kufli. Igor zamówił dziesięć dodatkowych beczek, sam uwijał się jak w ukropie, bo po koncercie ludowego zespołu miał odbyć się bankiet w altanie, a potem konkursy, w tym słynne smakowanie śledzia, przemówienie wójta i tańce do rana, jak na weselu. Lilka fotografowała wszystko, na co miała pozwolenie, girlandy nad sceną, fioletowego cadillaca z lat sześćdziesiątych, starą bryczkę i żurawia przy studni. Te atrakcje specjalnie pożyczono w zaprzyjaźnionym muzeum i ściągnięto dla zbudowania klimatu, jak poinformował ich chłopak z gminy, który zajmował się organizacją świąteł i muzyki. Z podziwem patrzyła na Tomasz; różnił się od innych ludzi wyglądem i zachowaniem, ale czuł się tutaj jak ryba w wodzie. Swobodnie zaglądał do garów przy straganach, czarował baby przy serach, próbował ogórków, zachwalał ciasta drożdżowe. Dużo się śmiał. W zielonkawym stroju safari, jasnowłosa, opalony, w ciemnych okularach oparł się o cadillaca i wówczas zrobiła mu piękne zdjęcie. Wyglądał filmowo, wzbudzał zainteresowanie kobiet. Lilka zauważyła to z satysfakcją, zerkały zazdrośnie, gdy objął ją ramieniem i prowadził od stoiska do stoiska, jakby mówił im: jestem zajęty, a ta pani jest ze mną. Jeszcze raz podziękowała w duchu Wojowi za nową fryzurę, fiolet na powiekach,

piękne paznokcie i dobór garderoby. Było gorąco, szła u boku Tomasza w czerwonej, lekkiej sukience i takiej samej przepasce na włosach. Miała świadomość, że oboje wyglądali atrakcyjnie, prowokowali komentarze i budzili zazdrość. Nie martwiło jej to, przeciwnie, bawiło, czułaby się znakomicie, gdyby nie powracające zawroty głowy, lekki ból w skroniach. Czemu ją dręczył? Zastanowiła się. Przecież jadła dzisiaj śniadanie i piła tylko kawę, soki. Upał, widocznie upał mocno jej doskwierał.

– Usiądźmy w cieniu – poprosiła Tomasza. Popatrzył na nią z niepokojem.

– Przyniosę ci tutejszego żuru – powiedział – z pieprzem i chrzanem, stawia na nogi konie pociągowe.

– Może zimne piwo? – zaproponowała przekornie. Tomasz jednak pokręcił głową.

– Przed nami moc atrakcji – rzekł tajemniczo – nie chcę, żebyś padła pod ławę przed dziesiątą. Oparła się o niego, myśląc, co to za atrakcje ma na myśli, bo mimo wszystko chyba nie konkurs lokalnych chórów ludowych.

A występ pierwszego chóru, Podlaskie Maki, właśnie się zaczął. Konferansjer w granatowym garniaku zapowiadał kolejne zespoły, jąkał się nieco, wspomagając się kartką i w mikrofonie co chwila odzywały się bolesne piski. Na scenę wchodziły kobiety w kolorowych strojach, w chustkach na głowach i trzymając się pod boki, gromko śpiewały rubaszne ludowe czastuszki o miłości. Z przytupem i refrenem: „hej, dana”. Lilka, obdarzona wyczuciem muzycznym, początkowo ledwie powstrzymywała śmiech, Tomasz jednak wydawał się rozbawiony i zainteresowany. Musiała przyznać, że tutaj ów zaśpiew brzmi dobrze i porywa ludzi do tańca. Samochody nie mieściły się już na parkingu wyznaczonym na łące pod lasem i sznur aut ciągnął się wzdłuż wąskiej szosy. Właśnie zespół Podlaskich Maków zadowolony zszedł wśród braw ze sceny, a weszła na nią dziewczyna z Białorusi, z jasnym warkoczem po pas, w białej sukience. Za nią chłopak z instrumentem, którego Lilka nie umiała nazwać. Zabrzmiały pierwsze dźwięki i dziewczyna zaśpiewała. Wysoki głos, piękny, liryczny, oczarował ludzi. Na chwilę wszyscy zamilkli, a tłum wokół sceny zgęstniał.

– Aj, rety – szepnęła Lilka – panna jak Dunia ze starej ruskiej bajki. Ależ ona ma głos! Powinna śpiewać w La Scali.

– Nie jest z bajki – powiedział Tomasz – jeździ z bratem po kościołach, śpiewa na takich imprezach i sprzedaje płyty. Jest z biednej przygranicznej wsi białoruskiej.

Lilka zapatrzyła się i zasłuchała. Przytulona do ramienia Tomasza nie zauważyła, że przez tłumek przedziera się ku nim ktoś znajomy. Ten ktoś także odróżniał się od obecnych: żółta koszulka, kolorowe bermudy, jasny czub na podgolonej głowie i zbyt błękitne oczy. Lilka akurat popatrzyła w jego stronę, machał rękami.

– Woj! – zawołała. – Woj Wu. Czy wy się znacie? – zapytała Tomasza.

– Masz na myśli tego geja? – Tomasz popatrzył znad okularów, a Lilka otworzyła ze zdumienia usta. Tomasz pokręcił głową. – Nie, nie znam go, chociaż mam wrażenie, że gdzieś...

– Woj Wu – przedstawiał się Woj, który właśnie do nich dotarł i serdecznie uściskał się z Lilką.

– Tomasz Słowicki.

– Aha. – Woj mrugnął okiem do Lilki z arcydyskretną miną, która miała mówić, TEN Słowicki – to pan... mam wrażenie, że gdzieś...

– Właśnie, ale gdzie?

– Wszystko jedno – rzekła uradowana Lilka. – Skąd się tu wzięłeś, nie jesteś już w Paryżu? Jak sesja, jak pokazy?

– Spoko, kobieto! – Woj roześmiał się. – Wczoraj wróciliśmy. Oczywiście sukces, a Igor mówił mi wcześniej o tym tutejszym święcie... Nie mogłem sobie odmówić.

– Ciekawe, gdzie będziesz spał – zaniepokoiła się Lilka. – Darzbór wypełniony po brzegi.

– Coś się wymyśli – powiedział z uśmiechem. – Idę przywitać się z Igorem.

– Ach, on dwoi się i troi, ma dziś taki ruch – powiedziała Lilka.

– Chętnie pomogę. – Woj zaśmiał się, a Tomasz patrzył za nim zamyślony. Nareszcie zaczął zapadać wieczór i upał nieco zelżał. Przygotowano słynnego śledzia dla par, muzyka zapraszała zakochanych do stołu. Na drewnianych ławach zasiadło kilka chichoczących dziewczyn, po drugiej stronie grupka chłopaków. Tomasz pociągnął Lilkę za rękę, umieścił ją wśród pań, sam zajął miejsce naprzeciw niej, po męskiej stronie. Ten sam młodzieniec, który prowadził konferansjerkę, znalazł się teraz tutaj i rejwodził, pokrzykując w mikrofon. Kiedy wrzasnął: „start!”, wszyscy rzucili się do śledzia, mężczyźni karmili swoje partnerki. Wianuszek ludzi dookoła bił brawo, każdy skandował inne imię, więc powstał harmider. Lilka zmobilizowała siły. Od dziecka lubiła śledzie, a ten był pyszny. Mogła zjeść beczkę takich śledzi. Delikatne dziewczyny ze wsi krztusiły się, a ona pałaszowała ze smakiem.

Tomasz szybko podał jej ostatni kawałek i krzyknął: pierwsi! Pochwycił ją na ręce, zakręcił i pocałował, tłum bił brawo.

– Teraz według bagiennych praw jesteś tylko moja – szepnął jej do ucha. – Musieli wypić toast ostrą wódką i rozbić kieliszki o kamienie. Wypiła duszkiem.

– Chcę być twoja – odpowiedziała i rzuciła kieliszek. Rozbił się w drobny mak. – I chcę jeszcze tego śledzia.

– A ja – oznajmił Igor, który nagle wyrósł obok nich, wysoki i błyszczący białą koszulą – funduję zwycięzcom ślubne przyjęcie w Darzborze! Tomasz popatrzył na niego z kpina, ale skłonił głowę w podzięcie. Woj obok Igora bił brawo jak szalony. Tomasz porwał Lilkę do tańca na scenie – akurat zespół grał coś wolniejszego i romansowego – i przytulił ją do siebie. Lilka przymknęła oczy. Chciałaby, żeby ta noc się nie kończyła, chciała powiedzieć: „trwaj chwilo”, ale już wiedziała, że nie wolno kusić losu.

– Słuchaj – zapytała – czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy może ty wcale nie przyjechałeś, a ja z rozpaczy wzięłam jakieś prochy i śnię to wszystko jak baśń?

Tomasz roześmiał się, przytulił ją jeszcze mocniej. Czowała jego dotyk i zapach, więc raczej istniał. Teraz muzyka przyspieszyła, ludzie biegli w korowodzie dookoła altany, porwali ze sobą Lilkę i Tomasza, potem tłum ich rozdzielił. Wirowała w tańcu z jakimś wiejskim chłopakiem, cały świat kręcił się i płynął, pewnie od tej wódki. Pochwycił ją do tańca ktoś z miejskich gości, strasznie śmierdział piwem, brakowało jej tchu. Gdzie był Tomasz? Znowu przestraszyła się, że to wszystko tylko majaki, kiedy dostrzegła go, jak zbliża się, by odbić ją do tańca. Las wirował, budynki i drzewa tańczyły z ludźmi. Wyciągnęła do niego ręce, ale cały ten świat ogarnęła dziwna ciemność...

*

Obudziła się w szpitalnej sali. Otworzyła oczy, biały sufit zachwiał się, ale nie spadł. Głowa nie bolała, tylko dół brzucha, strefa kobieca, niezbyt mocno. Zamrugła oczami i siedząca obok młoda pielęgniarka podniosła alarm.

– Budzi się, doktorze, budzi się!

Pochylił się nad nią jakiś starszy mężczyzna w białym fartuchu. Pytał

o sprawy kompletnie nieistotne: czy może ruszać palcami u nóg? U rąk?

– Po co komuś palce, jeśli skaleczono mu serce? – zapytała albo zdawało się jej, że pyta. Więc to wszystko nieprawda, jej wymysł. Nie było Darzboru, Święta Śledzia, dziwnych oświadczyń Tomka, nic nie było, tylko delirium, dewiacje mózgu po narkotykach, a ona leży w psychiatryku...

– Proszę zmienić pościel i zawołać doktor Izę z położnictwa – powiedział lekarz do pielęgniarki. Krwotok wrócił. Lilka uniosła kołdrę. Plama krwi powiększała się koło ud i bioder. Personel zaczął biegać, siostra podłączyła kroplówkę, przybiegła kobieta w bieli, wydała dyspozycje. Pielęgniarki ciągnęły gdzieś jej łóżko, kroplówka kołysała się coraz bardziej. Znowu zasnęła. I znowu się przebudziła, nieświadoma, że minęła cała noc i pół dnia.

– Pani Alicjo – mówił lekarz. – Alicja Gajewska to pani? Tak? Co pani pamięta?

Lilka kiwnęła głową, ale powiedziała:

– Sama nie wiem, czy to ja. Wszyscy mówią do mnie Lilka. – Lekarz uśmiechnął się. – Pamiętam tańce i wiejską imprezę. Pamiętam Święto Śledzia. To było czy nie było?

Lekarz popatrzył zdziwiony. Myślał o czym innym, bynajmniej nie o tym, czy wiejska hulanka, z której pogotowie przywiozło tę kobietę na sygnale, zdarzyła się naprawdę.

– Tak, oczywiście – powiedział – jeszcze jest pani pod wpływem narkozy. Jesteśmy w szpitalu wojewódzkim w Białymstoku. Podczas tańca upadła pani i straciła przytomność. Niestety, nastąpił też krwotok ginekologiczny. Straciła pani dziecko, bardzo mi przykro.

Lilka patrzyła na niego jak na szaleńca.

– Nie, nie – pomyślała – to znaczy tak: śledź był naprawdę, a to mi się śni! Mówi pan przecież, że narkoza, doktorze. Jakie dziecko? – Lekarz wziął ją za rękę.

– Czy pani wiedziała, że jest w ciąży? Widzę, że nie. To był jakiś koniec trzeciego miesiąca. U kobiet o pani budowie ciała jest zawsze zagrożona...

Lilka patrzyła w te szare oczy za okularami, potem w sufit. Przypomniała sobie swoje życie podczas ostatnich trzech miesięcy. Miłość z Tomaszem. Brak miesiączek, no tak. Potem ten spadek apetytu na seks. Idiotka, to proste wyjaśnienie nie przyszło jej do głowy. Narkotyki, alkohol. Głodówka. To i tak nie mogło się udać. Zmarnowała swoje dziecko. Łzy jak grochy zaczęły płynąć jej po twarzy.

– Proszę coś powiedzieć. – Lekarz patrzył pytająco. – Proszę nie płakać, nie chciałbym dawać pani więcej leków... Poronienia się zdarzają, będzie następna ciąża, tylko musi pani o siebie dbać. Tam, w poczekalni, czeka trzech dziwnych, zamartwionych mężczyzn. Czy któryś z nich jest ojcem? Poprosić? Pani sama powie? Kiwnęła głową.

Lekarz wyszedł na korytarz, gdzie siedzieli zdesperowani Tomasz, Woj i Igor. Tomasz wciąż przeżywał ten moment, kiedy szedł do niej, a ona, popchnięta przez tłum, zniknęła i upadła. Ta czerwona plama na ziemi. Lekarz zapytał o męża pani Alicji, Tomasz wstał naturalnym odruchem i poszedł za nim. Usiadł przy Lilce. Cały czas cicho płakała. Woj i Igor wsunęli się nieśmiało do sali. Tomasz przytulił ją mocno, płakała w jego koszulę.

– Nie wiedziałam – powiedziała tylko – nie wiedziałam, że jestem w ciąży. I widzisz, to dlatego tak smakowały mi te śledzie. Straciłam nasze dziecko, Tomasz.

Teraz płakali wszyscy: pacjentka, Tomasz, Woj i Igor, a nawet lekarz otarł kroplę spod okularów. Lilka zrozumiała, że nic się jej nie śniło i tak jak przed chwilą szczęście, tak teraz tragedia dzieją się naprawdę. I że naprawdę musi się z nimi zmierzyć.

*

Tomasz mógł zabrać ją ze szpitala po kilku dniach. Postanowili, że zostanie w Darzborze, który już ścichł po szumnej imprezie, znów wydawał się zaczarowanym domostwem w odległej od miast puszczy. Turyści zajeżdżali codziennie, opowiadali o trasach rowerowych, o spływach tratwą, brali Lilkę za tutejszą, czasem za gospodynię zajazdu. Nie zaprzeczała. Kiedy mogła już chodzić na spacer, wyruszali z Tomaszem na krótkie włóczęgi. Obaj: Tomasz i Woj, prosili ją, by nie chodziła sama po bagnach. Dni snuły się teraz powoli, Tomasz nie wyjeżdżał, Borsuk bardzo cieszył się z takiego obrotu spraw, a Lilka fizycznie czuła się coraz lepiej, nabierała nawet wagi, bo Igor bardzo dbał o jej posiłki. Doskwierał jej tylko – albo aż – dojmujący ból w sercu, ilekroć pomyślała o dziecku i o własnej głupocie. Lato mijało, ona natomiast nie chciała zajmować się przyszłością, podejmować decyzji o powrocie. Obok niej działy się rzeczy cudowne: bociany karmiły pisklęta w gniazdach, Woj z Igorem prowadzili długie dysputy, potem Woj wyjechał, a przyjechała

pani Barbara i naradzała się nad czymś z Tomaszem. Nie obchodziło jej to, aparat spał w szufladzie. Najchętniej siadywała na zwałonym pniu za domem, głaskała łeb Borsuka albo obejmowała kolana ramionami i kołysała się jak osierocone dziecko. Pewnego dnia Tomasz przysiadł się do niej i objął ramieniem.

– Lilko – powiedział – minęły trzy tygodnie od tej strasznej nocy. Muszę jechać do miasta, zobaczyć, jak tam działa beze mnie wydawnictwo.

– Już trzy? – zapytała. Pomyślała, że przecież nie ma żadnego wydawnictwa, ale jakie to ma znaczenie. Wyrwała trawkę, pogryzała ją zamyślona. – I ja powinnam jechać. Nie ma ze mnie tu pożytku, nie płacę, mało pomagam. A tam, wyobraź sobie: sesje mody, odkrycia sezonu: choćby nowy fason buta. Wielki świat.

– Posłuchaj. – Wziął ją za rękę. – Chciałbym, żebyś tu jeszcze została. Świat, o którym mówisz, nie jest twój ani mój. Przeciwnie, tu szukałaś swojego miejsca. Teraz jest znakomity czas na fotografowanie bagien i ptaków, zanim odlecą. Muszę... muszę zamknąć pewną sprawę, a potem razem pojedziemy do miasta, wydamy twój album i wrócimy. Co ty na to? Poczekaj tu na mnie tydzień.

– Sama nie wiem, gdzie jest mój świat – powiedziała smutno. – Tak mnie to wciąż boli. – Położyła jego rękę na płaskim brzuchu. – Mógłby być teraz jak mała piłka. I co?

Tomasz westchnął. Bardzo przeżył cały wypadek, przestraszył się o nią, ale wszystko, co się zdarzyło, utwierdziło go w mniemaniu, że ta oto Lilka Gajewska jest dla niego najdroższym człowiekiem na świecie. Pocałował jej palce.

– Kochana Lilko – powiedział. – Nawet nie wiesz, co by to dla nie znaczyło. Mam czterdzieści pięć lat i odkąd straciłem brata, jestem na świecie sam jak palec. I pojawiaasz się ty, ze swoją małomównością. Namiętna, piękna. I dziecko. Wiesz, czym byłoby dla mnie? Straciliśmy je oboje, Lilko.

– Wiem – szepnęła – tym bardziej boli.

– Lilko – powtórzył – nauczyło mnie życie, żeby zawsze iść do przodu. Jeśli udało się raz, uda nam się drugi. Będziemy jeszcze mieli dziecko.

– Jak? – Lilka roześmiała się przez łzy. – Te trzy tygodnie to był najbardziej platoniczny i ascetyczny romans, jaki mnie w życiu spotkał. Pierwsza noc, sam wiesz, potem szpital... Ani razu się nie kochaliśmy...

– Cierpliwości, wszystko przyjdzie, jeszcze lepiej... Słyszałaś

o Tobiaszowych nocach? Mówię ci, poczekaj na mnie tydzień.

– Poczekam, ale już tęsknię za tobą, Tomaszu – szepnęła. – Za twoim ciałem. Chcę, żebyś też tęsknił.

Pociągnęła palcem po jego brzuchu, rozpięła mu koszulę i wtuliła twarz w złocisty puch na piersiach, przebiegła ustami po sutkach. Dreszcz przebiegł przez oboje, ale przytulali się tylko i pieścili przez ubrania. Lilka z zadowoleniem poddawała się jego rękom, bo chociaż wiedziała, że za wcześnie dla niej na seks, to z zadowoleniem witała ciepłe fale przyjemności, które ogarniały ją, gdy Tomasz masował delikatnie, przez ubranie, jej intymniejsze zakamarki. Ona wkradła się dłonią pod jego spodnie i pozwalała sobie na coraz więcej, z radością widząc, że prowadzi go do rozkoszy, że poddał się jej rękom, całował piersi przez bluzkę. Nikt im nie przeszkadzał w tej cichej i niedokładnej miłości. Lilka wiedziała już, że będzie za nim tęsknić, i wzmocniła swoje pieszczoty. W niej samej nareszcie, po raz pierwszy od tyłu tygodni, wezbrała fala pożądania. Gotowa była spróbować więcej, już teraz, zaczęła rozpinąć swoje lekkie szorty, Tomasz jednak zatrzymał jej ręce. Przycisnął ją mocno do siebie.

– Nie, jeszcze nie – powiedział – szkoda, żebyśmy znów popełnili jakiś błąd. – Wstał, pozapinał się i podał jej rękę. Lilka z uśmiechem nastolatki poprawiała bluzkę i włosy.

– Będę czekać z niecierpliwością – szepnęła – i nigdy już nie sfotografuję tego Domku Dróżnika. Skasuję stare zdjęcia.

– Już to zrobiłem – powiedział Tomasz – pozwoliłem sobie zajrzeć do twoich zbiorów i te skasowałem. Możesz mnie teraz zabić, ale nie zniszczyłem żadnych ptaków.

– Teraz cię zabić? Teraz, kiedy znów zatlił się ogień? Teraz właśnie nie! Musisz wrócić i dokończyć wszystkie swoje opowieści!

Roześmiani i objęci powędrowali do Darzboru. Tomasz wyjechał jeszcze tego dnia, całowała go mocno na pożegnanie w progu zajazdu, przy samochodzie, i kiedy siedział już za kierownicą. Ugryzła go, chciała mu zostawić na wargach ślad, rankę przypominającą o jej istnieniu. Potem zajęła się swoimi sprawami, przeglądała komputer, sprawdzając, co jej pokasował. Nie zauważyła, że obok niej Igor snuje się jak cień, z niemą rozpaczą w oczach. Dopiero po dwóch dniach, podczas których powrócił jej zapach do fotografowania lasu, po dwóch nocach, podczas których powoli wracały zmysłowe sny, kiedy wbiegła do kuchni z apetytem na śniadanie, zobaczyła, że

Igor snuje się po obiekcie jak widmo. Czyżby miał podpuchnięte oczy? Lilka nie była głupia. Skojarzyła kilka wspomnień, pierwszy swój przyjazd z Wojem, niespodziewaną wizytę Woja podczas Świąta Śledzia, jej głupie pytanie, gdzie będzie spał. I nagły wyjazd zagniewanego Woja. Więc to była prawda, Igor wolał mężczyzn. Tuż pod jej bokiem rozgrywała się jeszcze jedna historia miłosna, a ona, ona miała oczy tylko dla siebie. Mimo że Igor tyle dla niej zrobił, mieszkała u niego jak siostra. Mimo że tak długo przyjaźniła się z Wojem... Być może wyjechał stąd ze złamanym sercem. Igor trząsał garami, szykując obiad. Cicho wycofała się do pokoju, ale po spacerze, pod wieczór, kiedy prace w lokalu ucichły, zeszła do niego. Usiedli za ladą jak kiedyś.

– Co się dzieje, Igor? – zapytała. – Woj? Tęsknisz za nim?

Milczał, ale popatrzył na nią swoimi ciemnymi oczami z bólem i niechęcią. Zrozumiała, że tak. Wzruszyła ramionami.

– Może wystarczy zadzwonić? – zapytała. – Mam wrażenie, że przyjedzie natychmiast. On zerwał ze swoim poprzednim chłopakiem. A raczej Ksawery zerwał nim. Dla kobiety. Pięknej kobiety – dodała.

– Wiem – powiedział głucho Igor – powiedział mi. Nie będę dzwonił.

– To może ja? – zaproponowała. – Pewnie cierpi tak jak ty.

– Niech cierpi – powiedział głucho Igor. – Tacy jak my muszą cierpieć. To nie jest dobra miłość. Jak się domyśliłaś?

Lilka zaśmiała się, ale ciepło.

– Igor, Igor. Ja znam Woja od dawna. On wyczuł cię od razu. Ale to szczerzy chłopak, nie wiem, czemu mówisz takie rzeczy i z taką goryczą.

– Posłuchaj mnie. – Wypił kieliszek wódki do dna. – Odkąd zrozumiałem, że jestem taki, „inny”, jak u nas mówią, zapłaciłem wysoką cenę. Ojciec usiłował mi wybić „to” z głowy kijem. Matka rozpacziała, jakbym był mordercą. Może w twoim świecie, daleko, wygląda to inaczej. W moim to jest chore.

– I nigdy? Nigdy nie próbowałaś z kobietą? – Nie mogła się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

– Mieszkałem z dziewczyną rok. – Igor wypił drugi kieliszek. – Oszukiwałem ją. Nienawidziłem nocy z nią i siebie też nienawidziłem. Rozstaliśmy się.

Trzeci kieliszek. Lilka milczała.

– Potem uciekłem tutaj. Z mężczyzną, który był taki jak ja. Byłem

szczęśliwy całe dwa lata. Zapłaciłem zbyt wysoką cenę za uległość swojemu zboczeniu.

– Nie mów tak – powiedziała podniesionym głosem. – W jakich ty czasach żyjesz?

– Tak – powtórzył – zboczeniec, pedał. Mojego... partnera spotkał przez to zły los. Nie żyje. Nigdy więcej nikogo nie narażę.

– Więc odepchnąłeś Woja? Pojechał do Warszawy, bo go stąd wygoniłeś? – Lilka sądziła, że domyśliła się prawdy.

– O zbyt duże bohaterstwo mnie posądzasz. – Igor z goryczą wypił następny kieliszek, a głos już odmawiał mu posłuszeństwa i wyrazy nie sklejały się w logiczną całość. – Jestem człowiek. Znow pokochałem kogoś. Igor straceniec, zakochany pedał. Fe.

– Czemu nie?

– Jak to widzisz? – Czknął. – Myślisz, że taki jak ja nie czuje? Ja tu, on tam? Wiem, jaki to świat. Lilka, nie. Był tu i pojechał.

– Ale co się właściwie stało?

– Nie chciałem z nim wyjechać. Nie chcę go widzieć. Chcę, żeby nigdy tu nie wracał, nigdy. Nigdy!!!

Zachwiał się, ale złapał pion i pijanym krokiem poszedł do siebie. Lilka westchnęła, zamknęła wszystkie drzwi, zgasiła światła. Znow poczuła się tak, jakby zadbała o własny dom. To, że nie ona jedna jest nieszczęśliwa, nie pomogło uciszyć bólu serca i trzewi, który nagle powrócił. Ten pusty brzuch. „Tomasz wraca za cztery dni – pomyślała – muszę z nim o tym pogadać”.

*

Nazajutrz odebrała dwa telefony, z gatunku tych, które zmieniają ludzkie plany. Pierwszy urzędowy i niepokojący: z komisariatu policji. Drugi od Tomasza. Oba spowodowały, że znow spakowała plecak, aparaty i laptop, znow gwizdnęła na posmutniałego Borsuka i zeszła do kuchni pożegnać Igora. Ku jej zdziwieniu nie cierpiał po wczorajszej dawce wódki, nie narzekał na kaca, a nawet uśmiechał się do niej.

– Rigoletto nad ranem – wyjaśnił. Wywinęło mnie na drugą stronę, ale męki ciała przeszły. Może trochę i duszy. Dokąd to?

– Warszawa. Policja ma jakieś dziwne wyniki ekspertyzy po zbadaniu

mojego mieszkania. Prośli o spotkanie. Tomasz musi przedłużyć pobyt w mieście. Ech, znów mam poczucie jakiejś klątwy.

– Tomasz jest okej. – Wiedziała, że w popularnym skrócie zawarł swoje błogosławieństwo dla ich związku.

– Wiem. – uśmiechnęła się. – Już wystarczy tych nieszczęść, co? Ale widzisz, bieda nas zbliżyła, dziecko, którego nie ma, ale chwilę było. Połączyły się nasze losy... Tomasz dzwoni codziennie. Naprawdę musiał zostać, ale wrócimy razem, Igorze, jestem pewna.

Igor podszedł bliżej, pochylił się nad nią. Miał w oczach prośbę i ból.

– Proszę cię, Lilko – powiedział – tylko nie wtrącaj się moje sprawy. Nie rozmawiaj o mnie z Wojem. Dobrze?

– Okej. – Uścisnęła go na pożegnanie. – Ale jak wrócę... jak wrócimy...

*

„Gdybym jechała pociągiem, czekałby na mnie na peronie. Gdybym podróżowała stopem, z pewnością jechałby akurat jedną z podlaskich szos i zabrałby mnie z moim psem. Po prostu musielibyśmy się spotkać” – rozmarzyła się Lilka za kierownicą. Takie przeznaczenie. Miał taki przyjemny głos, nawet kiedy mówił nefajne słowa: „Muszę zostać w mieście jeszcze kilka dni... Poczekał”. Nadawał z zapalem o tym czekaniu, że natychmiast, kiedy tylko załatwi sprawy, będzie pędził Carską Drogą, dopóki nie powiedziała mu o telefonie z policji, że i tak musi przyjechać. Wówczas zamilkł, a po kilku sekundach, długich jak godziny, powiedział dziwnym głosem: „Uważaj na siebie po drodze, Lilu, uważaj, a jak będziesz po spotkaniu na komisariacie, zadzwoń”. Poczła się trochę urażona. Odkąd wyjechał, dzwonił kilka razy, przysłał ze sto SMS-ów, chociaż to były tylko dwa dni. A teraz, kiedy ona zbliżała się z każdym kilometrem do Warszawy, czyli do niego, nagle... chłodne „zadzwoń.” Przyznała się przed sobą: oczekiwała entuzjazmu i natychmiastowego spotkania. Może nie tego, że będzie stał w Markach, na rogatkach i czekał na jej auto, ale że zobaczy go jeszcze dziś... Humor popsuł się jej tak jak i pogoda. Zaczęło padać, świat poszarzał, a mokry asfalt połyskiwał złowieszczo. Tir z naprzeciwka wjechał w koleinę pełną wody i brudna fala spod kół olbrzyma uderzyła w szybę Lilki auta. Przez chwilę nie widziała świata, zaklęła brzydtko. Wycieraczki

pospiesznie odgarniały wodę, całkiem ściemniało i droga nagle wydała się jej inna, nieznaną. Dziwne małe domki o szpiczastych dachach, urwany wpół wiadukt, puste pola i chude drzewa jakby z obcej strefy klimatycznej. „O nie – szepnęła do siebie i do ewentualnych tutejszych nieznanymi sił rządzących losem – o nie. Przepraszam, że sfotografowałam zakazany Dom Dróżnika. Przepraszam, że wyśmiewałam klątwę, już wierzę we wszystko. Ale odpokutowałam i nie zgadzam się na żaden następny dramat. Wypadek byłby bardzo banalny, moje życie zasługuje na ciekawszą fabułę. Nie chcę się zgubić po raz drugi, to też już było. Nie poznaję tego terenu, bo zapada noc i leje deszcz. Jadę ostrożnie i nie będę zabierać żadnych autostopowiczów. Nie będę zatrzymywać się w podejrzanych zajazdach. W razie potrzeby tylko stacje benzynowe. Postanowione”.

Deszcz jakby posłuchał jej decyzji i zmniejszył siłę uderzeń. Zwolniła znacznie na zakrętach, których wcześniej tutaj nie było, i zrozumiała, skąd ta zmiana wyglądu terenu i szosy. Miała ona całkiem realną przyczynę: budowa trasy szybkiego ruchu Warszawa – Białystok postępowała żwawo, przesunęła się już z Zambrowa w stronę wschodnią. Boczna trasa, którą trzeba było jechać, przypominała slalom, ale obok na nasypie widniały nowe pasma asfaltu i fragmenty tuneli dla leśnych zwierząt. „Niedługo połączy się z odcinkiem w Jeżewie – pomyślała Lilka. – Jaka ja jestem głupia! Wszystko to moja pokręcona wyobraźnia!”.

Zrozumiała, czemu krajobraz wydał się jej egzotyczny: mijała przecież nie żadne fantastyczne domki Pigmejów, ale baraki robotnicze i konstrukcje wiaduktów. Nie poniszczony wicherem przestrzenie i kikuty konarów, tylko puste przestrzenie po drzewach wyciętych pod budowę. Kontury dźwigów i koparek przypominały w mroku grzbiety prehistorycznych jaszczurów. Otarła pot z czoła. „Myślałam, że już mnie wyleczyli, Borsuk! – powiedziała głośno, żeby usłyszeć swój głos. – Nawet głowa przestała mnie boleć od czasu tego szpitala, a tu nagle nawrót wizji czy co? Co myślisz, Borsuczku?”.

Ponieważ Borsuczek na dźwięk swego imienia jedynie walnął ogonem w siedzenie, co trudno było zinterpretować, i nadal spał błogo, włączyła radio. Złapała jakąś pobożną stację. Spiker kapłańskim głosem zapowiedział ulewę i złe warunki jazdy i zaprosił do różańca. Zmieniła program. Kobieta złowrogim, niskim głosem relacjonowała zdarzenia w kraju i na świecie, wszystkie ponure: wichury, wyrwane drzewa, zbrodnie, oszustwa, spadki wartości i kłótnie polityków. „Nie macie jakiejś muzy?” – Lilka, znużona,

sięgnęła do radia, ale głos kobiety ożywił się nagle. Oznajmiała światu, że policja we współpracy ze strażą przygraniczną wpadła na trop groźnej organizacji zajmującej się handlem narkotykami na międzynarodową skalę. To, co zainteresowało Lilkę, to informacja podana jakby poufnym tonem: specjalna jednostka policji odkryła sieć melin i magazynów w Białymstoku, Brześciu i Grodnie. Poszukują szefów ogniw i pozostałych miejsc spotkań na Podlasiu. Lilka omal nie krzyknęła, niechcący dodała gazu i wpadła w lekki poślizg, a potem wyprowadziła gładko samochód. Serce zabiło jej mocnej, ale myśl uciekła, bo za zakrętem ujrzała silne światła policyjnych aut i ambulansu, i kilka osób zgromadzanych na poboczu. Zatrzymała się, opuściła szybę, funkcjonariusz podszedł do niej z latarką i poświecił w oczy zupełnie jak w amerykańskim filmie.

– Proszę zjechać na bok, nie tarasować przejazdu – powiedział nakazująco.
– Fatalne miejsce – dodał – ciągle tu są wypadki, jak tylko spadnie deszcz albo śnieg. Ludzie za szybko wjeżdżają w zakręt.

– Tak, i ja omal nie wypadłam z szosy – powiedziała.

Cofnęła się w mrok auta. Policjant kierował na bok następny samochód, ustawiono blokadę, mimo nocy, systematycznie tworzył się korek, bo od Białegostoku nadjeżdżały kolejne auta. Usłyszała, jak policjant cierpliwie wyjaśnia po raz kolejny, że wypadek, że kobieta wpadła w poślizg i uderzyła w inne auto, które teraz odpowiednie ekipy wyciągają z rowu, że dla celów postępowania trzeba tymczasowo zablokować przejazd. Nie ma jak zrobić objazdu.

– Postoicie ze dwie godziny – rzucił do kierowcy z ponurą satysfakcją. – Chyba że zawrócicie na Jeżewo i dookoła na Łomżę. Lilka westchnęła. Postanowiła zawrócić... Powolutku wycofała się ze sznurka aut, dojechała do skrzyżowania drugorzędnych dróg i ruszyła ku stolicy przez Łomżę. Dojechała grubo po północy, ale już bez przygód.

*

Latem gorąca Warszawa jest okrutna. Wiatr od Wisły nie przynosi ukojenia, dziedzińce kamienic śmierdzą zlewkami i moczem, jakby wspomnieniami dawnych czasów i mieszkańców, którzy żyli tu bez kanalizacji. Lilka złorzeczyła w duchu, że właśnie teraz, kiedy nad Polską rozciągnął się

i zamarł kpiący z mieszcuchów wyż znad Afryki, śledczy zażyczył sobie przesłuchania. Żałowała trochę, że nie uległa namowom Igora i nie zostawiła psa w Darzborze. Ale obiecała sobie, że nigdy nigdzie go już nie zostawi, Borsuk znosił więc dzielnie gorące miasto. Ostatecznie jako kundel o wysokim stopniu zmieszania ras był odporniejszy na upał niż wielu jego rasowych kolegów, radował się bogactwem miejskich smrodów, a chłodne miejsce upatrzył sobie w łazience, najchętniej w wannie. Lilka zostawiła go właśnie w tym przybytku i wybrała się o umówionej godzinie na komisariat, zdziwiona nieco rangą, jaką komisarz prowadzący nadał sprawie. Ostatecznie było to włamanie jakich wiele, nawet niespecjalnie ją okradli. Zewnętrzny dysk, sam w sobie cenny, ale bez przesady, zdjęcia miała zdublowane, a jej skromnej biżuterii złodzieje nawet nie chcieli obejrzeć. A jednak śledczy, mężczyzna koło sześćdziesiątki, dobrze ubrany, w okularach, wydawał się mocno zatroskany.

– Pani Alicjo – powiedział poważnie – właśnie to, że tak naprawdę nic nie zginęło, świadczy o powadze sprawy.

Zabrzmiało tajemniczo. Lilka pomyślała: „Oho, trafił mi się wujcio pod tytułem: co to nie ja!”. Poprawiła się na foteliku, przygotowana na wykład.

– Co kradnie nam przeciętny złodziej? – zapytał komisarz tonem przemądrzałego profesora z ogólniaka. – No proszę, co? Nie wie pani i słusznie, no bo skąd. Otóż przeciętny złodziej, Leon z Ząbek, nie zawodowiec, tylko taki tam... on, proszę pani, kradnie sprzęt. Laptop kradnie, telewizor, komórkę, chwyci sokowirówkę czasem, z reguły jednak coś, co łatwo sprzeda. On, proszę pani, jak ma zbyt, to kradnie zegarek, pierścioneł, łańcuszki. U pani nic z tego. Psa zwykły kolo w łeb rąbnie i nie zabiera. Pani psa uspioło w sposób wyrafinowany i wywieziono poza granicę dzielnicy. Wniosek: to nie Leon, to inny zawodowiec. – Zadowolony ze swojej gry słów i aluzji komisarz przypomniał sobie, że powinien się przedstawić. – Wiktor Lubecki jestem, komisarz śledczy, starszy specjalista do spraw narkotykowych. Starszy nie tylko wiekiem, ha!

Lilka popatrzyła na niego zdziwiona. Spec od narkotyków przy zwykłym włamaniu?

– Dziwi się pani? – Lubecki zdaje się lubił robić wrażenie na kobietach. – No właśnie. Funkcjonariusze, którzy dokonali wizji lokalnej, także byli zdziwieni. Żadnych odcisków palców, perfekcyjna robota, jakby kradziono tam renesansowe dzieło sztuki i do tego.... – Tu komisarz zawiesił głos, uniósł

palec wskazujący i chwilę świdrował Lilkę ognistym wzrokiem – do tego znalezisko jak na takie, proszę wybaczyć, typowe mieszkanie, niezwykle: próbki trucizny. Pani Alicjo, nie zdziwię się nerwom, ale ktoś chciał panią otruć.

Zadowolony z wrażenia, jakie uczyniło jego szokujące wyznanie, poddał się ciszy, usiadł za biurkiem w milczeniu i kiwał się chwilę na krzeselku. Lilka pomyślała, że to jakaś komedia absurdu, facet zaraz wywróci się z hukiem, a ona obudzi się w Darzborze w ramionach Tomasza.

Ale komisarz nie wywrócił się, przeciwnie, zerwał się z krzesła i pochylił się opiekuńczo nad oniemiałą Lilką.

– Dlatego potrzebowaliśmy pani pilnie tutaj. Przesłuchamy, zbadamy, poszukamy. Musi pani teraz pomóc, pomóc, bo sprawa jest gruba. Nie bez przyczyny – dodał, zniżając głos – nie bez przyczyny akurat ja ją prowadzę. Trucizna oparta na silnym środku odurzającym, a w pani środowisku, jak wynikało z przesłuchań świadków, pojawiły się jak grzyby po deszczu osoby związane ze światem przestępczym.

„Witold Jamroz – pomyślała – Jamroz, morderca kelnera, sponsor i prześladowca Marianny. Truciciel?”

– A także – głosem już bardziej znużonym ciągnął komisarz – przebywała pani ostatnio kilkakrotnie w miejscu o nazwie... – Tu sprawdził w papierach, jakby nie pamiętał. – Darzbór, około trzydziestu kilometrów od Goniądza, w województwie podlaskim. Tropimy na Podlasiu ślady działalności zorganizowanej siatki przestępczej zajmującej się przemytem i handlem zakazanymi środkami farmaceutycznymi. Rozumie pani, to się wiąże.

Lilka kiwnęła głową.

– No. A teraz... – Lubecki wymierzył w nią palec, jakby wskazywał winnego. – Teraz pani dokładnie powie mi wszystko. Kto, co, kiedy, po co? W co pani się wplątała? I jakich pani ma wrogów? Kto mógł odnieść korzyści z pani choroby lub śmierci? Co pani widziała. I nade wszystko poprosimy o kopie zdjęć, które były na zewnętrznym dysku, skradzionym z pani mieszkania.

– Za dużo pytań naraz – słabo powiedziała Lilka. – Wie pan pewnie, że niedawno wyszłam ze szpitala. Nie mam wrogów, chyba że były mąż... Ale otruć? To chyba nie on. Jakie próbki trucizny, gdzie?

– Dosypywano je do cukru, mąki, nieco bardziej przemyślnie do filtra na wodę. Systematycznie i nieświadomie sama pani używała trucizny z grupy

opianów. Mogła wywoływać bóle głowy, brzucha, nawet halucynacje i omdlenia.

Lilka pomyślała ze smutkiem o dziecku, które wówczas nosiła. Jeszcze i to. Nawet w łonie matki nie było bezpieczne. Zaciśnęła powieki, żeby nie płakać.

– Na Podlasiu byłam właściwie służbowo, jestem fotografką, a zdjęcia mam skopiowane, proszę bardzo, dostarczę... nic takiego, naprawdę.

– Będziemy musieli zarekwirować na jakiś czas pani laptop. Ostatnie pytanie: czy kiedykolwiek kupowała pani, sprzedawała, sprowadzała, przyjmowała środki odurzające, narkotyki, dopalacze?

– Nie. – Lilka wprawdzie zarumieniła się lekko, ale postanowiła nie przyznawać się do swojego epizodu z amfetaminą. – Ostatecznie nigdy tego nie kupowała i zdecydowanie nie sprzedawała.

Komisarz Lubecki zdawał się nie zauważyć ani jej rumieńca, ani zmieszania, teraz dopytywał o wszystkich znajomych, współpracowników, rodzinę. Sporządzał listę i zaznaczał osoby, które warto przesłuchać. Oglądali zdjęcia, prosił o komentarze. Lilka po raz pierwszy zaczęła nieco inaczej myśleć o gronie ludzi, wśród których żyła. „Jakie to dziwne – pomyślała – człowiek obraca się w tłumnym otoczeniu osób, mniej lub bardziej bliskich, mniej lub bardziej znanych... ilu ich jest? Stu, dwustu? Iluż z tych dwustu znam naprawdę – dwu?”. Przy nazwisku Marianny poczuła ucisk w brzuchu. „Mimo wszystko niezwykła kobieta. Żywe srebro w obiektywie. Jedno czułe spotkanie, jedno zniknięcie, te tabletki... Marianna jednak, mimo siły, jaką w sobie miała, była ofiarą Jamroza. Sponsor! Ciekawe, ile go kosztowała?”. Lilka miała nadzieję, że kosmiczne sumy. „Za to, że mógł dysponować takim pięknym ciałem, że miał ją na własność, kupował jej kiecki, auta, miejsca w wielkich pokazach i luksusowe wypady za granicę. Ciekawe, czy ufundował też wyjazd Ksawerego” – uśmiechnęła się w duchu. Bo że Marianna sypiała, z kim chciała poza swoim sponsorem, tego Lilka była pewna. „Czy mógł zmusić Mariannę do podsypywania mi trucizny? Może dlatego powiedziała wtedy: «znienawidzisz mnie»...”.

– O kim mowa? – dopytał komisarz. Lilka zorientowała się, że ostatnie zdanie powiedziała głośno.

– Czy mówi pani o niej? – Komisarz powtórzył i pokazał zdjęcie Marianny z Wielkiego Pokazu. Na wybiegu, w długiej zielonej sukni, w tej swojej burzy rudych włosów.

– Ach, nie. – Lilka wzięła do ręki zdjęcie. – Ta modelka? Marianna

Hoenszeld. To moja najlepsza przyjaciółka.

*

– No wiesz? – Woj był oburzony, kiedy później opowiadała mu o tym w knajpce na Chmielnej. – To przecież ja jestem twoją najlepszą przyjaciółką!
– Uśmiechnął się figlarnie. Lubiała go za to, że żartował ze swojej orientacji, był pogodzony ze sobą, traktował to inaczej niż nieszczęsny, zadreczający się Igor.

– Jesteś, jesteś! I dlatego o tobie prawie nie wspomniałam – poinformowała go przyjaźnie – po co mają cię przesłuchiwać. Kiedy komisarz Lubecki, cały poważny i wzniosły, pokazał mi ciebie na fotce, powiedziałam: a to taki tam, znany w środowisku gej... widuję go czasem na sesjach.

– Co na to komisarz? Czy odczuł dreszcz podniecenia? Czy jest przystojny jak komisarze z filmów? Taki Więckiewicz na przykład?

– Zapomnij – roześmiała się Lilka. – Wygląda jak mój tata, kiedy idzie na zebranie wspólnoty mieszkaniowej.

– O nie! – jęknął żałośnie Woj.

– A ty co? Nadal samotny? Ksawery daleko? – Udawała, że nic nie wie o Igorze.

– Nie poruszajmy tego tematu – westchnął Woj. – Ksawery przeszedł na drugą stronę. Czytałem ostatnio wiele o jego podbojach...

– O, modowych?

– Nie, wyobraź sobie, sercowych. U boku jakiejś aktorki, już jako znany projektant... Ostatnio z top modelką. Kobieciarz!

– Więc Marianna była tylko na chwilę?

– Marianna była tylko na chwilę. Jak ja. Jak każdy. Ksawery to motyl. Zdolny motyl, zobaczysz, Lila, będzie drugim Lagerfeldem. A ja cierpię.

– Ale... – Lilka zawahała się. – Ale ty przecież...

Chciała powiedzieć: Igor nie jest ci obojętny. Wygadaj się, cierpisz, ale nie przez Ksawerego, wyjechałeś z Darzboru pośpiesznie i zraniony. Woj jednak poprawił swój wypielegnowany czub i obronnym gestem smukłej dłoni powstrzymał jej pytanie.

– Proszę cię, nie mówmy o tym... Jak stare dobre przyjaciółki rozważmy inne kwestie. Kto, u licha, mógł podsypać ci tę truciznę? Po cholere? No

i gdzie znajduje się teraz Tomasz Słowicki?

Obojgu nie przyszło nawet do głowy, że Tomasz Słowicki znajdował się niedaleko, w kamienicy niemal tuż obok, w której mieszkał jego dobry znajomy, dawny oficer wydziału kryminalnego, obecnie detektyw zajmujący się śledztwami na życzenie prywatnych klientów, ale także policji. Specjalizował się w porwaniach, ale brał udział także w śledztwach narkotykowych. Detektyw, tak jak Tomasz, pochodził z Podlasia, w dodatku od dawna był kolegą komisarza Lubeckiego i dobrze orientował się w sprawie włamania u Alicji Gajewskiej. Niezbyt sympatyczny, szorstki, a czasem grubiański. Tomasz nigdy nie nazwałby go przyjacielem z podwórka, ale cenił sobie tę znajomość. Facet miał kontakty i kompetencje, Tomasz nieraz z nim współpracował, kiedy jeszcze miał wydawnictwo. Odwiedził go w starej kamienicy na Powiślu prywatnie, w dwóch celach. Po pierwsze, pragnął nakłonić go do wznowienia śledztwa w sprawie dawnego zabójstwa swojego brata. Tomasz wiązał obecne zdarzenia na Podlasiu z tą starą historią i sądził, że są ku temu poważne przesłanki. Po drugie, pragnął wysondować: co policja wie w związku z włamaniem do Lilki, w co się wplątała, na ile grozi jej niebezpieczeństwo. Kiedy usłyszał o truciźnie, powiązał wiele faktów. Zrozumiał, że to nie żarty, co więcej, pojął, jak bardzo kocha tę kobietę. I jeszcze to: jest chyba jakimś cholernym facetem fatalnym, bo kolejna osoba, cenniejsza niż życie, jest zagrożona. Nie chciał jej stracić, bał się o nią. Dlatego postanowił trzymać ją jak najdalej od spraw kryminalnych i narkotykowych, a wszystko wskazywało na to, że stary temat brata i nowy siatki przestępczej nagle się splatają i pochłoną go całkowicie, przynajmniej na jakiś czas... Jeśli tak, będzie musiał odsunąć ją i trzymać jak najdalej od siebie.

W mieszkaniu połyskiwał parkiet, słońce wpadało mimo ciężkich zasłon. Kolega nalał sobie i Tomaszowi whisky. Tomasz nie znosił tego trunku, który przypominał mu mydliny, ale wypił bez protestów. Nie chciał okazać się niemęski, pragnął wynieść z tego spotkania jak najwięcej informacji.

– Grabiec, czujesz to wężem starego psa! – Używał w rozmowie dawnego pseudonimu. Przed laty, kiedy Grabiec pracował jeszcze w policji, Tomasz pomagał mu w pewnej akcji na Podlasiu. Przyjęli sobie imiona ze Słowackiego. – To jest ten moment. Czas wrócić do zabójstwa Janka. Tyle lat nie mogę spać, myśląc, że nie ponieśli żadnej kary. Będzie następny trup, a ten Staszek już łyka błoto i co?

– Jesteś pewien, że wiesz wszystko? Czasem stare sprawy to stare brudy i nowe trupy. – Mężczyzna nazwany Grabcem siedział w półcieniu, przyglądał się Tomaszowi uważnie. – Rozmawiałem z Lubeckim, mają same poszlaki. Trucizna w mieszkaniu tej fotografki, była, fakt. Ona sama była u was w Darzborze, raczej przypadkiem, ale fakt. W Warszawie pojawiła się Niemka Hoenszeld i zbliżyła się do niej – trzeci fakt. Ale na tym fakty się kończą. Co mam ci powiedzieć. Chcesz wszcząć prywatne śledztwo? Do usług. A wiesz, ile kosztuje?

– Nie. – Tomasz wstał, podszedł do okna. – Nie – powtórzył. – Masz znajomości w policji, teraz dzieje się na Podlasiu, myślałem, że coś możesz. Współpracujesz z nimi, prawda?

Grabiec zgasił papierosa, podszedł do Tomasza.

– Nie powiedziałbym ci. Ale niebezpiecznie będzie, chłopie. Nie włącz w to. Wiem tylko, że szukają magazynów, miejsc, gdzie tamci składują towar. Bez tego nic nie udowodnisz. No i zoom na Podlasiu, ale nitki są w Warszawie i w Rosji. Nie wiem, czy to ci sami, co wtedy załatwili twojego brata. Może. Wiem, że będzie gorąco.

– Na ile zagrożona jest Gajewska, jak myślisz? – zapytał cicho Tomasz. Grabiec zerknął na niego spod oka. Wzruszył ramionami.

– Włazła tam jakoś, nie wiem jak. Wygląda, jakby miała na nich dowody. Nie sądzę, że chcieli ją zabić, raczej zabrać, cokolwiek ma. Zdjęcia?

– E tam. – Tomasz nie był taki głupi, by przyznać się, jak to dla niego ważne. – Jakaś pindzia z aparatem, co mnie to... Powiedz lepiej, czy ty w to wchodzisz?

Grabiec jednak też nie był tępy i nie zamierzał go powiadomić, że już w tym siedzi po uszy. I tak sobie rozmawiali, niby przyjacielsko, a bardzo nieufnie. W końcu Tomasz się pożegnał.

Pindzia natomiast, tym razem bez aparatu, bo aparat w towarzystwie laptopa i przenośnych dysków został w rękach pana Lubeckiego na komisariacie, pożegnała na Nowym Świecie Woja i wracała pieszo, czyli zesła sobie krętymi betonowymi schodami z mostu Poniatowskiego na Powiśle. Zejście to, doskonale znane warszawiakom, cechuje wyjątkowo ponura sceneria, jeśli kryminały miałyby się gdzieś rozgrywać, to na pewno tu. Lilka jak zwykle wzdrygnęła się nieco na widok napisów na ścianach i tępego dźwięku

tramwaju nad głową. Postanowiła przejść koło Charliego, knajpki przy ulicy Dobrej, kupowała tam czasem sałatki na wynos. Zeszła z mostu i...wpadła prosto w ramiona Tomasza Słowickiego, który akurat pod Charliem zaparkował auto. Oboje myślami przebywali w zupełnie innym terenie niż ulica Dobra, więc zderzyli się czołowo, z tym że Tomasz, obdarzony refleksem, złapał Lilkę w pól i uratował od bolesnej wywrotki na beton.

– No proszę! – zawołali jednocześnie.

– Właśnie miałem dzwonić – skłamał Tomasz.

– Właśnie myślałam o tobie – powiedziała prawdę Lilka. Cokolwiek miało się zdarzyć, los ich spotkał i radość, a także dziwne uczucie szczęścia, przepełniły oboje. Cokolwiek było przyczyną, że dopiero teraz, i jakakolwiek miałyby być przyszłość, coś popchnęło ich ku sobie bez wyjaśnień i pocałowali się długim, stęsknionym pocałunkiem. Całowali się pod mostem Poniatowskiego czule i bezwstydnie, jak para nastolatków, budząc ironiczne uśmiechy przechodniów. Lilka ocknęła się pierwsza, ucisnęła dłoń Tomasza:

– Zapraszam do siebie – powiedziała cicho – mieszkam bliżutko, parę kroków stąd...

– Wiem, wiem – syknął się Tomasz, bo przecież nigdy u niej nie był. – Niestety nie mogę, teraz nie mogę. Ja z kolei mam tu niedaleko wydawnictwo... Właśnie tam szedłem i już jestem spóźniony.

Przełknęła ślinę, przełknęła pytanie, dlaczego kłamie. Była w tym wydawnictwie, nie istniało. Powinna zażądać wyjaśnień. Ale nie potrafiła tego zrobić. Milczała, a Tomasz powiedział:

– Jutro, o tej samej porze tutaj, dobrze? Porozmawiamy o wszystkim, ustalimy, co dalej, wyjaśnię ci... obiecuję. Lilka, jeszcze trochę, jeszcze trochę na mnie poczekaj!

– Więc czekam – powiedziała chłodno, bo dotknęło ją, że po tym pocałunku nie chciał iść do niej ani nie zaprosił do siebie, ani nie zaproponował kolacji, wieczoru, wspólnej nocy, romantycznej ucieczki z miasta. Był tutaj innym człowiekiem, zupełnie innym mężczyzną niż w Darzborze. Gdyby historie z bratem bliźniakiem nie były banałami z kiepskich komedii, zastanowiłaby się nad tym... ale nie, nie był własnym bliźniakiem. Był zatroskanym Tomkiem Słowickim, który zerkał teraz niespokojnie w stronę budynków przy alei 3 Maja.

– Jutro, tutaj – powiedział, pocałował ją w rękę i odszedł. Lilka przez chwilę chciała iść za nim, jak tajemniczy Don Pedro, ale powstrzymała się

i ruszyła w swoją stronę. Jutro. Dobrze. To tylko dwadzieścia cztery godziny, jak areszt, zatrzymanie do wyjaśnienia. Nagle zawróciła i pobiegła w stronę parkingu. Samochód Tomasza wciąż tu stał. „Nie jestem więc szalona” – pomyślała. Podeszła parę kroków aleją i po chwili znalazła się przed budynkiem z urzędową tabliczką, na której jak byk widniała informacja, że mieści się tu wydawnictwo, wprawdzie nie Retro, ale Orkan. Tę nazwę Lilka знаła i przynajmniej w tym przypadku Tomasz nie kłamał. Oparła się o gorący mur. Ujrzała mężczyznę, który kierował się na parking, i na jego widok zapragnęła wtopić się w betonową ścianę. Nie zauważył jej. Witold Jamroz szybkim krokiem podszedł do dużego samochodu, zasiadł za kierownicą, pomanewrował pomiędzy autami na ciasnym placu i odjechał. Lilka wyszła z cienia, zaczęła biec w stronę Wisły. „Oszałamam, jednak chyba oszałamam” – myślała z rozpaczą i ze strachem. W domu odetchnęła, a kiedy Borsuk położył łeb na jej stopach, ogarnęło ją znużenie i pragnienie, by na zawsze uciec z tego miasta.

Nazajutrz spóźniła się nieco do Charliego, bo nie chciała czekać. Nie musiała. Tomasz był już, siedział przy stoliku w kącie, czytał jakiś magazyn. Wstał na jej widok i uśmiechnął się, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Może jest, może to ja jestem świrem? Zamówił jej cudowną zimną lemoniadę kiwi, przysunął się do niej, poczuła zapach kawy. Widocznie napięcie ostatnich dni, może upał, lęk, spowodowały, że Lilka po kilku grzecznych słowach, nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. Tomasz o nic nie pytał, podawał jej chusteczki, a widząc, że ten potok łez tak łatwo nie ustanie, zapłacił za niedopite trunki, pochwycił płaczącą Lilkę pod ramię i zabrał nad Wisłę. Szli objęci wzdłuż wybrzeża, dopóki się nie uspokoiła. Przysiedli pod parasolkami, lekki wiatr pomógł osuszyć łzy. Tomasz poprosił dyskretnego kelnera o dwa kieliszki mocnego wina.

– Przepraszam – powiedziała Lilka. – Wylało się ze mnie całe napięcie ostatnich dni. Widzisz, jaka jestem słaba.

– Włamanie, podtrwanie, poronienie – wyliczył cicho Tomasz. – Niejednego by złamało. W dodatku mężczyzna, na którego liczysz, który powinien ci pomóc, zawodzi, prawda? – Odsunął kosmyk włosów z jej mokrego policzka. – Myślisz: dlaczego mnie unika, tutaj w Warszawie? Myślisz: dlaczego kocha mnie tylko daleko stąd, na bagnach nad Narwią?

Potwierdziła skinieniem głowy, szeptem dodała:

– I czy one w ogóle istnieją, te bagna? Darzbór, puszcza, ptaki. Nawet zdjęć

już nie mam – policja zabrała wszystkie kopie.

Tomasz popatrzył na nią z uwagą, ale nie podjął tematu zdjęć.

– Myślisz sobie: „Nic o nim nie wiem, nie mogę za nim trafić. Powinien już ze mną mieszkać, pokazać mi swoje życie. Wiele nas połączyło”. Myślisz sobie: „Może jestem szalona albo zwariowałam od tych proszków...”.

Patrzyła na niego zdumiona. Odczytywał jej myśli, głaskał po dłoni, po oczach poznawała, że nie jest mu obojętna. Stuknęli się kieliszkami, a Tomasz powiedział:

– Alicjo, zwana Lilką, posłuchaj: nie jesteś wariatką i wszystko w porządku z twoją głową. Dzieją się wokół ciebie rzeczy niejasne i niebezpieczne. Powinienem być z tobą i otoczyć cię opieką, ale w tej chwili nie mogę. A ty wcale nie jesteś słaba i dasz sobie radę sama. Mam tylko dwie prośby.

Popatrzyła pytająco. Znów ogarniała ją dziwna błogość, może od wina, może od jego krzepiących słów. Co więcej, czuła narastające pożądanie, które cieszyło ją samo w sobie: to miłe mrowienie skóry, głód pocałunku, jakaś nieodparta siła, która pchała ją ku niemu. Słuchała prośby nader życzliwie.

– Chciałbym, żebyś wyjechała – mówił Tomasz. – I tak miałaś być teraz na Podlasiu. Policja w razie czego znów cię wezwie. Bierz psa i wyjedź, odpocznij: nad morze, w góry, gdzie wolisz.

Przygryzła wargi, miała dokładnie ten sam zamiar, wyjechać, wyjechać, tylko nie w kierunkach, o których mówił. Oczywiście chciała wyjechać do Darzboru. Tomasz szybko dodał:

– Nie, nie tam. Wolałbym, żebyś w ogóle znikła. Tam się rozgrywają sprawy kryminalne, ja jestem w nie wciągnięty. Muszę być sam. Dlatego teraz, przez kilka tygodni, może miesięcy nawet – mówił, patrząc na nią z nadzieją, że się godzi – nie będziemy się widywać. W ogóle. Nie znamy się, ja jadę na wschód, ty na zachód... Mnie też to boli. Dlatego...

– Dlatego... – podchwyciła lekko wstawiona, zakochana i zbuntowana.

– Dlatego teraz zupełnie poważnie proszę cię o rękę. Mam nawet pierścionek. Kocham cię i kiedy to się skończy, jeśli tylko chcesz, weźmiemy ślub w Darzborze. Co ty na to?

Tomasz z zakłopotaniem wyjął pudełeczko. Lilka otworzyła je z ciekawością. Lśniła w nim drobna obrączka z białego złota, wysadzana perełkami, z jedną większą pośrodku. Akurat na jej szczypty serdeczny palec. Nałożyła natychmiast. Pasował. Przycisnęła pierścionek do ust.

– Rozumiem, że mówisz „tak” – rzekł Tomasz.

– Powiedziała ci już na śledziu – przypomniawszy. – Nie zmieniam zdania tak łatwo. Poczekam, Tomasz. Chcę być z tobą, chcę ciebie i nie chcę... długo czekać.

– Nie wiem – powiedział szczerze – nie umiem tego obliczyć. Nie będę dzwonił, nie będę się odzywał, nie będzie mnie w twoim życiu. Może kilka tygodni, a może rok? Za to jak wrócę, to już w nim zostanę. A jeśli miałbym nie wrócić nigdy, bo i tak być może – dostaniesz wiadomość. Czy nadal chcesz czekać?

– Tak. – Westchnęła głęboko. – Widać jestem skazana na taką dziwną miłość. Chcę czekać, bo cię kocham. Ale – dodała ze złośliwym uśmiechem – nie odpowiadam za przypadkowe spotkania.

– Nie będzie takich – powiedział krótko.

– Ale – upierała się, smakując wino – masz mi być wierny, żadnych kobiet.

Roześmiał się.

– Odkąd oplotłaś mnie tymi swoimi smukłymi nogami w Darzborze, nie chciałem żadnej innej kobiety. I nie miałem.

Lilka przez chwilę pomyślała, że jeśli tak, to może teraz na pożegnanie odprowadzi ją do mieszkania. Czuła się gotowa na miłość, oddech jej przyspieszał na samą myśl o tej harmonii ruchów, której wtedy zaznali, pochyliła się ku niemu podniecona. Ale Tomasz chyba tego nie zauważył. Ucałował jej obie ręce, wstał, ona też, poddała ku niemu twarz i zamknęła oczy. Uśmiechnął się ze smutkiem. Rozumiał, co się w niej dzieje, i czuł podobnie. A jednak nie był pewien, jak to wszystko się skończy, czy w ogóle wróci. Jego brat Janek kiedyś nie wrócił. Co będzie, jeśli ulegnie teraz jej i sobie i znów zostawi ją w ciąży? Wiedział, że po wszystkim, co się wydarzyło w jej życiu w ostatnim czasie, Lilka ani myśli się zabezpieczać. Dla niej dziecko byłoby lekiem, ale on nie chciał ryzykować. Nie w tej chwili. Pocałował ją miękko w usta, przebiegł palcem po pachnących winem wargach i szepnął:

– Do zobaczenia. Pamiętaj: mam twoje słowo. Niemniej kieruj się własnym szczęściem. A teraz wyjedź.

Pospiesznie wyszedł, widziała, jak płaci kelnerowi, coś mówi, widziała jego szerokie plecy w jasnej koszuli, odwrócił się jeszcze i skinął ręką. „I zostawił mnie tak przy stoliku – pomyślała. – Powinien odprowadzić wstawioną kobietę do domu, czyż nie?”

Popatrzyła z uśmiechem na swoją dłoń, pierścionek lśnił przyjaźnie.

Roześmiała się. Wiedziała doskonale, że nie trzeba jej odprowadzać, że da sobie radę znakomicie i że będzie pielęgnować w pamięci tę rozmowę i oczywiście czekać. Jeszcze raz dotknęła perełek ustami. Miały słonawy, gładki smak. Przynajmniej mam dowód, że był naprawdę.

*

Komisarz Lubecki nie miał nic przeciwko temu, żeby Alicja Gajewska wyjechała, żądał tylko, by odbierała jego telefony. Zwrócił jej laptop, nośniki, aparat, nie było na nich nic, żadnych zdjęć, obiektów, adresów, które mogłyby pomóc w śledztwie lub kogokolwiek obciążyć. Lilka była ciekawa, czy będzie pytać ją o osoby i budynki uchwycone w jej zbiorach, ale ponieważ nie pytał, nie wrywała się. W domu przejrzała dokładnie swoje zbiory i zamarła ze zdumienia. Nie zachowało się wśród nich się ani jedno zdjęcie z ludźmi ani domami. Nie było zdjęć Tomasza, nie było Marianny w oknie Domu Dróżnika, nie było chaty w lesie i ludzi uchwyconych na handlu proszkiem. Gdzie się podziały? Teraz rozumiała ten brak pytań: komisarza nie interesowały liczne ujęcia ptaków, zbliżenia unikalnych roślin, nawet front Darzboru specjalnie go nie zdziwił, wiadomo, że tam była.

„Więc to tak – pomyślała – ktoś unicestwił wszelkie ślady związane z ludźmi i podejrzanymi miejscami. A kto? Kto miał dostęp do jej rzeczy? Tomasz. Marianna. Woj. Chyba że przegrał je sobie i unicestwił sam komisarz. A jednak nie podejrzewałyby o to Lubeckiego, raczej dopytywałyby ją o każdy szczegół. W takim razie które z nich? Tomasz, Marianna czy Woj? Każde z nich mogło też dosypać jej truciznę do cukru”. Potwornie bolałaby ją zdrada każdego z nich, ale wiedziała, że najmniej ufać powinna Mariannie. To dlatego powiedziała: „Będziesz mnie nienawidzić?”. Szkoda zdjęć, ale nienawiść to za dużo. W jakiś dziwny sposób, mimo niechęci i strachu, wciąż podziwiała tę kobietę. Tomasza kochała. Nie miała nigdy lepszego przyjaciela niż Woj. „Więc? – myślała. – Które z nich? Może Art, były mąż? Ale jego właśnie widywała najrzadziej i paradoksalnie był poza podejrzeniami. Pomijając jego erotomańskie wysoki, właśnie jemu najbardziej mogła zaufać”. Zadzwoiła więc właśnie do niego. Ktoś musiał pomóc jej w przedsięwzięciu, które planowała.

– Postanowiłam kupić chałupę na wsi – rzekła bez ogródek, kiedy stawił się

na spotkanie. A stawił się natychmiast, gdy tylko zadzwoniła. Patrzył na nią, jakby odkrywał na nowo Lilkę, którą przecież znał doskonale – nie tylko jej charakter, ale i każdy centymetr jej ciała. Poprosiła go o pomoc, co za zmiana! A jednak czuł, że tylko Borsuk jako tako cieszy się na jego widok. Zaprosiła go do siebie, przyjęła bosą i w lekkiej japońskiej podomce, wciąż panował upał. Włosy podrosły jej trochę i dały się już spiąć w samurajski koczek, w sumie stanowiła zjawisko podobne do gejszy.

– Hej! – zakrzyknął wesoło Art. – Brakuje ci tu tylko poduch na podłodze, rozsuwanej ściany i sake.

– Nie żartuj sobie – powiedziała. – Słuchaj, co mówię. Potrzebuję pieniędzy, a jak nam obojgu wiadomo, nie wywiązałeś się z podziału majątku.

W krótkim okresie szczęścia małżeńskiego zdążyli kupić mieszkanie. Trzy pokoje w dobrej dzielnicy, bez kredytu, dzięki dobrodziejstwu rodziców. Kiedy mała Arkadia zmieniła się w ogromne piekło i Lilka zwiewała z niego aż się kurzyło, nie myślała o niczym praktycznym. Pieniądze, odszkodowania, alimenty... Nie miała głowy do takich spraw, chciała uciec od Arta, jego dewiacji i zdrad, machnęła ręką nawet na to, że sąd nakazał im sprzedać mieszkanie i połowę wartości przyznał jej. Teraz błogosławione wspomnienie przypląnęło. Połowa tego mieszkania w zupełności starczała na kupno wiejskiej chałupy na Podlasiu i była cudownym biletem, przepustką do innego życia, możliwością, by powiedzieć temu światu: pa, pa!

– Z czego będziesz żyć? – zapytał Art. Spokojnie przyjął jej żądanie. Wiedział, że sam atrakcyjnie wygląda w lekkiej koszuli rozpiętej na piersiach, jasnych spodniach, smukły, wysportowany, ciemnowłosy, białozęby. Uśmiechnął się uwodzicielsko. Podniecał go ten wizerunek gejszy, ale nie nadużywał sytuacji. Lilka wzruszyła ramionami.

– Na początek mam trochę oszczędności. Potem zobaczę, może uda mi się utrzymać kontakty z wydawnictwami. I wciąż liczę na album, na zbyt zdjęć przyrodniczych w Europie...

– Idiotka – powiedział, ale tak czule, że zabrzmiało to jak „moja jedyna”. Przynurzył się blisko, oddechem głaskał jej szyję.

– Mam inny pomysł – szeptał – wyjedźmy razem, Lila. Opchnę to mieszkanie, kupimy nie chatę, ale domek, niedaleko Warszawy, zrobimy w domu atelier... Będziemy mieć dziecko, tak jak miało być... Daruj mi tamto. To był taki czas, głupi byłem, wyrosłem. Uwierz, Art się zmienił...

Sięgnął ręką do paska jej kimona, łatwo rozwiązał. Lilka znieruchomiała.

Ręce Artę zdążyły zawędrować do jej piersi, ustami zaczął muskać płatek ucha. Prawa ręka zjechała gwałtownie w dół. Pamiętał jej ciało, całą dłoń otulił intymny trójkąt i zaczął pieszczotliwie wkładać się w nią palcami. Oczekiwał, że teraz uniesie biodra i westchnie głęboko w oczekiwaniu na silniejsze bodźce, że otworzy się przed nim. Pomylił się. Lilka nabrała powietrza. „Zabawne – pomyślała – w ogóle mnie to nie pociąga”. Łagodnie zdjęła z siebie jego rękę, wstała, zawiązała kimono.

– Art, Art, Art – powiedziała – właśnie, że nie zmieniłeś się wcale. Wszystko psujesz i wszystko chcesz naprawiać seksem. Nie chcę ciebie. Chcę pieniędzy z naszego mieszkania.

Nieurażony roześmiał się i odsunął. Łatwo ukrył rozczarowanie. Ostatecznie znał trzy adresy fajnych dziewczyn w pobliżu, mógł tam w każdej chwili zajść i rozładować niespełnione pragnienia.

– Nawet małe, szybkie rypanko? Raz, dwa, och, ach? – zapytał niby żałościwie, ale z humorem. – Przez wzgląd na dawne czasy?

– Nie, nie – odpowiedziała – tylko kasa. Teraz potrzebuję kasy, nie twojego rypanka.

– Znaj wielkoduszność, zgoda – odrzekł, zapinając się tam, gdzie zdążył się rozpiąć – i tak myślałem sprzedać chatę, bo też potrzebuję gotówki. Jutro damy do agencji, cnotko... a swoją drogą, kim on jest?

– Kto? – Lilka udała obrażoną niewinność.

– Facet, Lilko! Pamiętaj, że nikt nie zna cię tak jak były mąż. Jeśli tak zaciskasz nogi, to komuś obiecałaś, nie? No, nie obruszaj się... mniejsza z tym. Powiem ci coś ciekawego: nie dałaś mi, diabolicco, to nie, ale i tak cię lubię. Możesz na mnie liczyć w razie czego, naprawdę się zmieniłem. Sprzedam chatę i podzielimy się jak stare dobre małżeństwo.

*

Jechała radosna w oczywistym kierunku. Mało ją obchodziło, że Tomasz życzył sobie, by pojechała nad morze. Albo w góry. Jechała tam, gdzie chciała, ósemką na Białystok, pokonując kolejne roboty drogowe, podśpiewywała i oczami wyobraźni budowała zamki na lodzie, a dokładniej chałupy na skraju wsi. Nie zamierzała zatrzymać się w Darzborze, nie tym razem, akurat tam Tomasz mógł pojawić się w każdej chwili. Zresztą to zajazd Igora, ile można

gościć. Ona szukała domu dla siebie, niedużego, ale z drzewem przed wejściem, wiązem albo nawet dębem, z obszernym obejściem, ogrodem dla Borsuka, kilkoma pokojami i przestronną kuchnią. I z przytulną, słoneczną sypialną. Tymczasem zarezerwowała pokój w gospodarstwie agroturystycznym, dziesięć kilometrów od Goniądza. Zamierzała rozejrzeć się po okolicy, celem wyprawy uczyniła znalezienie takiej chałupy. „To potrwa – mówiła sobie – wiadomo, teraz jest próba cierpliwości. Potrwa, zanim Tomasz załatwi swoje sprawy. Potrwa, zanim Art sprzeda mieszkanie. Potrwa, zanim ja znajdę coś odpowiedniego, urządzę się jakoś... kto wie, może dopiero na przyszłą wiosnę?”. Ale już teraz chciała szukać, a poza tym coś jej mówiło, że wie więcej, niż sama chce przyznać, w sprawie toczącego się tutaj śledztwa. Wciąż powracały natrętne myśli: o zaginionej kelnerce, o martwym Staszku. Jakieś pasmo zła psuło sielankowy obraz krainy, którą pokochała. To samo zło nie pozwalało jej być teraz z mężczyzną, którego pokochała. Dlaczego miała biernie na to patrzeć? Odkąd wyzdrowiała, nie nękały jej bóle głowy, nabrała sił i wagi, poczuła się mocniejsza, bardziej aktywna. Zdjęcia mogły zniknąć, ale pamięć ludzka wcale nie jest taka zawodna, jak zwykle się mówi. Im bardziej oddalała się od Warszawy, tym bardziej czuła tę energię, a może wspomagały ją też słowa Tomasza: „Sama dasz sobie ze wszystkim radę”.

Pokój w gospodarstwie agroturystycznym okazał się rewelacyjny. Domek typowy, murowany, obok stadniny i starego dworku. Pokój z łazienką i tarasikiem na las, gospodyni trochę gadatliwa, za to gospodarz małomówny. Oboje po pięćdziesiątce, zażywni, zaangażowani w swój agroturystyczny interes. Wszystko to odpowiadało Lilce, a nadzwyczajnie zachwyciły ją bocianie gniazda. Znajdowała się w prawdziwej wiosce bocianie, nad głowami ludzi, na dachach domów i stodół, na drzewach i na słupach widniało kilkanaście dużych gniazd, a na nich klekotały bocianie pary, zajęte szkoleniem podrosłego już potomstwa do lotu.

– Kiedy bociany uczą swe pisklęta latać, jesień zagląda do wsi – powiedziała na dzień dobry gospodyni, pani Ewa – ale zdąży się jeszcze pani napatrzeć, co wyprawiają. Jakie to mądre ptaki! – dodała.

– Nigdy jeszcze nie widziałam bociana na gałęzi. – Lilka zapatrzyła się na wielki wiąz. Na gałęzi rzeczywiście stał bociek i patrzył równie uważnie na nią. – W locie tak, w gnieździe oczywiście, ale na gałęzi? Nigdy.

– Oho, pierwszy raz zobaczyć bociana na gałęzi to może być wróżba na

dziecko – powiedziała ze śmiechem pani Ewa. – Ale obrączki nie widzę, to może nie dla pani taka wróżba? Chociaż w naszych czasach obrączka do macierzyństwa nie jest konieczna, prawda?

Gadała i gadała, miękko wymawiając samogłoski i tutejszym zwyczajem używając czasem trzeciej osoby. Lilka słuchała jej jednym uchem, zachwycona otoczeniem. Na jednym z gniazd młody bocian pod okiem matki zabawnie podskakiwał na jednej nodze.

– To jakiś głupek – poinformowała ją pani Ewa – wszystkie już latają, koła robią nad wsią, a ten ciągle skacze. Boi się chyba latać. Żeby mi tu tylko nie został na zimę!

– Polecą – szepnęła Lilka, myśląc o sobie – tylko nabierze sił w skrzydła. Poradzi sobie.

Gospodyni początkowo dopytywała ją o Warszawę, pracę, a kiedy dowiedziała się, że Lilka fotografowała takie sławy jak Mila Marco, westchnęła.

– Z wielkiego świata pani przyjechała – rzekła z szacunkiem i trochę z żalem, że akurat ta agroturystka nie jest zbyt gadatliwa – a tu... tutaj to bociany mają pętlę.

Lilka uśmiechnęła się.

– A ja, pani Ewo – powiedziała – właśnie chcę całkiem uciec od tego wielkiego świata. Szukam tu sobie domu, takiego zwykłego drewnianego albo murowanego, z siedliskiem, do kupienia. Może wie pani o czymś takim?

– O, o to nie będzie tak łatwo – rzekła pani Ewa – moda jakaś nastąpiła na wiejskie domy, przyjeżdżają ludzie, a nawet firmy i kupują... Z Białegostoku, z Warszawy. U nas w Zachęciu nie ma, ale gdyby tak pojeździć. Musi pani pojeździć i popytać, a najlepiej zadzwonić do agencji nieruchomości, ci mają adresy.

Wydało się Lilce, że kobieta zamyśliła się nad czymś, przycichła. Czyżby nie podobało się jej, że ktoś z miasta chce tu kupić dom? Widocznie jednak pani Ewa myślała o czymś innym, bo nagle klepnęła się z całej siły po udzie i energicznie zerwała z krzesła.

– Bałabym zapomniała! Ale jak o lesie myślę, od razu mi w głowie jedno. Grzyby się zaczęły! Wądołowscy przynieśli wiadro prawdziwków! A mąż z rana nazbierał kurek, usmażę pani na obiad. Lubi zbierać grzyby?

– Nie bardzo się na nich znam. – Lilka nigdy w życiu jeszcze nie zbierała grzybów.

– To ja sprawdzę, pewnie – obiecała gospodyni. – Ja znam od dziecka każdy grzyb. Wychowałam się tu i nawet urodziłam, nie dowieźli mamy do szpitala. Całe życie w Zachęciu... A że pani zna takich ludzi, ho, ho! Ale niech uważa, w naszym lesie zgubić się łatwo i nawet pies może nie trafić z powrotem. A że nabierze kleszczy, to pewne.

– Kupiłam mu specjalne tabletki. A sama zaraz włożę porządne buty i chustkę na głowę.

– Zwłaszcza buty i spodnie – rzekła gospodyni, kiwając głową – bo to, że kleszcze spadają z drzew, to wierutna bzdura. Pewnie producenci chustek i kapeluszy wymyślili... W trawie siedzą, a i żmijka może się trafić, niech uważa... Dam pani specjalny kosz, okrągły, tutejszy, spleciony z wiklin.

Lilka łąziła po lesie i zbierała grzyby, które wydały się jej ładne. Niektóre muchomory znała jako trujące, więc nie wyjmowała ich z mchu, ale fotografowała z zadowoleniem, podobnie jak szyszki i granatowe owoce jeżyn. Zbaczała ze ścieżek i leśnych dróg, ale pilnowała kierunku, sprawdzała zasięg w komórce i śmiała się, bo Borsuk latał wśród drzew jak szalony, tarzał się w poszyciu i szczekał gromko, gdy znajdował nory. Kiedy zawróciła równoległym traktem, natknęła się na starą podmurówkę i domek, niewielki, najwyraźniej opuszczony. Jednak linie elektryczne i płot, i studnia przy bramie zdawały się wskazywać, że ktoś niedawno tu mieszkał. Lilka utrwaliła domek na zdjęciu z nadzieją, że nie jest to kolejny obiekt zakazany i że przez to nie dosięgną jej żadne klątwy. Wróciła zmęczona, w koszu grzybów miała sporo, po brzegi, z dumą podała je gospodyni.

– Rzeczywiście, sama zbierać grzybów nie może. – Pani Ewa złapała się za głowę. – Ale trujaków nazbierała! Te z blaszkami pod kapeluszem wszystkie niedobre, poza kurkami... a toto... – Kobieta ze wstrętem ujęła w dwa palce gruby, zdawało się Lilce, ładny grzybek, może nawet prawdziwek. – To szatanek. Może nim wytruć pół wioski. O, ale jest kilka dobrych. Maślak, podgrzybek, a tutaj nawet borowik. Ususzę i weźmie je pani sobie do miasta.

– To ja wrócę do miasta? – Lilkę na chwilę ogarnęło przerażenie. Przyszło jej do głowy, że jeśli ma wracać do miasta, to chętniej niż suszki weźmie te trujaki, może zemści się za swoją krzywdę. Ba, ale na kim?

– Pani Ewo – zapytała – wracając, natknęłam się na pusty domek. Dość daleko, ale wie pani na pewno, po lewej stronie od gościńca, obok stara podmurówka. Czyj to?

Ewa znów się zamyśliła. Nie była typową gospodynią wiejską. Mimo że

całe życie spędziła w Zachęciu, mimo że zaciągała po wschodniemu, to ciekawa była zawsze świata, oglądała, czytała gazety i książki. Ubierała się nawet inaczej niż wszyscy, nie nosiła chustek ani fartuchów, ale wygodne spodnie i bluzy, a włosy miała zgrabnie obcięte, nawet Woj by pochwalił. Zastanawiała się teraz, ile powinna powiedzieć tej miłej, ale trochę dziwnej fotografce z miasta, żeby nie wzięła jej za ciemną babę opowiadającą zabobony. Z drugiej strony... domek był na swój sposób niebezpieczny.

– Ten dom ma złą sławę – powiedziała cicho. – Kiedyś to była zwykła leśniczówka, ale pobudowali nowoczesną, w innym miejscu. Różni ludzie próbowali w nim mieszkać, ale źle się to kończyło.

„Nie do wiary – myślała Lilka – czy tu wszystkie stare chałupy mają jakieś kłątwy? Nie mogą być zwykłymi budynkami z drewna i kamienia?”.

– Ale jak to? Czemu? – zapytała tylko.

– Głupieją – orzekła krótko pani Ewa. – Mieszkańcy tego domku prędzej czy później głupieją. Z oddalenia, samotności. To nie jest tak blisko wsi. A jak zapada śniegiem, jak przychodzi wichura i wyje w szczelinach strychu? Mówią, że nie tylko oddalenie, ale i że wówczas zaczynają tam rządzić dawni mieszkańcy. Ja tam nie wiem, ale nerwy zwykłych ludzi tego nie wytrzymują. Ostatnie było młode małżeństwo, leśniczy z żoną, wyśmiewali zabobony. A po zimie źle się to skoczyło, bo on się rozpił, a ona wpadła w nerwicę... Z siekierą ją ganiał, bidulę, omal nie porąbał, a taka miłość była na początku... w psychiatryku wylądowała kobieta. Zostawiła go. Rozwód – zakończyła melodramatycznie pani Ewa.

– Przez... duchy? – niepewnie zapytała Lilka.

– Duchy duchami, kto ich tam wie. – Pani Ewa nie chciała ręczyć za istoty niematerialne. – Sami we dwoje, tygodniami, miesiącami, odcięci od świata. Ile można się kochać? Łatwiej się pozabijać, to i bez duchów. Albo duchy widzieć, choćby ich nie było. Toż nawet odśnieżyć się nie da tej ścieżki, co prowadzi do drogi.

– Czasem i bez śniegu jest tak samo – smutno powiedziała Lilka. – Do kogo należy teraz domek? Tylko zapytać bym chciała.

– Do nadleśnictwa cały czas. – Pani Ewa westchnęła. – To nie jest domek dla pani, ale zapytać można, pewnie.

Po kilku dniach ciszy i odcięcia od miejskiego gwaru Lilka postanowiła wybrać się trochę w świat, a dokładnie do okręgowej leśniczówki, zapytać o domek. Kusiło ją także, by przejechać się koło Darzboru, zajrzeć może do

Domu Dróżnika, na bagna. „Niektóre ptaki zaraz odlecą – myślała – a i przyroda nabrała sierpniowego blasku, innego. To, co wiosną kochało i płodziło, teraz zaczęło owocować”. Jechała wśród pól i łąk, w sam czas żniw i sianokosów. Zerknęła na rękę na kierownicy, błyskał na niej pierścienek z perełkami. Uśmiechnęła się zadowolona. Zdjęć Tomasza nie miała, ale namacalny znak na palcu widniał i upewniał ją w realności wspomnień. Może faktycznie z jej wyobraźnią i lękami nie powinna interesować się samotnym domkiem, w którym ludzie głupieją? Z drugiej strony, przekorna natura i chęć przełamania siebie, prowokowała do tego, by stawić czoło magicznym opowieściom.

Budynek nadleśnictwa przypominał trochę młyn, urzędujący tam postawny leśniczy, brodaty i mocny jak na człowieka lasu przystało, zaśmiał się tubalnie.

– Domek na kolonii przy Zachęciu? Nikt go nie chce. Nie powiedzieli pani, że tam straszy, a ludzie głupieją?

Lilka wzruszyła ramionami.

– Ale to zimą – powiedziała czupurnie – a ja może bym tylko wynajęła teraz, latem. Na próbę, czy tam rzeczywiście nie da się mieszkać. Teraz tydzień mieszkam u pani Kitowicz, ale zostałabym dłużej.

– U Ewy? – Leśniczy uśmiechnął się. – A to ma pani dobrze! Czego więcej szukać?

– Swojego kąta – odpowiedziała – szukam własnego domu. – To co, wynajmie pan?

– Zapytam swoje kierownictwo – odparł – ale to formalność, w tydzień załatwimy. Na długo by pani wzięła?

– Na początek na dziesięć dni. – Omal nie rzuciła się na szyję temu wielkiemu Rumcajsowi. – A potem zobaczymy. Wie pan, ja nie zgłupieję, bo już jestem całkiem głupia, a duchy mi nie przeszkadzają.

Patrzył za nią, jak odjeżdżała, i kręcił głową. A Lilka w doskonałym humorze udała się w stronę Darzboru.

Najpierw przejechała powoli obok, uważnie obejrzała samochody na parkingu. Nie było auta Tomasza. Potem podjechała do Domu Dróżnika, jacyś ludzie siedzieli na ławie przed domem, ale Tomasza także tu nie było. Zawróciła i zdecydowała się jednak zawitać do Igora. Borsuk szalał z radości, a Igor otworzył na ich widok ramiona, z całą serdecznością. Pies skakał, Igor ścisnął Lilkę, jak zwykle zaganiany, zaaferowany życiem darzborskim. Wydał się jej jakiś szczuplejszy. Na wieść, że zatrzymała się gdzie indziej, uniósł

ręce w geście zgrozy. Lilka wytłumaczyła mu dlaczego.

– Ale Tomasza nie będzie tutaj, w tym tygodniu na pewno. Jest wprawdzie w Białymstoku, w związku ze śledztwem, ale tu go nie ma...

– O właśnie! – Lilka nie dziwiła się już niczemu. – Dziś w Białym, jutro tu. Nie chcę mu się napatoczyć, bo on myśli, że bawię w Zakopanem. – Uśmiechnęła się przebiegle do Igora. – Przyjadę jeszcze nieraz. Ale ty źle wyglądasz.

– E tam, pracy dużo. – Zmienił temat. – Co wiesz w sprawie włamania? Wiesz już, kto cię truł?

„Woj, Marianna czy Tomasz? – wyliczyła w duchu. Ty jeden na pewno nie”.

– Chyba nie chcę tego wiedzieć – odpowiedziała Igorowi. Zaczynało zmierzchać, kiedy go pożegnała, błagając o zachowanie tajemnicy przed Tomaszem.

Postanowiła wracać skrótem, również dlatego, że wiódł przez las, koło Domu Dróżnika. Chciała jeszcze raz popatrzeć na okno, w którym za pierwszym pobycem mignęła jej postać rudej kobiety tak bardzo przypominająca Mariannę. Mimo wszystko tym razem nie zamierzała fotografować budynku. „Sporo przeszłam od czasu, kiedy to się stało – pomyślała. – Jestem chyba inną osobą, może prawdziwszą sobą niż wtedy”. To miejsce, dzikie i ciche o zmroku, wiązało się także ze wspomnieniem pierwszego pocałunku z Tomaszem. Podjechała pod budynek cichutko, na luzie, bez świateł. Nie wiedziała, czemu tak, co nią kierowało, ale zaparkowała nie przed bramą, ale kawałek za zakrętem. Może dlatego, że okna domku były ciemne, jakby nikogo tu nie było. „W sierpniu? – pomyślała. – Dziwne”. I rzeczywiście, od strony lasu nadchodziło dwoje ludzi, ale widok ich sprawił, że Lilka cofnęła się, ukryła za drzewami i przytrzymała na wszelki wypadek Borsuka. Do chaty podążała Marianna, z pewnością ona, pod rękę z jakimś mężczyzną. Nie wyglądali na parę zakochanych, szli w milczeniu. Skrzypnęły drzwi i z sieni wynurzyła się głowa Marka, syna właścicieli. Marianna i jej towarzysz znikli w ciemności budynku. Lilka bez tchu wycofała się do auta i uciekła. Odetchnęła dopiero, kiedy wyjechała z lasu, na Carskiej Drodze nie mijala nikogo, dopiero na ełckiej zaczął się większy ruch. Podjechała na parking przy stacji benzynowej, dwa samochody stały na uboczu. Miała wrażenie, że mężczyźni kłócą się lub handlują, mówili po rosyjsku lub białorusku, nie umiała odróżnić tych języków. Udała całkowitą obojętność, bo i po co wtrącać się w cudze sprawy. Kupiła sobie kawę,

a kiedy ruszała, zobaczyła jeszcze w lusterku, że do mężczyzn podchodzi Witold Jamroz. Zahamowała gwałtownie, bo zapatrzona wstecz nie zauważyła motorzysty, omal nie wylała na siebie gorącej kawy i niestety zwróciła na siebie uwagę mężczyzn. Nie sprawdzała, czy Jamroz ją rozpoznał, umknęła jak najszybciej i dopiero w kuchni pani Ewy zaczęła myśleć racjonalnie: Marianna i Jamroz byli tam, w odległości kilku kilometrów od siebie. To nie mógł być przypadek, a ona widziała ich na pewno. „Co mogli tu robić? To samo co wcześniej – podpowiedziała jej wyobraźnia – handlują narkotykami, a Jamroz szantażuje Mariannę i kto wie, może z pomocą pseudokelnera więzi ją w Domku Dróżnika. Co robić w takiej sytuacji?”.

– Pani Ewo – powiedziała. – Jutro pojadę do Białegostoku, jakieś zakupy zrobię...Tylko Borsuka zostawię na dwie godzinki, szkoda, żeby się męczył w mieście.

Opanowała ją gonitwa myśli: wpadłam na trop przestępstwa, poszukam policjanta, niech kontaktuje się z Lubeckim w Warszawie. Zdjęć moich, na których Jamroz wyraźnie płacił za narkotyki, już nie ma, ale przecież sama jestem świadkiem. Może pomogę w ten sposób Tomaszowi?

W Białymstoku bez trudu znalazła główną siedzibę policji. Zaparkowała przy Lipowej i siedziała jeszcze w samochodzie, myśląc, co ma mówić, bo nagle głupie jej się wydało, że wejdzie i powie: widziałam przestępcę Jamroza i jego ofiarę Mariannę Hoenszeld, widziałam ich wcześniej i sądzę, że to on włamał się do mojego mieszkania, by ukraść dowody. Nie, nie tak powiem, raczej, że komisarz Lubecki prowadzi sprawę, zawsze Warszawa robi wrażenie. Nie zdecydowała się jednak, bo okazało się, że dzień szykuje jej więcej zaskoczeń. Z komisariatu wyszło dwóch mężczyzn tak bardzo zajętych rozmową, że nie zauważyli, jak Lilka gwałtownie schowała głowę pod maskę. Dołączyła do nich kobieta, w trójkę udali się w kierunku pobliskiej restauracji. Lilka zmieniła zdanie, nie poszła na komisariat, wymanewrowała swoje auto z parkingu i wyjechała z miasta. Teraz wszystko się jej pomieszało. Teraz nie mogła już ufać nikomu. Widziała to na własne oczy: ci mężczyźni to byli Jamroz i Tomasz Słowicki. Dołączyła do nich pani Basia, prawniczka. Nie wyglądali na wrogów. Lilka popatrzyła na swoją obrączkę i straszną obawa ścisnęła jej serce. A jeśli? Jeśli był w to zamieszany i tak się jej pozbył?

*

– Tydzień dobiega końca, ale teraz będę pani sąsiadką. – Lilka pakowała swoje rzeczy do bagażnika, a pani Ewa podawała jej siatki ze słoikami. – Zostałabym u pani i będę panią promować wśród wszystkich znajomych – ciągnęła z uśmiechem – ale nadleśnictwo wynajęło mi ten domek na kolonii i muszę spróbować. Może akurat mi się uda.

Ewa Kitowicz nie uśmiechała się wcale. Polubiła tę dziwną kobietę, która zresztą zrobiła jej śliczne portretowe zdjęcie i obiecała wykonać katalog promocyjny jej agroturystyki. Sądziła, że mieszkanie na kolonii nie może się dobrze skończyć, obojętne, straszy tam czy nie.

– Nie będzie się pani bała, tak sama? – zapytała. – Żeby chociaż pies był większy...

Lilka ucałowała ją w oba policzki.

– Będę zaglądać co drugi dzień – obiecała – muszę przemyśleć kilka spraw i uporządkować swoje nowe zdjęcia. Niech pani tylko nikomu, nikomu nie mówi, że tam jestem. Że w ogóle ktoś tam jest, dobrze?

Ewa pożegnała ją znakiem krzyża, na wszelki wypadek.

*

Lilka była zdumiona, że domek kryje w sobie dobra cywilizacji. Spodziewała się zaledwie elektryczności, co do innych dóbr, to raczej sławojki na podwórku i wody w wiadrze. Okazało się jednak, że niegdyś doprowadzono wodę do kuchni, działa także skromna toaleta. Rumcajs z nadleśnictwa osobiście włączył korki i hydrofor, powzdychał, obszedł kąty, z uszanowaniem sięgnął ręką do czapki i zniknął. Nareszcie była sama, zupełnie sama i tak sama, jak tyko chciała. „Nie uciekłabym dalej od miejskiego świata, nawet klasztor ani cela więzienna nie były lepszym odosobnieniem – myślała w duchu. Komórka ma zasięg tylko przed bramą. Oczywiście nie ma ani radia, ani telewizji, a internet tutaj nie obowiązuje”.

Teraz miała czas na przemyślenie wszystkich zdarzeń, skojarzenie słów i osób. Pozwoliła sobie na dogłębną analizę wspomnień, na prawdziwą żalobę i pożegnanie z pewnym etapem życia. Borsuk przyglądał się jej, kiedy płakała i kiedy śmiała się histerycznie, kiedy spała w samo południe, a po północy

przyrządziła sobie jajecznicę. Przeglądała zdjęcia z archiwum, porządkowała nowe, próbowała wyobrazić sobie własną przyszłość. Może w takim domku jak ten? Może samotnie, może z kimś? W obrazach z przyszłości uparcie towarzyszył jej Tomasz i Darzbór, co było nielogiczne, ale tak silne, że ustąpiła swoim marzeniom. Gdyby tak kupiła od nadleśnictwa tę chatę i zajęła się wynajmowaniem pokoi pojedynczym turystom, takim, którzy muszą odciąć się od świata? Najpierw jednak musiała uporządkować otwarte sprawy w życiu, zupełnie tak samo, jak porządkowała fotografie, układając je tematycznie i chronologicznie od pierwszego po ostatnie. „Kto ją zdradził? Co właściwie działo się na bagnach? Spotykali się na jej oczach handlarze narkotyków czy nie?” – pytała samą siebie. Zdecydowanie kilka kadrów było pustych. Żeby zaufać osobom wokół siebie i uwierzyć w bezpieczne życie na wsi czy w mieście, musiała je zapełnić odpowiedziami. Poddała analizie wszystkie obrazy i słowa, wydało się jej, że powiązała wątki. Tak upłynęły trzy dni i trzy noce, i Lilka zapragnęła ujrzeć istoty ludzkie, a także powzięła pewien plan.

Zaczęła od wizyty u pani Ewy. Gospodyni patrzyła na nią ciekawie, oczekiwała może opowieści niesamowitych, ale Lilka nie zaspokoila jej ciekawości w tym względzie.

– Żaden duch mnie nie nawiedził, pani Ewo – mówiła, śmiejąc się. – Może potrzebują jesiennej słoty. Ale rzeczywiście przebywanie tylko ze sobą jest zarazem oczyszczające, jak i dołujące i niebezpieczne. Ja bardzo tego potrzebowałam, a teraz potrzebuję kontaktu ze starymi znajomymi. Pożywię się u pani i ruszam na zakupy...

Zakupy, telefony, zdjęcia. Istniało na świecie kilka osób, którym powinna dać znak, że żyje: rodzice, Woj, niestety nie Tomasz. Za to na liście zaszczyconych znalazł się jej były mąż Art. Lilka zaczynała odczuwać dotkliwy brak pieniędzy, swoje plany ułożenia sobie życia tutaj oparła w dużej mierze na sprzedaży mieszkania. Art jednak nerwowo i gwałtownie dopytywał Lilkę, gdzie jest i czy przypadkiem nie oszalała, żeby tak zniknąć bez słowa... natomiast w sprawie mieszkania niestety nie miał dobrych wiadomości. Rynek nieruchomości zamarł i wszyscy pośrednicy zachwycali się mieszkaniem, ale życzyli sobie czasu, czasu i cierpliwości.

– Sprzedamy – mówił pocieszająco – ale szkoda z pośpiechu stracić kupę kasy. Czasu, czasu i cierpliwości – dodał z goryczą. – Przypominam, że możesz na mnie liczyć, w razie czego trochę ci pożyczę.

– Posłuchaj, Art... – Lilka była bardzo poważna. – Przyjedziesz tutaj? Chcę dać ci Borsuka na przechowanie. Mam do załatwienia pewną sprawę... nie chcę go męczyć. Kilka dni. Mogłabym podrzucić go do rodziców, ale wiesz... ciebie dobrze zna.

Widziała oczami wyobraźni, jak się krzywi, ale powiedział: „okej, przyjadę, gdzie jesteś?”. Podała adres pani Ewy.

Następny telefon poprzedziła głębokim wdechem. Głos w słuchawce zabrzmiał sucho jak złamana gałąź, ale Lilka nie dała się zrazić.

– Panie komisarzu – powiedziała – to tutaj prowadzą wszystkie nitki. Innymi słowy: ci, co włamali się do mnie, ci, co podrzucali mi proszek i handlują narkotykami. Tak, widziałam osoby, znam miejsca. Sama kompletuję panu dowody... Proszę tak nie mówić, muszę się wtrącić. Proszę tylko przyjechać. Podała adres Darzboru.

– Woj, jesteś teraz w Polsce? – zapytała z mety, żeby uciszyć jego lamenty na temat jej zniknięcia.

– Zostawiłaś mnie tutaj, nie wiem, o co chodzi, pracuję przy sesji z jakimś partaczem...

– Woj – przerwała mu – trafiłam na nich. Chcę przyłapać ich na transakcji i trochę się boję. Przyjedziesz po sesji? Wiem, że nie chcesz do Darzboru, spotkamy się gdzie indziej.

Wojowi jedynemu podała drogę dojazdową do swojej leśniczówki w głuszy. Odetchnęła głęboko. Co będzie, to będzie, kiedy cały ten komisarz zobaczy na własne oczy szajkę, zdjęcia, Jamroza? Może nareszcie zapanuje tu spokój. Tego dnia spała bardzo dobrze, a już następnego wybrała się ze szczerą radością do Igora. Wydał się jej bardziej ożywiony i radosny.

– Wymyśliłem uroczyste dożynki – oznajmił z zapałem. – Urządzą tu tradycyjną imprezę dożynkową! Zobaczysz, jakie będą tłumy! Zarobimy, jak wtedy przy śledziu! – Zmieszał się. – Przepraszam, dla ciebie to był pechowy śledź, ale w Darzborze dobrze zarobiliśmy...

Patrzyła z przyjemnością, jak macha rękami, pokazuje jej, gdzie będą stoły, gdzie muzyka, ciemne włosy spadały mu na oczy, palce zgrabnie biegły ołówkiem po papierowej serwetce, rysował ozdoby dożynkowe i projekt altany... Tak, Igor należał do ludzi, którzy żyli wtedy, gdy mieli misję.

– Gadałem już z księdzem i wójtem – powiedział z dumą – a dziewczyny ze wsi szykują wieńce. Najgorzej, że gospodynie chcą śpiewać dożynkowe pieśni. – Niby zasmucił się na chwilę, a Lilka się roześmiała.

– Niech im tam będzie! Niech śpiewają! Jak dożynki, to dożynki! Co ci szkodzi? A kiedy to ma być?

– Tradycyjne dożynki powinny być w równonoc jesienną. – Igor z powagą pokazywał na ściennym kalendarzu dwudziesty trzeci września. – Zobacz, nawet Słowianie czcili wtedy boga obfitości, a zwał się nie inaczej, jak... Dażbóg! Ha! Ale widzisz, to dla nas za późno. Musimy jeszcze łapać lato. Dlatego – ciągnął – tu przebiegle odwołałem się do tradycji katolickiej: dożynki, wieniec, bochen, ucztą, wszystko w ostatnią niedzielę sierpnia.

– Znakomicie – rzekła Lilka. – Nawet nie wiesz, jak bardzo mi to odpowiada.

Dni biegły szybko, Lilka objeżdżała okolice, stale zahaczając o Dom Dróżnika, leśną chatę, Darzbór, stacje benzynowe... Zgodnie z jej przewidywaniami w Domu Dróżnika pojawiali się mężczyźni, których nie знаła, dokonywali dziwnych transakcji. Lilce udało się zrobić kilka zdjęć i podsłuchać, że umawiają się na imprezę dożynkową. Tego dnia coś się stanie, była tego pewna. Tomasza z Jamrozem także widywała, najczęściej w leśnej chacie, a innym razem pod Darzborem, co upewniało ją w mniemaniu, że Tomasz jednak zamieszany był w tę brzydką sprawę i być może to on włamał się do jej mieszkania. Własne śledztwo Lilki nabierało rozpędu, przeszkadzał jej Borsuk, ledwie powstrzymała go, by nie podbiegł radosny do Tomasza. Szczeknął raz nawet, ale zaaferowani rozmową z Jamrozem nie usłyszeli go. Za to Lilka usłyszała, kiedy Jamroz, wsiadając do samochodu, powiedział ściszym głosem, ale wyraźnie, do komórki: „W ostatnią niedzielę sierpnia”. Tylko Marianna nie pojawiła się już nigdy, co oznaczało, że Jamroz usunął ją w cień. Może wysłał ją do jakiegoś SPA, zamknął jak szejka niewolnicę – rozważała Lilka. Pewnego dnia po powrocie miała wrażenie, że ktoś myszkował w jej leśniczówce. Ślady były znikome, ledwie cień na kapie okrywającej tapczan, nie tak odstawione perfumy. Lilka miała fotograficzną pamięć, była pewna, że inaczej ustawiła rzeczy na biurku. Niemniej może faktycznie tylko się jej zdawało. Nikt nie znał drogi tutaj, nikt, poza Wojem, panią Ewą, no i Rumcajsem... Woj jeszcze nie przyjechał, Ewa nie miała powodu, by myszkować. Chyba że chciała spróbować moich kosmetyków... Tak, to by było jakieś wyjaśnienie. Lilka miała ze sobą znakomite kosmetyki, bo koleżanki makijażystki zwykle dzieliły się pozostałościami po sesjach. Wybrała się do pani Ewy i zastała u niej swojego byłego męża. Przybył po Borsuka. Lilka z żalem rozstawała się z psem, lecz

wiedziała, że teraz musi to zrobić. Nieopatrzny strzał, Borsuk w niebezpieczeństwie, nie chciała nawet o tym myśleć. „Może to Art myszkował u niej w leśniczówce? Ale jak? Ewa mogła mu powiedzieć, gdzie to jest” – rozważała w myślach. Mniejsza o to, Lilka i tak chciała pokazać mu to dziwne miejsce. Nie był zachwycony.

– Jeśli chcesz to kupić za połowę naszego mieszkania, to nie dam ci ani grosza – powiedział zagniewany. Lilka wzięła go pod ramię, odprowadziła do auta.

– A mówiłeś, że nikt mnie tak nie zrozumie, jak były mąż. Błagam, pilnuj Borsuka i przywieź go na te dożynki, dobrze?

– Okej. Ostatnia niedziela sierpnia – obiecał.

„Może powinnam go ze sobą zatrzymać, po prostu zamknąć w leśniczówce, gdy tam pojedę... – myślała gorączkowo, patrząc, jak samochód Arta odjeżdża, a Borsuk przylepia nos do tylnej szyby. – Miałam się z tobą nie rozstawać... Ostatni raz, ostatni raz, piesku, źle by ci było w zamknięciu”. Omal nie pobięła za samochodem. Tęsknota za psem i wyrzuty sumienia szarpały mocno, ale już na drugi dzień błogosławiła swoją decyzję. Kiedy wróciła z punktu obserwacyjnego obok leśnej chaty, gdzie znów widziała Tomasza i Jamroza, sfotografowała ich nawet z ukrycia, zastała panią Ewę szalenie zdenerwowaną.

– Boże, Boże, pani Lilko – wołała z daleka – pożar! Czy miała pani tam coś cennego? Ktoś podpalił leśniczówkę, okropne zniszczenia. Dobrze, że nie było tam ani pani, ani psa...

Lilka w milczeniu obróciła się na pięcie. Pies byłby tam, gdyby nie zabrał go Art. Skóra ścierpła jej na plecach, spod drzewa dzwoniła do Lubeckiego.

– Nadszedł czas, oni już są. I ktoś podpalił moje mieszkanie. Pełno tu policji, ale tutejszej. Przyjeżdżaj pan wreszcie, bez czekania na te dożynki. Już i tak piątek.

– Zobaczymy się jutro – powiedział Lubecki, ale tak się nie stało.

Nazajutrz rankiem Lilka podjechała Carską Drogą pod las, zostawiła samochód w zagajniku i podążyła wśród drzew, cicho stąpając po mchu. Przyczaiła się w zwykłym miejscu i przygotowała aparat. Tym razem szczęście jej dopisało, bo pod Dom Dróżnika podjechał samochód i wysiadła z niego Marianna. „I ty tu jesteś – szepnęła do siebie Lilka. – Rety, ale afera!”.

Już przygotowała obiektyw, namierzyła obraz i wtedy coś miękkiego, ciemnego opadło jej na oczy, ktoś wykręcił jej rękę, a usta zasłoniła chustka

o intensywnym zapachu. „Chloroform – zdążyła pomyśleć, zanim zapadła w sen. – Porywają mnie”.

Przebudziła się w ciemności, oczy po chwili przyzwyczyły się do mroku i Lilka zaczęła dostrzegać kształty przedmiotów. Nie знаła tego miejsca. Mały pokój z małym oknem. Leżała na tapczanie, pachniało skoszoną trawą i gdyby nie związane ręce, byłoby jej całkiem wygodnie. Zdołała usiąść i oprzeć się o ścianę z desek, ale nie mogła uwolnić się z więzów. Opadła ją straszna myśl, że nikt nie przyjdzie. Nie bała się przestępców, którzy wpadną, pobiją ją, zgwałcą, może okaleczą. Przerazała ją myśl, że właśnie nikt się nie pojawi, a ona pozostanie tu na wieki, powoli konając: godnie z głodu i w upokorzeniu, bo z braku łazienki. „Nie, nie – pocieszyła się – niemożliwe, przecież po coś mnie porwano i wiadomo, że nie dla okupu. Gdybym nie oddała Artowi Borsuka... to by się spalił albo teraz ktoś dałby mu w łeb. Nie. Poczekajmy na rozwój wypadków. Kto wejdzie tu pierwszy, ten jest najgorszym wrogiem. To będzie mózg całej afery. Jamroz?”. Usiłowała przypomnieć sobie wszystkie sposoby medytacji i czekać. Ręce jej cierpły, ramiona bolały, minuty dłużyły się jak godziny, dowodząc, że czas jest względny. Upłynęło zaledwie piętnaście minut, kiedy drzwi zaskrzypiały, do ciemnej izby wpadł snop słońca, a na jego tle zarysowała się sylwetka mężczyzny. Znajoma, tak bliska sercu Lilki, że z rozpaczy zacisnęła powieki.

– Błagam, tylko nie ty! – zawołała.

– Owszem, to ja – odpowiedział Tomasz. Podszedł, rozwiązał jej ręce i roztarł przeguby.

– Bardzo bolą? – zapytał, siadając obok.

– Nie bardziej niż serce – szepnęła. – Żal, że to ty.

– Owszem, ja – powtórzył – ale bądź sprawiedliwa, zmusiłaś mnie do tego. Nie dotrzymałaś umowy, miałaś wyjechać. Oszukałaś mnie.

– Ja nie dotrzymałam umowy? – W głosie Lilki gorycz mieszała się z drwiną i rozpaczą. – Ja? Ja cię oszukałam? A kto powiedział, że jest wydawcą? Wydawnictwo Retro w Warszawie – rzekła kpiąco – nie istnieje od trzech lat.

– Więc i to wyśledziłaś? A obiecałaś nie szukać mnie w Warszawie...

Paradoksalnie poczuła się winna. Siedziała nie wiadomo gdzie, w ciemności, porwana przemocą przez tego faceta i tłumaczyła mu się, a on zarzucał jej kłamstwo. On, który najwyraźniej miał kontakty z grupą przestępczą, handlował narkotykami z Jamrozem, włamał się do jej

mieszkania... ale chyba nie skrzywdziłby psa?

– To ty zabrałaś zdjęcia z laptopa? – spytała cicho, a on potwierdził.

– I co teraz? – pytała dalej. – Zabijesz mnie, a ciało wrzucisz do bagna? Pogrzeb zamiast ślubu. – Pomachała dłonią z pierścionkiem.

– Zamierzałem najpierw cię nakarmić – odparł wesoło Tomasz – kielbasą i wiedzą. No i szkoda tego ciała do bagna... Wszystko rozumiesz na opak, Lilko. Niemniej teraz jesteś moją więźniarką i przede wszystkim zamierzam cię tu przetrzymać. Dla twojej informacji: jesteśmy w środku puszczy, w samej głuszy, i nikt o tym nie wie. Mam tu taką noclegownię tubylca. Dookoła bagno, mówię, bo jak cię znam, będziesz chciała uciekać. Nie warto, tylko do poniedziałku, dopóki tam nie rozegra się pewna sprawa. Będę jedynym twoim opiekunem, będę przynosił ci jedzenie, a także wodę do mycia, bo nie ma luksusu łazienki. Kilka dni ze mną? Dasz radę?

Patrzyła na niego, zła na siebie, że tak jej się podoba. Może nawet bardziej, teraz mniej układowy, zdecydowany i zarządzający jej osobą. Zależała od niego, kilka dni? Miało być całe życie. Zrozumiała, że ogarnia ją żal, a mimo wszystko go kocha.

– Jak mogłeś nam to zrobić? – szepnęła żałośnie. – Nigdy ci już nie zaufam. Jak mogłeś? Czemu to akurat ty?

– Mam nadzieję, że wysłuchasz mnie i zrozumiesz – powiedział, ale Lilka na znak, że nie chce słuchać, zakryła głowę poduszką. Westchnął i zniknął, powrócił z talerzem kanapek.

Usiadł obok i powiedział:

– Będziemy tak siedzieli cały ten czas, będę musiał cię wiązać, czy obiecasz, że nie zwiejesz i tym razem nie będziesz oszukiwać?

Tego było za wiele dla skołatanych nerwów Lilki. Znowu ją oskarżał. Łzy złości popłynęły pełną falą, rzuciła się na niego z pięściami, uderzając, gdzie popadło.

– To ty jesteś kłamcą. Ty. Jak mogłeś? Jak mogłeś? Jak mogłeś? Zmarnować wszystko i to wtedy, kiedy pokochałam cię tak mocno? Zabiję ciebie i siebie – oznajmiła, łapiąc oddech.

– Będę musiał jednak cię związać. – Chwycił ją za rękę i wykręcił za plecy. – Przemoc za słowo: „zabiję”. A za „pokochałam” – to...

Pocałował ją zdumioną, w gorące, obrzmiałe od płaczu usta, powtórzył pocałunek, ale rękę ścisnął jeszcze mocniej. Poczowała ból w dłoniach i ramionach, bezradność, ale zarazem przyjemność i pożądanie, szarpnęła się,

ale zapragnęła go intensywnie, tutaj, zaraz, bez względu na to, że była ofiarą, że był silniejszy. A był. Użył przemocy i najwyraźniej sam tracił głowę, pragnął jej, a opór podniecał go jeszcze mocniej. Łatwo przewrócił ją na plecy, przycisnął mocno do ziemi, trzymając jej dłonie nad głową, szukał ustami piersi, gryzł sutki, wracał do ust. Nie czuła strachu, ból pod pachami wzmagał tylko podniecenie i dziwną ekscytację. „Nawet jeśli chciał mnie otruć – myślała gorączkowo, oddając agresywne pocałunki, podając mu siebie mimo uwięzionych rąk – to ciągnie mnie ku niemu niesamowite pragnienie i on też nie może się oprzeć. Więc tak wygląda miłość kata i ofiary?”.

Jak na ofiarę dość chętnie poddawała się jego gwałtownym działaniom. Westchnęła, gdy uwolnił jej ręce, wołała pozostać branką. Dobrze i nieco perwersyjnie było czuć, że oprawca zdiera z niej ubranie, zachłannie spija słoną krew z pękniętej wargi, niecierpliwie sam uwalnia się ze spodni, a jego dłonie ściskają i unoszą jej pośladki. Wypchnęła ku niemu biodra, poszukała naprężonego penisa, pomogła mu znaleźć drogę i poczuła, jak Tomasz wchodzi w nią gwałtownymi uderzeniami, objęła go i przestała w ogóle myśleć.

Najpierw usłyszeli ciszę intensywną i miękką, potem własny oddech. Lilka zrozumiała, że leży naga przy Tomaszu, pod jego ramieniem.

– Chyba pokocham pozycję misjonarską, z lekkim dodatkiem sado-maso – powiedział nad ranem z niepewnym uśmiechem. Wciąż bał się o nią, starał się być delikatny, tymczasem poniosło oboje w niebezpiecznym kierunku.

Wspomnienie kilku minionych godzin sprawiło, że Lilka uśmiechnęła się i wtuliła w niego jeszcze bardziej. Nie chciała wracać do rzeczywistości. Wyczerpana, zmęczona, spełniona i bardzo nieszczęśliwa. Nie umiała skupić się na chwili obecnej, kalkulacje umysłu kazały analizować przyszłość. Co z nami będzie? Pocałowała go nad górną wargą, lekki zarost podrażnił jej zranione usta. Tomasz otworzył oczy i uśmiechnął się. Przewrócił ją lekko na plecy, znów uwięził ręce nad głową i powiedział: – A teraz mnie wysłuchasz. Powiem ci prawdę, wszystko co mogę. Zresztą, oszukałem cię tylko jeden raz i wcale nie tak bardzo.

W miarę opowieści jakby zapominał o jej obecności, odsunął się, oparł o ścianę. Wracał do zdarzeń sprzed lat. Mówił tak, jakby prezentował to wszystko sam sobie, jeszcze raz. Oswobodzone ręce Lilki, wbrew jej rozumowi, wsunęły się w jego dłonie. Słuchała historii dwóch braci. Różnica wieku, jaka ich dzieliła, nie była wielka, trzy lata, a jednak wystarczająca, by starszy matkował czy też raczej „ojcował” młodszemu.

– Wychowaliśmy się na miejskich podwórkach pod blokami. – Tomasz uśmiechał się do swoich wspomnień. – Najlepsze przyjaźnie zawiązywaliśmy za śmietnikami, a pierwsze dziewczyny całowaliśmy na trzepakach. Janek zawsze pętał się za mną jak ogon, a matka kazała mi go pilnować. To był błąd, bo rósł w przekonaniu, że zawsze może na kogoś liczyć, ale ten ktoś, czyli ja, rządził nim oczywiście. I bronił go, tak, a jakże. Mój brat nie był operatywny, niczego nie umiał załatwić, ale miał niesamowitą wyobraźnię i smykałkę do nowinek technicznych. Kochał muzykę, założył zespół, nawet niezły, walili w perkusję w piwnicy... znał każdą nową postać odtwarzaczy, magnetofonów i tak dalej. Stanowiliśmy dobry zespół. Jak on wymyślił muzę i przećwiczył chłopaków, ja natychmiast organizowałem koncert i sprzedawałem bilety, a jak ktoś nie miał kasy, to wchodził za inne usługi i towary: fajki, butelkę wina... To były czasy! Chodziliśmy do tej samej szkoły średniej, tyle że ja kończyłem – on zaczynał. Rozdzieliły nas studia, ja wyjechałam do Warszawy, Janek nie, został w Białymstoku na polibudzie... chyba specjalnie, chciał się uwolnić od brata. No i ta samodzielność słabo mu wyszła. Ja studia skończyłem, on nie. Ale czasy nastały ciekawe, więc wróciliśmy do siebie i zostaliśmy współnikami. Założyliśmy wydawnictwo. Bardzo prężne. Ja działałem w Warszawie, Janek tutaj prowadził filię, a że profil mieliśmy krajoznawczy, ładnie promowaliśmy region, to znalazły się pożyczki i dotacje. Nagle staliśmy się bogaci. Janek zapragnął inwestować w hotelarstwo, ja zacząłem pisać książki. Więc inwestowaliśmy, ja pisałem, pieniądze naprawdę płynęły strumieniem. Mieliśmy już dobre samochody, duże mieszkania, a Janek wciągnął się w budowę hoteli, marzył o całej sieci: Supraśl, Hajnówka i tak dalej. Tylko widzisz, będąc obok siebie, straciliśmy się z oczu. Ja popadłem w amok pisania, nie zauważyłem... nie zauważyłem, że on nie jest szczęśliwy. Nie miał nikogo. Nasz ojciec dawno zmarł, matka wyjechała do innego miasta. Ja sam w tym biegu za sukcesem, za kasą, za sławą, nie zdążyłem założyć rodziny, a nad nim się nie zastanawiałem, widocznie też nie zdążył. Zazartowałem kiedyś: nie wiadomo, który pierwszy się ożeni, a Janek nic nie powiedział. Zrozumiałem wszystko dopiero po roku, kiedy odwiedziłem go na budowie ostatniego hotelu, nagle pełnego entuzjazmu, ile miał pomysłów, tryskał energią i tym razem był szczęśliwy. U boku przyjaciela, jak to się mówi: partnera, kochanka. Przeżyłem szok. Nie było wątpliwości: był zakochany w mężczyźnie z wzajemnością, razem tworzyli nasz najnowszy zajazd i razem chcieli odciąć się w nim od reszty świata. Tutaj, na prowincji

podlaskiej i w dodatku parę ładnych lat temu? To się nie mogło udać. Przyznam, wściekłem się, szalałem, nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Jak mogłem wcześniej nie zauważyć? Przecież zbiłem chłopaka, który kiedyś na boisku naśmiewał się z Janka, nazwał go lalką. Nie chciałem chyba dopuścić do siebie tej myśli. Tak czy siak, pokłóciliśmy się, ja wyjechałem, odciąłem się, zostawiłem mu cały biznes. Byłem już wziętym pisarzem, mogłem skupić się na książkach, podróżach. Tymczasem wydawnictwa zaczęły mieć kłopoty, rynek się zmienił, a przy tym Janek nie ogarniał całości i popadał w długi, niebezpieczne znajomości, dziwne układy. W tym czasie rozwinęły się tutaj różne organizacje mniej lub bardziej legalne, handlujące za wschodnią granicą, szajki, mafie, jak chcesz. Jedna z nich wciągnęła Janka. Dali mu ochronę i kasę, za to w hotelach czuli się jak u siebie. Próbowali skusić go romanssem z atrakcyjną kobietą, źle trafiła. Niełatwo się wyplątać z takiej siatki, niełatwo w niej tkwić. Janek chciał się usunąć. Ktoś rozpuścił wieść o nim i jego partnerze. Najpierw znaleziono jego przyjaciela pobitego. Potem zaczęły się pogrożki, a organizacja wykupiła wszystkie długi mojego brata i zażądała zwrotu. Janek odezwał się do mnie, wciąż byłem współnikiem. Zaczęliśmy sprzedawać kolejne obiekty, żeby tylko go wyzwolić. W końcu został nam tylko ten jeden, ostatni, do którego Janek chciał uciec przed światem ze swoim chłopakiem. Hotel ukryty na końcu świata, zatopiony w puszczy i w bagnach. Jak się domyślasz, Darzbór. Jego oczko w głowie. Nadzieja. Prawie się udało.

– Igor? – zapytała cicho. Tomasz potwierdził.

– Gospodarowali razem całkiem udatnie, bo obaj wizjonerzy, ale Igor miał coś, czego Jankowi brakowało: zmysł organizatora. Niestety Darzbór, położony w dużej odległości od miast, idealnie nadawał się na spotkania przemytników, a szajka nie chciała dać im spokoju. W dodatku Igor się łamał. Bał się ich. To dość nietolerancyjni ludzie w pewnych sprawach, a i on sam jakoś nie do końca mógł pogodzić się ze sobą... Zaczęli go szantażować. Zaczęli żądać coraz więcej. Janek się stawiał, złożył doniesienie na policji. I nastąpiło najgorsze: zabili mojego brata i utopili jego ciało w bagnach. Znalazłem je bez palców. Znak kary za zdradę.

Wspomnienie musiało wciąż boleć Tomasza, bo zamilkł, i Lilka poczuła, że zadrżały mu ręce. Uścisnęła je mocno.

Najpierw szalałem, poruszyłem niebo i ziemię, znajomych w policji, bo mam sporo. Szajka rozplynęła się w tutejszej mgle. Nikogo nie znaleziono,

znikli. Wszystko przycichło, handel przeniósł się gdzie indziej, ja do Warszawy. Zamknąłem wydawnictwo po śmierci Janka. Ale byłem współwłaścicielem, nie kłamałem ci tak bardzo. Nawet nie wiem, czemu tak ci powiedziałem, widzieliśmy się pierwszy raz, podobałaś mi się, wyjechałaś z tym albumem... Co było dalej, wiesz. Spotkaliśmy się tutaj. Lilko, jesteś pierwszą kobietą, z którą było mi tak dobrze, że chciałem to kontynuować. Ale byłem wtedy w Darzborze ze względu na śledztwo: właśnie pojawiły się znaki, że powrócili oprawcy mojego brata. Reaktywacja handlu, nowy, podobno genialny szef, jakiś Husar, dobry punkt. Nie chciałem cię w to wciągać, tłumaczyć. Dlatego prosiłem, żebyś nie szukała mnie w Warszawie. Sam bym ci to wyjaśnił. Po wszystkim. Magiczne słowo z filmów akcji, nie?

– Więc Igor nie jest właścicielem Darzboru? – zapytała.

– Nie. – Tomasz sięgnął po papieros. – Darzbór jest mój. Igor jest dyrektorem zarządzającym. Chce kupić udziały, do tego potrzebna nam była Basia, bo ja się pewnie zgodzę. Po wszystkim.

Lilka poczuła, że jednak nic nie rozumie. Nawet jeśli kieruje nim chęć zemsty za brata, to po co kumać się z Jamrozem? Czy chciał przeniknąć do szajki i niczym Wallenrod Krzyżaków rozbić ją od środka?

– Jeśli – zaczęła ostrożnie – jeśli ścigasz zabójców brata, to czemu masz kontakty z tym ich genialnym przywódcą?

– Czyli z kim? – zapytał zdziwiony.

– Z tym siwym łbem, Witoldem Jamrozem. – Wzdrygnęła się. – Widziałam was obu w Domu Dróżnika.

– Skąd ci przyszło do głowy, że to ich szef? – zapytał rozbawiony. Powstrzymał się, by nie ryknąć śmiechem.

– Jak to skąd? – Lilka była pewna swego. – Przypomnij sobie zdjęcia, które znikły, które sam kasowałeś. Jamroz w leśnej chacie, z tym Staśkiem, którego potem zabili, Jamroz z jakimiś chłopakami nad białym proszkiem, mało?

– Mało. Chociaż to prawda, że zdjęcia narobiły ci kłopotu, a także zgubna ciekawość i twoja cicha, a wszędobylska natura. I kompletny brak umiejętności śledczych – dodał. – Lilko, nie gniewaj się, ale z tym psem i aparatem byłaś widoczna jak na dłoni. Oczywiście, że widziałaś mnie z Grabcem, to znaczy z Jamrozem, my też cię widzieliśmy. Skradałaś się jak Winnetou, tylko głośno. Jeśli ludzie z szajki spotykali się tutaj, też cię przyważyli, ale pewno nie wiedzieli, co tam zdążyłaś sfotografować, dlatego wzięli cię pod lupę. I tak zaczęły się twoje kłopoty: od sfotografowania Domu

Dróżnika!

– Czemu Grabiec? – niemal krzyknęła.

– A, to stary pseudonim z naszej wspólnej akcji na Podlasiu. Grabiec wiele lat pracował w służbach mundurowych, teraz jest detektywem, pomaga w tej sprawie policji... i mnie. Nie jest najmilszy ani dobrze wychowany, zgoda, ale dobry w tym, co robi. Pies na baby, nie przebiera w środkach.

Lilka wspomniała, jak ją obraził. Rzeczywiście. Ale przecież...

– Ale przecież on jest sponsorem Marianny! Byliście razem na Wielkim Pokazie, widziałam was przez chwilę.

– A potem już nie, prawda? Spotkaliśmy się tam z pewnych względów. Chodziło właśnie o Mariannę... Nie wszystko mogę powiedzieć, jeszcze nie teraz... Ale przysięgam: on nie jest niczym sponsorem. Z kobietą, o której mówisz, ma własne porachunki. Owszem, chcieliśmy ją zobaczyć na pokazie.

– To kto jest tym sponsorem? – Ogarnęła ją przerażająca myśl. – Ty?

– Nie stać mnie. – Tym razem Tomasz się nie uśmiechnął. – Wątpię, czy ona w ogóle ma sponsora. To niebezpieczna kobieta.

Ano właśnie. Lilka znów poczuła się malutka i nic niewarta. Kto by o niej powiedział, że jest niebezpieczna? Ośmieszyła się. Swoim śledztwem, obserwowaniem, dowodami. Wyszła na idiotkę i to słabą, a Marianna jak zawsze niebezpieczna, nawet nie ma tego sponsora. Więc nie była niczyją ofiarą.

– Nie wszystko rozumiem. – Lilce zbierało się na płacz. – Ale jedno pewne: nie jesteś handlarzem narkotyków.

– Nie jestem – odpowiedział.

– Nie jesteś też wydawcą? Co robiłeś wtedy na Powiślu, jak wpadliśmy na siebie?

– Byłem u Grabca. Potem naprawdę miałem sprawę w wydawnictwie. Pamiętaj, że jestem pisarzem i wydaję kolejną książkę.

– A Stasiek? Nieszczęsny kelner?

– Stasiek stał się ostatnią ofiarą mafii. – Tomasz postanowił wyjawić jej wszystko. Prawie wszystko. – Prawdopodobnie nie zapłacił za towar. Widzisz, wszystko zaczęło się tu od początku, wrócił szef mafii, szykują przetrzut dużego towaru. Nagrana jest cała akcja i nagle pojawiaasz się ty. Doprawdy tak łatwa do namierzenia, w tej leśniczówce, ale jak już zaczęłaś kręcić się za nami, zrobiło się niebezpiecznie.

– Dlatego mnie porwałś?

– Wręcz dostałem takie polecenie, chociaż może okazałem trochę nadgorliwości... Jesteśmy u progu rozwalenia grubej szajki narkotykowej w najlepszym momencie, jaki może być, bo na gorącym uczynku. A ty omal wszystkiego nie psujesz, dzwoniąc do Lubeckiego. Co by było, gdyby on był podstawiony? Omal nie wygadałaś się przed swoim byłym mężem. Znamy termin przerzutu.

– W ostatnią niedzielę sierpnia, dożynki?

– Tak, właśnie, a ty ściągasz tu ludzi i trąbisz o tym po całej Warszawie. Musiałem cię wyeliminować z gry. Kombinowałem i nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Okazałaś się bardzo niebezpieczna, kochanie.

Chociaż to.

– Ale to nie ty włamałaś się do mnie i nie ty podsypywałaś mi truciznę?

– Nie. Jak mogłaś tak pomyśleć? – szepnął zdruzgotany, z wyrzutem. – Nosiałaś moje dziecko, chociaż fakt, że o tym nie wiedziałem. Nigdy nie dosypałbym ci trucizny. I – dodał szybko: – Nie wiem, nie wiem, kto to był. Nie wszystko wiadomo.

– Ostatnie pytanie. – Lilka, która czuła teraz ulgę, a chociaż prawda była trochę upokarzająca, to powolutku ogarniało ją szczęście. Popatrzyła na obrączkę z perełką. – Czyli kłamałaś tylko z tym wydawnictwem? Nic więcej?

– Nie. – Tomasz wiedział, o co jej chodzi. – Naprawdę nie. Bardzo cię kocham. Po wszystkim dokończymy nasze sprawy, ślub w Darzborze. Mam wydawcę na album, co ty na to? Ale błagam, po dożynkach, dobrze?

Lilka powiedziała „tak”, ale nie użyła do tego słów, lecz misjonarskiej uległości. Powrócili do powolnych pieszczot, kołysania się w sobie, zapamiętani w cierpliwym narastaniu rozkoszy. Mogła się z nim tak kochać w nieskończoność, nie chciała niczego zmieniać, zastanawiała się, czy zawsze tak będzie i czy może uda się jej znowu zająć w ciążę. W chacie myśliwskiej pachniało sianem i miłością, ostatnia niedziela sierpnia błysnęła słońcem, a kilka kilometrów na południe, w pięknym Darzborze zaczynała się uroczystość dożynkowa.

*

Przygrywała ludowa kapela, chór gospodyń Podlasie szykował się do wejścia na scenę. Minęła trzynasta, rozpoczęła się uroczysta msza w najbliższym

kościół, więc jeszcze nie było tłumnio. Główne uroczystości zapowiedziano na piętnastą, ale już napływały fale mniej bogobojnych gości. Igor miał pełne ręce roboty i głowę zajętą skomplikowanymi działaniami logistycznymi. Wiedział, że jego dożynki tym razem będą nie tylko dochodową uroczystością, ale szykuje się tutaj coś więcej. Pozornie słonecznie, ludowo i kolorowo, trochę politycznie, w prowincjonalnym wymiarze. W rzeczywistości kilka osób, których Igor nie znał, ciemne auto z warszawską rejestracją, wozy policyjne ustawione jawnie jako obsługa imprezy i mniej jawnie jako wsparcie dla służb specjalnych. Policjanci znakomicie udawali biesiadników. Igor nie cieszył się, że reaktywowana szajka wybrała akurat jego Darzbór na transakcję, ale otwartą raną paliło go wciąż jeszcze wspomnienie Janka Słowickiego i jeśli w wyniku tej akcji miał wreszcie wpaść jego morderca, mógł znieść ten dzień. Amatorzy piwa i tańca nie przypuszczali nawet, że znajdują się w czymś na kształt gangsterskiego filmu. Igor miał nadzieję, że nie dowiedzą się o tym w ogóle, bo nie przewidywał żadnej strzelaniny. Tomasz podejrzewał, że za budynkiem dokonają wymiany proszku na pieniądze, służby szykowały się do obławy. Pojawił się już Witold Jamroz i śledczy z Białegostoku, prowadzący sprawę. Mieli nadjechać miejscowi notable, urzędnicy i najlepsi gospodarze. Igor wypiekł imponujący bochen w chlebowym piecu, ale do wieńców z jarzębiną, kaliną i kłosami zbóż nie wtrącał się dziewczynom ze wsi. Bóg raczy wiedzieć, jakie wiechcie przyniosą, ale co tam – myślał sobie, czując narastające zdenerwowanie – a przecież już jest telewizja Białystok i lokalne radia. Nagle zamarł, bo ujrzał znajome ruchy, postać, która nie była mu obojętna i która nie miała prawa tu być. A oto, proszę, z uśmiechem zbliżał się ku jego stanowisku Woj Wu. Ręce Igora zdrząły przy powitaniu.

– Przyjechałem pomóc Lilce, wezwiała mnie – rzekł uspokajająco Woj. Był już w leśnej chacie, także u pani Ewy, pod adresem, który podała, ale nie zastał nikogo. Naturalnym skojarzeniem przyjechał tutaj. Wszyscy ludzie z okolic są dzisiaj tutaj. A także pół białostockiej policji, a z nimi gość z Warszawy, powiadomiony o sprawie komisarz Lubecki. Wszyscy?

- Lilki nie ma – powiedział Igor. – I w ogóle nie wiem, gdzie jest.
- No jak to? – Woj zdziwił się i zaniepokoił. – Jak to nie ma? Przecież była.
- Była, ale nie mieszkała u mnie. – Igor nie sądził, by Woj wiedział o akcji.
- Nie widziałem jej od tygodnia.
- Jak może jej nie być, skoro jest jej pies? – Rzeczywiście, od strony

parkingu biegł rozentuzjasmowany, ziejący z gorąca Borsuk. Z radością rzucił się na zdumionego Igora, potem przywitał Woja, ale wyraźnie szukał kogo innego, bo obiegnął obejście i wrócił z pytaniem w psich oczach.

– Borsuk, noga! – Ten głos nie był obcy Wojowi. Psa wołał Art, sam zdumiony, że znajduje się w tak dziwnym miejscu. Podszedł do mężczyzn, a Woj dokonał prezentacji: to Igor, szef zajazdu, to Art, były mąż Lilki Gajewskiej.

– Właśnie, a gdzież ona jest? – zapytał Art. – Kazała mi tu dziś przyjechać, oddać psa.

– Tak samo jak mnie – rzekł zdumiony Woj. – I mnie tu ściągnęła.

– Czy nie widzieli panowie przypadkiem pani Gajewskiej? – zapytał urzędowo gość w okularach i garniturze. – Jestem Lubecki, policja warszawska, miałem od niej informację, że będzie tutaj u pana – zwrócił się do Igora. Igor bezradnie rozłożył ręce.

– Mogę tylko powiedzieć, że to jej pies.

– A to jej były mąż – dodał Woj.

– No i jej osobisty fryzjer – rzucił kpiąco Art, który miewał przebłycki poczucia humoru.

Czterech mężczyzn popatrzyło na siebie w zdumieniu, ale też z niepokojem. Obok nich usiadł rozczarowany pies. Tymczasem drogą od kościoła napływał sznur samochodów, wysiadali garniturowi dostojnicy, panie w kostiumikach i kościółkowych kapeluszach. Zaczynała się oficjalna część, tym razem mikrofony działały bez zarzutu. A kiedy przemawiał wójt, a dziewczęta niosły wieńce, w głębi lasu, bardzo daleko od szosy, odgradzona od świata bagnami para nadrabiała stracony czas. Lilka z Tomaszem kochali się w domku myśliwskim, niespiesznie, do syta, przekonując się wzajemnie, że z pewnością nie zostaną na zawsze przy pozycji misjonarskiej. Tomasz pozbył się wyrzutów sumienia, że nie bierze udziału w akcji, szczęśliwy, że zdołał ją odseparować od tych zdarzeń. Lilka pragnęła pozostać tutaj, za bagnami, za lasami, na zawsze i oddałaby za tę niedzielę wszystkie dożynkowe i kryminalne atrakcje.

Na dożynkach zresztą nie działo się nic szczególnego. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy minęła nudna część oficjalna, przemówienia i błogosławieństwa, wręczanie chleba i wybór najpiękniejszego wieńca. Bochen, przekrojony i pachnący, umieszczono godnie na stole prezydialnym. Igor, chociaż przerażony i dodatkowo poruszony przybyciem Woja, spokojnie zadysponował obsługą, by podawała flaczki, żurek i małe chlebki, które miały zdobić

wszystkie stoły. Zamówiono ich sto dwadzieścia, przybyły rano z piekarni specjalnym samochodem dostawczym. Igor powrócił do grona poszukiwaczy Lilki, powiększonego jeszcze o Jamroza, ale podbiegł do niego zmieszany pomocnik Józek.

– Sefie – powiedział, sepleniąc – sef się nie denerwuje, ale nie ma wozu z bochenkami.

Igor popatrzył na niego jak na idiotę.

– Jak to nie ma? Sam rano podpisywałem dostawę.

Chłopak z przejęciem, ale też z pełnym poczuciem, że przynosi wieść sensacyjną, przytaknął.

– No ja tes, psecies ja widział. Dostawcy volkswagen, biały z reklamą piekarni: bułeczki i rogalce, takie ładne na bokach... Ukradli!

– Co ty gadasz, Józek, kto, co, po co?

– A może po to? – Gorliwy Józek z dumą wyciągnął przed siebie rozłamany bochenek. – Ja jeden wziął, sefie, pysznają, bo tak pachniały. A tu w środku nafaserowane!

Czterech mężczyzn wbiło wzrok w rozłamany bochenek chleba. Nadzienie zaiste przedstawiało się sensacyjnie: biały proszek, w specjalnych paczuszkach, ładnie i apetycznie opieczony skórką chleba. Przynajmniej trzech: Igor, Jamroz i Lubecki nie mieli wątpliwości, co to może być. Jamroz i Lubecki jednocześnie sięgnęli po komórki.

– Zmiana planu, wywieźli towar.

– Ale gdzie, u cholery, gdzie?

– Ja chyba wiem gdzie – szepnął Jamroz.

– Dom Dróżnika? Leśna chata? Leśniczówka Lilki?

– Myślę, że to byłoby za proste – powiedział Jamroz. – Za bardzo na widoku. Tomasz mówił mi o innym punkcie. Miał tam ulokować Gajewską, żeby się nie kręciła przy akcji. Spryciarze mogli tam ruszyć... Jest tu gdzieś miejsce ukryte w bagnach, szalas myśliwego, o którym nikt prawie nie wie? Popatrzył na Igora i na Józka, ale obaj wyglądali na kompletnie zaskoczonych.

– W takim razie pozostajesz nam ty. – Jamroz jak zawsze bez uśmiechu, sękatym paluchem wskazał na psa. – Macie tu coś, co należy do Gajewskiej?

Igor przyniósł chustkę, którą zostawiła, i mężczyźni wyszli z psem w las.

Art czuł się jak wariat grający w absurdalnym reality show, ale kiedy na prośbę Jamroza popatrzył w rozumne oczy psa, przyłożył mu chustkę do nosa i wydał rozkaz: szukaj, Borsuk, pani szukaj. Pies biegał niepewnie ścieżyną,

robił okręgi i już tracili nadzieję, kiedy w pewnym momencie jednak złapał trop i cała grupa musiała przypomnieć sobie sport zwany joggingiem. Jamroz nadawał coś przez komórkę, tłumaczył komuś wskaźniki, Borsuk miał w głowie jedno: pani, szukaj pani.

*

Pani tymczasem wydobyła się z ramion Tomasza i stwierdziła, że cudowne miejsce ma jednak skazy na doskonałości, bo oferuje jedynie wodę ze studni, a toaletę za krzakami. Była tu jednak z mężczyzną, który przyniósł tę wodę, potrafił rozpalić w prowizorycznej kuchni i kiedy po wędrówce w las i z powrotem zorganizowała sobie prymitywne mycie w misce, wyczarował śniadanie, wprowadził z puszek i sucharów, ale dawno nic jej aż tak nie smakowało.

– Pamiętasz, Tomku, jak pierwszego wieczoru w Darzborze wygłupialiśmy się, snując wizje po pijaku? Jak to by było, gdyby fala zmiotła cały świat i gdybyśmy zostali tylko my? Byłeś przy tym?

Tomasz pamiętał.

– Miałaś minę, jakbyś tego właśnie chciała.

– Tak. – Przeciągnęła się. – I teraz chcę. We dwoje od nowa zaludniliśmy świat, co? Możemy zresztą ocalić ludzkość, po prostu założymy tu prymitywną osadę. Brakuje mi tylko psa. Art ma go dziś przywieźć na te dożynki.

– Ciekawe, co tam się dzieje. – Tomasz zamyślił się. Ubrany w kraciastą koszulę i džinsy, siedział za niby-stołem ze skrzynki i otwierał puszkę z owocami. Niepokój przemknął przez jego twarz. Lilka przysunęła się, usiadła mu na kolanach, z przyjemnością pogłaskała zarost.

– Za tydzień miałbyś całkiem porządną brodę – powiedziała. – Nie martw się, kochany. Dadzą sobie radę bez nas, Borsuk poczeka u Igora. Nareszcie cię odnalazłam, jesteśmy sami i bezpieczni...

Wzięła do ust brzoskwinię z puszki i podała mu, obejmując go za szyję. Tomasz już poczuł jej smak i słodkie od sosu wargi Lili, kiedy ich sielanek zburzył hałas samochodów i motorów. Lila przywarła do niego, ukryła twarz, gdy ktoś kopniakiem otworzył drzwi na oścież. Wpadli jacyś obcy ludzie, Tomasz cały czas trzymał ją na kolanach i teraz uświadomił sobie, że jest naga.

– No pięknie! – Głos, który usłyszała Lilka, spowodował, że krzyknęła

i raptownie odwróciła głowę. Znała go doskonale, to był głos kobiety. Tak, w drzwiach, tym razem nie w sukni, tylko w kombinezonie i sportowej czapce kryjącej rude włosy stała Marianna Hoenszeld. Trzymała pewnie całkiem spory rewolwer.

– No pięknie – powtórzyła – przepraszam, że wam przeszkadzam, ale co tu, kurwa, robicie?

– Chyba pani widzi. – Tomasz zdołał ubrać Lilkę w swoją koszulę. – Uprawiamy seks. Nie przedstawiano nas, jestem Tomasz Słowicki.

Marianna roześmiała się.

– Kim ja jestem, zapytaj pan Lilkę. Widzę, widzę. W innych okolicznościach... może chciałabym się przyłączyć. A tak, niestety, będzie trzeba was zabić.

Lilka w za dużej koszuli Tomasza zerwała się na równe nogi, szczupła, dzielna, połyskująca gołymi udami stanęła prosto. Nie obchodziło ją, że Marianna wymierza w nią lufę rewolweru.

– Już raz chciałaś, prawda? To ty, suko, trułaś mnie w Warszawie.

Marianna zaśmiała się, jakby aksamitnie.

– No niezupełnie – powiedziała – ja tylko raz, kiedy na sesji przyniosłam nam kaktusowe koktajle. Wiesz, kto to robił? Systematycznie i porządnie? Ala. Należy do nas.

Lilka zamarła. No tak, Alicję, pomoc domową, załatwiła jej przecież Marianna. Ala była u niej codziennie. Więc to Alicja.

– I Alicja zwinęła mi zdjęcia?

– A nie, to ja, po pamiętnej, czulej wizycie. Opowiesz o niej swojemu kochankowi? Nie zdążysz, szkoda!

– Po co było włamanie?

– Opowiadałaś wszystko na sesjach, idiotko, o tym, że masz zewnętrzny dysk też. Naprawdę miałam do ciebie słabość, nie chciałam cię zbijać... dawki mogły być większe, a prochy silniejsze.

– Nienawidzę cię za psa.

– Przecież przeżył. A ty za to znów popadłaś w tarapaty, no, no. To miejsce, gdzie... uprawiacie seks, znały tylko dwie osoby na świecie. Ja i Janek Słowicki. Zbieżność nazwisk?

– Nieprzypadkowa – powiedział głucho Tomasz. – To miejsce znali tylko dwaj bracia: ja i Janek. On i ja. Pokazał je pani?

Marianna pokiwała głową.

– Ano. Tutaj próbowałam nawrócić go na heteroseksualizm. Prawie mi się udało... do niego też miałam słabość. Po raz drugi szkoda. Niestety Janek zdradził i mnie, i sieć, więc źle skończył. Było, minęło, jest teraz. Ja muszę dokonać tu największej transakcji życia. Niestety bez świadków. Potem znikam i może odnajdę się w Chile, Argentynie... macie pecha, bo nie przeszkadzałabym.

– Marianno – zapytała Lilka – skoro tak, powiedz wszystko. Kto jest twoim tajemniczym sponsorem?

– Nie żartuj! Zawsze byłaś naiwną lalką. Ja nie miewam sponsorów, miewam przelotnych kochanków, wykonawców, robotli. To ja bywam sponsorem, to ja jestem szefem tej zgrai facetów. – Marianna pokazała na okno. I muszę tam iść, bo nie oddadzą towaru beze mnie. A za towar jest wielka kasa.

– A Ksawery? – Lilka miała poczucie, że muszą przedłużyć tę rozmowę.

– Kto to jest Ksawery? – zapytała zimno Marianna. – Ktoś po drodze. Zdziwisz się, ale jeśli kogoś będę pamiętała, to ciebie. Mimo marnego pochodzenia i słabości, masz w sobie odwagę. Podeszła bliżej. Tomasz usiłował zasłonić Lilkę, ale to Marianna miała broń. Mierzyła w Tomasza, zawołała pomocnika, który posadził Lilkę na krzesło i związał jej ręce. Podeszła, pochyliła się, lekko pocałowała Lilkę w usta. Lilka sztywna jak manekin nie odpowiedziała na pocałunek ani na uśmiech.

– Szkoda – powiedziała cicho Marianna, głaszcząc pierś Lilki – wciąż szkoda.

Tomasz zorientował się z przerażeniem, że ten widok nie wzburzył go, lecz podekscytował. Westchnęła i odwróciła się ku drzwiom. Spotkała pytający wzrok Tomasza.

– Nie, no sama nie zabijam. Twojego brata też załatwił wykonawca, myślisz, że mnie zależało na tych palcach? Jakiś tutejszy przesąd, jeszcze sprzed dwóch wojen. Swoją drogą, historia zatoczyła koło. Czy ona wie, że jesteście potomkami dróżnika?

Milczenie odpowiedziało, że nie.

– Tak, Lilko, on nie bez powodu zna tak dobrze te stare historie. Domek należał przed wojną do Słowickich, kupili od państwa mimo jego złej sławy. Nie uniknęli nieszczęść. Teraz to dobro parku, ale i ja może miałabym pewnie jakieś prawa. Jestem wnuczką tej szalonej panny, która miała dość bagien i klątw, i zdołała uciec z kochankiem. Wcale nie utonęła, zemścili się za gwałt

i upokorzenie, zbiegli do Niemiec. Babcia była gniewna, pełna buntu, mama potulna, a ja jestem podobna do babci. Ojciec wychował mnie w nienawiści do Żydów. Sam był cudownym człowiekiem, sadystą, uwielbiał bić do krwi. Przez niego znienawidziłam mężczyzn. Mężczyźni nie są warci naszych uczuć, Lilko. Mnie zawiedli wszyscy: ojciec, brat, pierwszy mąż. A jedyny, którego pokochałam... wybrał mężczyznę.

– Bardzo tego żałuję – powiedział Tomasz – naprawdę wolałbym, żeby Janek wybrał panią... Lilko, powiedziałbym ci o tym, po wszystkim..

– Co z tego? Ciesz się, że umierasz po takiej nocy. – Marianna uśmiechnęła się lubieżnie. – Masz podobne oczy. Może tym razem zrobię to sama.

W tym samym momencie ktoś wyważył drzwi. Huk wypełnił pomieszczenie, a zarazem krzyk, szczekanie, szczęk broni. Na Lilkę skoczył jej własny pies, jazgocząc i oblizując policzki swojej pani.

– Aresztowani, jesteście aresztowani – krzyczał ktoś na dworze.

– Tomasz, Borsuk, Tomasz – krzyczała Lilka – jesteś ranny?

– Nie, nie. – Tomasz wydobywał się z dymu. – Pies ją potrącił, nie trafiła. Tomasz chwycił Lilkę za ręce, zaczął szarpać sznurki, Borsuk warczał, do chaty wpadli jacyś mężczyźni. Jeden z nich brutalnie powalił Mariannę, kolaniem przycisnął do ziemi.

– Witaj – powiedział – zawsze wiedziałem, że spotkamy się jeszcze raz. Był to Witold Jamroz. Marianna zaśmiała się mu w oczy i po raz pierwszy w życiu Lilka zobaczyła, jak mężczyzna uderzył kobietę w twarz.

– Nie przeszło ci – syknęła – zawsze byłeś damskim bokserem.

– Nigdy – odpowiedział Jamroz – ty mnie nim zrobiłaś.

Drugi mężczyzna podbiegł do Lilki, która najspokojniej zemdląła z natłoku wrażeń i emocji.

– Tutaj, lekarza, tutaj, jestem jej byłym mężem – mówił gorączkowo Art. Ale Tomasz już ją ocucił, pomógł jej się podnieść, objął i z całą satysfakcją powiedział:

– Za późno, proszę pana. Ja też jestem jej mężem. Przyszłym.

Wyszli objęci, z psem przy nogach, przed domek, który przez cały czas swojego istnienia nie widział tyłu osób, mundurów, samochodów i... chlebków.

Ślub odbył się w kościele w Goniądzu, a uroczystość weselna oczywiście w Darzborze. Lilka niby nie chciała hucznej imprezy, ale zaproszone grono i tak wypełniło salę kominkową po brzegi. Zaprosiła nawet Artę, ale był jedynym gościem, który nie przybył, w związku z tym zdjęcia musieli powierzyć miejscowemu fotografowi. „Kilka zrobię sama – obiecała sobie Lilka. – Weselne selfie to nowa jakość”. Zaprosiła całą warszawską ekipę, miała więc znakomity makijaż, stylową suknię z połyskliwego jedwabiu, bo Iga, wieczna producentka sesji, która wzięła na siebie organizację ślubu, doradziła jej kolor ecru i przepaskę na styl międzywojnia.

– W końcu jesteś rozwódką – przypomniała jej, kiedy planowały strój. – Welon należy się tylko świeżym dziewczicom.

– Nie miałam z Artem ślubu kościelnego, więc jestem prawie świeżą dziewczicą! Ale masz rację, welon nie przystoi... – I w wyniku tej rozmowy, w pokoju z wielkim lustrem, kiedy umalowana, wspierana przez Igę, swoją druhnę, szykowała się już do kościoła, poprosiła:

– No to dawaj jeszcze kwiat do tej przepaski.

– Tym zajmę się ja. – Woj wynurzył się zza kotary ze swoim zestawem przyborów fryzjerskich. – Co byś powiedziała na ostre ścięcie z goleniem z jednej strony, a z drugiej loki na barana?

– O nie! – Lilka przestraszyła się nie na żarty. – Dawaj jak ostatnio na Kleopatrze. Tomasz lubi długie włosy i już czeka na dole.

Wyszła do niego tak piękna i wzruszona, że nawet jej rodzice zastanowili się przez moment, czy to ich córka. Igor uśmiechnął się, pomachał chochlą i wymienił spojrzenie z Wojem, któremu przypadło w udziale pilnowanie Borsuka, pies bowiem gotów był towarzyszyć młodej parze do samego ołtarza. W tłumie stał też Witold Jamroz. Myślał sobie w duchu, że może Tomaszowi lepiej ułożyć się małżeństwo niż jemu. Żona, której zaufał całkowicie, przed którą nie miał tajemnic ani własnych, ani służbowych, zraniła go i na całe życie zraziła do instytucji małżeństwa. Wszystkie poufne dane przekazywała sieci przestępców. Przez nią stracił pracę w policji, ośmieszyła go, wyzyskała. Zdradzała go. Teraz sprawiedliwy los pozwolił mu się zemścić, ale to niestety nie pomogło. Widok Marianny zakutej w kajdanki, do końca dumnej, ponętej, ze spojrzeniem, które mówiło, że wykaraska się i z tej opresji, nawet ślad na jej policzku po uderzeniu, nie zatarły starego bólu. Teraz rozglądał się z przyzwyczajenia po tłumie i wzrokiem starego ochroniarza zauważył kilka ładnych kobiet. Jedno, co zmieniło się po aresztowaniu Marianny, to to, że

nabrał ochoty, by z którąś z tych kobiet zawrzeć bliższą i nie tylko seksualną znajomość. Jaka ładna i wdzięczna była ta Lilka Gajewska, kiedy pod rękę z Tomaszem wchodzili do kościoła. Ksiądz wprawdzie powiedział do niej: „czy ty, Alicjo Bernadetto...”, a wszyscy spojrzeli na siebie zdumieni, ale poza tym wszystko odbyło się, jak należy.

Alicja Bernadetta Słowicka, do niedawna Gajewska, znowu zastanawiała się, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Nie tylko Tomasz, także ślub pięknego październikowego dnia i jego słowa: „Pobierzmy się szybko, żebyś mi znów nie uciekła. No i potem to już będzie widać”. – Z mrugnięciem oka popatrzył na jej brzuch, chociaż nic mu jeszcze nie mówiła, bo było to zaledwie nieśmiałe podejrzenie. Również to, że mieli osiąść w Darzborze i prowadzić lokal, na początku sami, bo Igor wyjeżdżał z Wojem. Omówili to na wieczorze niby-kawalerskim, bo dziwny był to dobór kawalerów: narzeczony, detektyw i dwaj geje. Była na nim także Lilka.

– Spróbuję tego świata, do którego namawia mnie Woj. – Igor dość niepewnie informował ich o swojej decyzji. – Mamy jechać do Mediolanu i na objazd Toskanii. Może przywiozę jakieś nowości kulinarne... Bo wrócę na pewno. Wrócę. Dacie sobie radę przez miesiąc?

– No jasne. – Lilka była pełna zapału. – Czy to nie zabawne, że to my bierzemy ślub, a wy jedziecie w podróż poślubną?

– Proponowałem Sycylię. – Tomasz przypomniał jej o swoim pomysle. Lilka posłała mu uśmiech. – Nie chcę Sycylii. Chcę osiąść tutaj, chcę być królową bagien, a jak wróci Igor, będziemy razem rozwijać biznes... Tomasz, to nadaje się tylko do pisania.

– Tylko? – zapytał z kokieterijnym wyrzutem. Popatrzył tak, że poczuła ciepło w podbrzuszu. Najbardziej rozpustne uczucie, jakie znała: ciepło pomieszane z pożądaniem i trochę ze stresem. Czuła to przez cały czas: w bryczce zaprzężonej w dwa lśniące konie, turkoczącej po Carskiej Drodze aż do kościoła i z powrotem. Czuła ten błogi i dręczący ucisk przez całą uroczystość, przyjęcie, powolny taniec ze swoim mężem. Kiedy robiła zdjęcia parze Woj – Igor i gościom weselnym, budynkom, samochodom, bryczce i nawet Borsukowi z muszką przy obroży. Czuła to, kiedy udawała się po północy schodami na górę, kiedy naga pod okryciem czekała na Tomasza w tym samym pokoju, w którym kochali się pierwszy raz. Napięcie i głód ustąpiły dopiero po tym, jak przyszedł i wszystko przebiegło tak, jak tego oczekiwałyby po nocy poślubnej, wślizgnął się pod kołdrę, zapragnęła

otworzyć się przed nim, zjednoczyli się całkowicie i pozwalali sobie na wszystko, bo nie mieli przed sobą tajemnic.

*

Obudziła się już bez tego uczucia, spokojna i syta. Tomasza nie było. Winogrona na tarasie nabrzmiały, jasne, pękate i słodkie, skojarzyły się jej z sutkami kobiety, więc położyła dłonie na swoich piersiach, wciąż pobudzonych, uniesionych od pieszczot. Wstała i naga podeszła do okna. Kolory jesieni ogarnęły ogród i łąkę. Z tej strony domu nie było nikogo, mimo że nastał dzień, panowała cisza. „Czy to wszystko jest naprawdę? – pomyślała. – A może to kolejna moja mrzonka, tylko ulotna fotografia?”. Rozmazała owoce winogron na piersiach i poczuła lepki chłód. Zapragnęła dowodu. Otworzyła laptop i fala przerażenia ogarnęła ją całą, od stóp do głów. Ptaki, jesienny sad, jabłka i ciężkie orzechy witały ją przyjaźnie, ale zdjęć ze ślubu nie było. Nie było Darzboru, bryczki, gości, nie było Tomasza. Folder zniknął. W koszu i na innym dysku też nie widniał. Ani jednego dowodu, że to wszystko się działo. Czuła, że bicie serca staje się zbyt głośne, a w skroniach krew pulsuje jej niebezpiecznie. Czyżby Brama na Bagna i Dom Dróżnika nie istniały? Czy ktokolwiek tu jest? Stała pośrodku pokoju, naga, lepka, z rękami przy skroniach, pełna lęku o swoje szczęście. Wtedy drzwi skrzypnęły i wszedł Tomasz we własnej osobie, z krwi i kości, i z tacą w rękach. Postawił ją na stoliku, zrzucił szlafrok i podszedł do Lilki. Posmakował soku z jej piersi, podążył za strużką spływającą w dół, a potem, czując jej strach, za jej spojrzeniem. Zobaczył pusty ekran laptopa i zrozumiał, o co chodzi.

– Zdjęcia są nieważne, kochanie – powiedział – ulotne, jak aparaty, które się psują, jak laptopy, które można ukraść, jak wszystko co materialne. Ja jestem naprawdę i chcę wypić z tobą kawę w łóżku. Wracaj w poduchy.

Wróciła, przykryła się kołdrą pod sam nos i patrzyła na niego uspokojona, jak słodzi, nalewa mleko i podśpiewuje pod wąsem... Pomyślała, że nic nie jest ważne, skoro on naprawdę jest. I pojęła nagle, że te zdjęcia znajdują się albo nie, ale to nie one, lecz widok nagiego męża, który idzie ku tobie podniecony, a w obu rękach niesie filiżanki kawy, jest bezcenny.